

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/578

1995



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. CHYLIŃSKA: NIEMCY A WOJNA

S. ABNER: Z NORDYCKIEJ PERSPEKTYWY

K. WOLICKI: KIEDY TEN NUMER

„KULTURY” WYJDZIE Z DRUKU...

SMECZ: Z UKOSA

A. WALICKI: DZIEJE UTOPII W ROSJI

SPIS RZECZY

Mariusz Wilk:	<i>List z Wysp Sołowieckich do Paryża</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>Samopas na Kanin Nos, i z powrotem</i>	6
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	15
Camilla Mondral:	<i>Impresje i wspomnienia na temat znaczka pocztowego</i>	29

WIERSZE

Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Park</i>	43
Tadeusz Chabrowski:	<i>Drabina nonsensu</i>	43
Bogdan Czaykowski:	<i>Geneza lubienia</i>	44
Iwona Suszko:	<i>Piach będzie...</i>	45
Grażyna Ewa Szatygo:	<i>Niedokończone pocałunki...</i>	46
Leszek Szaruga:	<i>Ziarna</i>	46

ARCHIWUM POLITYCZNE

Kamila Chylińska:	<i>Niemcy a wojna</i>	47
S. Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i>	56

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Richard McBrien:	<i>Radykalny teolog szuka rdzenia chrześcijaństwa</i>	64
------------------	---	----

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Kiedy ten numer „Kultury” wyjdzie z druku...</i>	71
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	78
Kazimierz Karnkowski:	<i>Byłem w Polsce</i>	91

SPRAWY I TROSKI

Krystyna S. Olszer:	<i>2B or not to be polskiego czasopiśmiennictwa w Ameryce</i>	95
-	<i>Wybory prezydenckie a Polonia. (Oświadczenie Stowarzyszenia Polskiego w Genewie)</i>	101

WYWIADY „KULTURY”

Andrzej Rybałt:	<i>Ukrainistyka w Polsce – polonistyka na Ukrainie</i>	103
-----------------	--	-----

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad–Novembre 1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław Bobrowicz, Princeton, NJ (USA) – po raz 5-ty – Dol. 100,00	F. 490,00
Andrzej Brzeski, Davis CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza w 16-tą rocznicę Jego śmierci – Dol. 100,00	F. 490,00
Tadeusz Knapkiewicz, Uesslingen (Szwajcaria) – po raz 17-ty – Frs. szwaj. 55,00	F. 236,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny – Żona	F. 200,00
Herakliusz Zwireńło, New York, NY (USA) – Dol. 100,00 .	F. 490,00

ARCHIWUM ●

Zamiast kwiatów na grób śp. dr. Kołodyńskiego, lekarza weterynarii zmarłego w Kanadzie, Zygmunt Dyka, Mentona (Francja) na Fundusz Pomocy Polakom na Wołyniu	F. 100,00
---	-----------

DZIĘKUJEMY

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

W związku z tym, że około 30-tu osób z różnych części świata reklamowało nieotrzymanie wrześniowej *Kultury*, pragniemy zawiadomić, że takiego wypadku nie mieliśmy nigdy. Może się zdarzyć, że w jakimś miesiącu zaginie jeden czy dwa egzemplarze, ale to wszystko. Naturalnie od razu reklamowaliśmy na pocztę, ale bez rezultatu. Nikt nie wie, co się stało. Bardzo przepraszamy poszkodowanych. Natychmiast po otrzymaniu reklamacji wysłaliśmy brakujący egzemplarz po raz drugi.

REDAKCJA

List z Wysp Sołowieckich do Paryża

Sołowki, 21 września

2 sierpnia 1553 roku trzy angielskie fregaty minęły North Cape – cypel, którym Europa sięga najdalej na Północ – i wzięły kurs na wschód. Były to: „Edward Bonaventura”, „Bona Speranza” i „Bona Confidentia”. Fregaty należały do towarzystwa londyńskich kupców, zainteresowanych w odkryciu północno-wschodniej drogi morskiej do Chin. Na czele ekspedycji stał Sir Hugh Willoughby i kapitan Richard Chancellor – pierwsi żeglarze, którzy zostawili ślady swojego chodzenia wzdłuż północnych rubieży Rosji: mapy, relacje, listy, dzienniki podróży.

Wcześniej chadzali tam Nowgorodcy, ale żadnych świadectw nie zostawili, jeśli nie liczyć opowiadań z ust trzecich, jak u Nestora, który w *Powieści minionych lat*, pod datą 1096, pisze, że cztery lata wcześniej opowiadał mu niejaki Nowgorodziec, Gurjata Rogowicz, o chodzeniu swojego chłopaka na Pieczorę. Zapis Nestora, pełen fantastycznych szczegółów, bardziej przypomina baśń mityczną, niż relację z konkretnej podróży, która przechodząc z ust do ust, coraz to traciła na realiach, zyskując na sensacji i wartości fabuły. Daleka Północ z przekazów nowgorodzkich to „skraj widzialnego świata, przedsionek piekła, gdzie słychać tylko dyszenie morza, płacz i zgrzytanie zębów” – jak pisał w XII wieku nowgorodzki archiepiskop. W jego opisie dominuje relacja z

własnej ręki, czyli pierwsza forma osobowa: ja tam byłem. Angielscy żeglarze w swoich dziennikach nie są tak barwni, jak słuchy z ust trzecich, często nużą w lekturze detalami topografii, opisami brzegów, kierunków wiatru, ale dają za to głowę, o czym piszą. Czasem dosłownie, jak Sir Willoughby, który nie wrócił z wyprawy do domu. North Cape jeszcze obchodzili razem. Potem sztorm uderzył, wiatr rozrzucił okręty i stracili kontakt wzrokowy. Do portu Warehouse tylko Chancellor potrafił wejść, na „Edwardzie Bonaventura”. Dwie pozostałe fregaty błądziły półtora miesiąca po Oceanie Lodowatym, aż je lody zamknęły, niedaleko Świętego Nosa, gdzie Białe morze uchodzi w Ocean.

„21 września – notuje Willoughby w dzienniku pokładowym – weszliśmy do zatoki wrzynającej się na dwie mile w ląd. W zatoce pływały foki i ogromne ryby, a na lądzie widzieliśmy białe niedźwiedzie, renifery, dzikie łabędzie i inne, nie znane nam stworzenia. Po tygodniu sztormowania, widząc, że pora roku późna i pogoda zła – tylko mróz, śnieg i grad – postanowiliśmy przeziębować. Wysłaliśmy więc kilku naszych na południowy zachód, by sprawdzić czy nie znajdują tam ludzi. Szli trzy dni, ale ludzi nie spotkali. Potem wysłaliśmy naszych na zachód, ale i oni wrócili z niczym. Wtedy posłaliśmy naszych w kierunku południowo-wschodnim, lecz oni także wrócili, nie znajdując ani ludzi, ani jakichkolwiek śladów człowieka...”

Z dziennika Hugh'a Willoughby wynika, że w styczniu jeszcze żyli. Samojedy znaleźli ich rok później, następną zimą. Okręty stały na kotwicach w lodzie. Na wantach pióropusze szreni, ludzie martwi, towarów mnóstwo.

Tymczasem Chancellor, nie doczekawszy się na towarzyszy, ruszył dalej, samopas, ku nieznanym krajom. I zaszedł tak daleko, jak sam mówi, aż znalazł się w miejscu, gdzie w ogóle nie było nocy, tylko ciągle stało słońce, nad morzem straszonym i potężnym. Dzięki nieprzerwanemu światłu szli bez przestanku i po paru dniach, z bożą pomocą, dotarli do wielkiej zatoki, długości stu mil, a może i więcej. Tam stanęli na kotwicach. Miejscowi rybacy, przerażeni dziwnym wyglądem i wielkością fregaty, rzucili się do ucieczki. Kiedy Chancellor ich dogonił, zmartwiali ze strachu i padli przed nim na twarz, do

całowania nóg. – To była Rossija, czyli Moscovia...

Dalej w relacjach kapitana Chancellora czytamy o jego podróży lądem, do Moskwy, na zaproszenie cara Groźnego: o cenach, o towarach, o obyczajach. Kapitan zwraca naszą uwagę na podejrzliwość Ruskich, zwłaszcza wobec cudzoziemców; dziwią go stosunki własności, w których ruski człowiek nie ma nic swojego, bo wszystko co posiada, należy do cara; przeraża go wreszcie ruskie pijaństwo, skrajna przesądność, łapówkarstwo. – Słyszałem, jak pewien Ruski mówił, że weselej żyć w turmie, niż na swobodzie, gdyby tylko tak silno nie bili...

Iwan Wasiliewicz przyjął Chancellora po carsku. Gotował się wtedy do wojny z Krzyżakami, więc zabiegał o kontakty z Anglią. Kapitan bardzo szczegółowo opisuje bankiet u Groźnego: etykietę przy stole, pyszne stroje gości, potrawy, zwłaszcza mięso łabędzie – „carskie bljudo”, przysmak Iwana Wasiliewicza. – Podawano je w kawałkach, pieczone z jagodami, każdy łabędź na oddzielnym półmisku...

Angielscy żeglarze XVI wieku dbali o detal w swoich relacjach, podkreślali wagę naoczności, znaczenie własnej próby – doświadczenia. William Burrough, uczestnik wyprawy Chancellora (miał wtedy 16 lat), obszedł potem całą ruską Arktykę: ziemię samojedzką, czyli wybrzeża Małoziemelskiej i Bolszeziemelskiej tundry, wyspy Kałgujew, Nową Ziemię i Wajgacz, dotarł do Karskich Wrót, zachodził w Pieczorę, i zostawił po sobie pierwszą mapę morskich dróg na Północy. Załączył ją do listu, do królowej Elżbiety, w którym pisał:

„Mogę śmiało twierdzić, bez najmniejszych wątpliwości, że zaznaczyłem wszystko na mapie tak dokładnie, jak nikt przede mną. Bowiem nie sposób dojść do takiego poznania samą teorią – bez podróżowania, jak ja. Własne doświadczenie, oraz wiedza zań wynikająca, pozwalają mi przedstawić Waszej Wysokości tę próbę...”

Mariusz WILK

P.S. W XX wieku cudzoziemskim żeglarzom nie pozwolano chodzić samowolnie, bez razrjeszenija, wzdłuż

północnych brzegów Imperium. To kraina zon: łągrów, polygonów wojennych, atomowych łodzi podwodnych i lodolamaczy. Śmiem twierdzić, że jestem pierwszym cudzoziemcem od czasów wojny domowej, który tu chodził pod żaglem samopas, bez razrzeszenia. Nie na regatach, pod czujnym wzrokiem, ściśle wyznaczonym marszrutem, lecz wedle własnego widzimisię: w każdą dziurę, w każdą rzeczkę. Dlatego załączam relację z tego chodzenia. Może zainteresuje czytelników *Kultury*?

M.W.

SAMOPAS NA KANIN NOS, I Z POWROTEM

„Ja opowiem jak było, a Wy myślcie, co chcecie... – motto, które Pachtusow postawił na początku swojego dziennika wyprawy na Nową Ziemię, 1832-33.

Sotowki

Wychodzimy w sobotę wieczorem po bani. Słońce stoi wysoko, choć z boku, jak reflektor nad sceną. Jego światło pełga po morzu, to strugą blasku, to miliardem iskier. Białe morze w białe noce ma białe oczy. Jak na skraju szaleństwa...

Idziemy na najdaleszą Północ: za Krąg Polarny. Idziemy, bo po morzu się chodzi, a pływa tylko g... w becze – wedle Wasi. Naszym celem jest Kanin Nos.

Kanin Nos to koniec Białego morza na północy. Dalej jest Ocean Lodowaty. Granicę wyznacza prosta kreska, którą na mapie można narysować, łącząc dwa cyple: Kanin Nos i Święty Nos. W rzeczy samej granicy nie ma, tak, jak po morzu nie sposób rysować (pisać). Po morzu można tylko chodzić i zostawiać bruzdę w wodzie, mieczem, na moment. Dlatego, w rzeczy samej, Białe morze się nie kończy, a zaczyna w Oceanie Lodowatym.

Ocean co dwanaście godzin robi wydech i wlewa masy wody w Białe morze. Najpierw jakby przez lejek (stąd Wo-

ronka), gdzie woda się zbiera i dyszy do jedenastu metrów; potem ścieka do Gorła (gardła), tam jest wąsko, więc ścieka szybko, do pięciu węzłów na godzinę; wreszcie rozlewa się na południu w Basen, pośrodku którego leżą Wyspy Sołowieckie, skąd wyruszamy. Oceanowi Lodowatemu naprzeciw...

Żyżgin

Niewielka wyspa. Sześćdziesiąt wiorst dalej, na północny wschód. Sztorm. Chowamy się w małej zatoce, pełnej tjuli. Tjule – to pieszczotliwie: tjulenie. Rodzaj fok. Jeden z ciekawości wylazł prawie z wody, płetwami się wsparłszy na schodku „Antura”. W czasie SŁON-a była tu zona i miejsce zsyłki. Zeka wodorosty zbierali. Teraz jest pusto. Rok temu ostatni człowiek z ostatnim koniem stąd odpłynęli. Sam widziałem. Tylko wojaki zostały, i majak.

Korzystam z chwili, że czekamy, aż sztorm ścichnie, i przedstawiam załogę „Antura”:

Zatem Wasia – Wasyli Dymitrow – lat 36. Sam szyje jachty, od miecza do żagli, własnoręcznie. „Antur” to jego trzecia łódka. Od ojca się uczył. Żyli nad Ładogą, z dziada, pradziada. Wodę mieli we krwi. I las. Rybakka, strzelba. Pierwszą dwururkę dostał na jedenaste urodziny. Na niedźwiedzia chadza w pojedynkę. Ma ich ośmiu (tak, tak) na koncie. Łosi nie liczy, bo je bije na zimę, jak świnię. Marinka tuszonkę z nich robi. Tuszonka, że palce lizać. Wiem co piszę, sam lizałem. To Marinka ściągnęła Wasię nad Białe morze. Zamaniała go. Żyją w Sum-Posadzie, niedaleko Biełomorkanału. Wasia pracuje na kolei: tory w lesie układają, remontują. Wasine ręce są twarde, jak szyny drogi żelaznej. Można na nich polegać. W dodatku Wasia mało wypija. Rzadko. To wyjątek na Północy.

Dalej Losza – nasz majtek – lat 23. Młodociany alkasz. To znaczy: alkoholik, w slangu. Chłopię jeszcze, a już dwukrotnie „zlatywał z torpedy” – samowolnie przerywał leczenie odwykowe. Wzięliśmy go, bo szkoda szczeniaka. Może morze go wyleczy, a i tak się przyda: kotwice wyrwać, żagle zwijać, podnosić i opuszczać miecz.

I ja — Mar dla swoich – lat 40. Cudzoziemiec, bez

razrzeszenia. Ni to korespondent, ni pisarz, czasem uczony, innym razem kiep (w zależności, kto pyta, i po co?), zazwyczaj niemy, zwłaszcza przy pierwszym kontakcie, by inostrannym akcentem uwagi nie zwracać, na siebie.

Ot, i sztorm się skończył. Możemy iść dalej...

Strjelna

Półwysep Kolski. Terski brzeg. Jedenaście godzin przecinaliśmy Basen, z południowego zachodu na północny wschód. Szliśmy w noc kupały, najkrótszą noc lata. Słońce siadało przed nami wolno, bardzo wolno, raptem znikło na chwilę, jakby wybiegło za horyzont za potrzebą, nawet skręta nie zdążyliśmy wykurzyć, a ono już wstawało. W tym samym miejscu, gdzie zniknęło: na północy. Zaś za Kręgiem Polarnym słońce przez wiele dni w ogóle nie znika z widnokregu, tylko na oczach u zdziwionej publiki zmienia kolor: z malinowego na złoty. Tutaj, na skraju widzialnego świata, słońce jest światłem życia. Nawet olenie chodzą za nim, pasąc się. Olenie to renifery, z którymi Samojedy koczują: w zimie na południe, latem na północ. Zawsze w kierunku słońca. W bajkach samojedzkich pierwsze olenie zeszyły na ziemię po promieniach słonecznych. Bo olenie to dzieci słońca. I tęsknią za nim, jak ludzie na Północy. Zwłaszcza w zimie.

Terski brzeg zobaczyliśmy o czwartej nad ranem. Pod światło, ledwie kontur, morze raziło wzrok. Poszliśmy wzdłuż lądu, szukając wejścia w rzekę. Wreszcie jest: woda się mieni, blikuje, drży. Oczy bołą od blasku. Próbowujemy wejść. Płytko. Raz po raz szorujemy o dno. Na szczęście ił i piach. Raptem bar – podwodny wał piaskowy naprzeciw ujścia rzeki. Siadamy. Losza do miecza, my „koły w zuby”, czyli usiłujemy zepchnąć się z mieli długimi żerdziami. Koły grzezną w ile, nurt nas kładzie na bok. Dobrze, że Losza zdążył podnieść miecz. Jesteśmy w Strjelnej.

Parę domów nad rzeką, szczątki cerkwi. Na wydmach krzyże, cmentarz w piachu. Wysoki, urwisty brzeg, za ledwie maźnięty zielenią, choć to już koniec czerwca. Na plażę wyległo: kto żyw. Z daleka same baby, o dziwo! Potem się okazało, że to muzyki w chustach na głowach. Od komarów.

Półtora wieku temu – wedle Maksimowa – też takie nosili. Nazywali je „kukołami”, co w języku prawosławnym oznacza nakrycie głowy monacha w wielkiej schimie. Zatem wylegli, gestykulują, coś krzyczą. Kilku rzuciło się do łodzi. Podpłynęli, pytają, jeden przez drugiego, o garjucze: co mamy, wiele li?

– Tylko szyło, muzyki.

– Dawajcie. Za sjomgę.

Sjomga! Sjomużka! Carska ryba, z rodziny łososiowatych. Jej mięso taje na języku, ciemnoczerwone, barwy przejrzalnych mandarynek, z bladymi słojami tłuszczu, kapie. Najlepiej smakuje z białym chlebem z masłem. Syta. Pycha. Zwłaszcza świeżego zasołu (jak ogórki małosolne), pod stopkę szyła wcześniej rano, po długiej drodze przez Białe morze, w noc kupały. Tak też czasami chadzamy na Północy, odmierzając rytm zdania stopkami szyła, stopka za stopką, krok po kroku, nieco już chwiejnie, byle do końca akapitu: szyło, sjomga, sjomga, szyło, bljacha mucha, sjomga szyło... blin, szalonnik się podniósł.

Szatamow przestrzegat w jednym z listów, by uważać i nie wplątać się w fabułę. Bowiem świat każdego piszącego, prędzej czy później, rozpada się na dwie strony: stronę sjużetu (fabuły, tematu) i stronę czytelników. Tropa pióra winna biec na granicy obu tych światów, nie osuwając się zbyt, ani w jeden, ani w drugi. „Bo wystarczy, że się omskniesz nieco głębiej w świat fabuły, przestanieś uważać na język, chlapniesz coś za dużo, w slangu zabelkoczesz, lub na blatnoy fiieni, a nawet najwytrwalszy z czytelników, z tych, co to śledzą uważnie, słowo za słowem, i drepczą po piętach, od przecinka do przecinka, otóż nawet taki czytelnik przestaje rozumieć świat, w którym się był znalazł, idąc twoją tropą...

Dlatego czasem należy się cofnąć, jeśli miarę przekroczyłeś, przeprosić. Wyjaśnić, że ruskie „garjucze” to „paliwo, płyn napędowy”, i że tutaj, na Północy, słowo to rozszerzyło swoje pole semantyczne i objęło wszystkie cieczki z zawartością alkoholu. Że „szyłem” nazywają tu spirytus przemysłowy, używany na kolei do czyszczenia szyn w zimie, i że trzeba uważać, by nie zaczerpnąć z

brudnej beczi, po benzynie lub ropie, bo oddaje zapach w ustach. Wreszcie, że sjomga to jedyny produkt, z którego żyje (pije) ludność Terskiego brzegu, i że wymiana szyła na sjomgę zależy od stopnia pochmielja, czyli kaca u tubylców: im kociokwik większy, tym tańsza ryba. Dla przykładu: rano w Strjelnej jedna sjomga, pięciokilowa, kosztowała nas dwie flaszki szyła, a wieczorem za butelkę jeszcze trzy przynieśli, byleby się opochmielić. (W Murmańsku kilogram sjomgi stoi 60 tys. rubli, a pół litra wódki – 10 tys.) Należy też dodać, że szałonnik, to wiatr południowo-zachodni.

Wiatry na Północy mają swoje nazwy – szałonnik, morjana, obiednik, połunosznik – i każdy swoją osobowość. Morjana, na przykład, wiatr północny, to ciężki oddech Oceanu, który duje w twarz, jakby lodem pluł. Wiatry tutaj często się zmieniają, i gwałtownie. Pół biedy, jeśli za słońcem wieją, gorzej, gdy mu naprzeciw zakręcą. Wtedy pewny sztorm. Jak dwa akapity temu, kiedy morjana przeszła w szałonnik szybciej, niż szyło uderza do głowy. Woda w morzu zakipiała, zaryczała. Ledwie zdążyliśmy drugą kotwicę rzucić. Wnet zakotyssało...

Stoimy więc w Strjelnej, czekamy, aż sztorm ścichnie. Z nudów szwendamy się po brzegu. Najpierw cmentarz na wydmach, groby w piachu. Ptaki na mogiłach jaja wysiadują. Na nasz widok krzyk podniosły. Straszny skwir. Podobno robaki w piasku się nie lęgną i ciała schną, nie gnijąc. Pomocy lubią leżeć po śmierci tak, jak żyją: twarzą do morza. – A i kopać łatwiej – twierdzi Wasia – piach nie zamarza tak głęboko, jak ziemia.

Obok szczątki cerkwi: ślady topora, ognia. Obłamane wrota carskie, ptasie guano, dziurawa podłoga, resztki fresek na ścianach, liki starte, oczy jak żywe...

Nieco wyżej, w zaroślach karłowatej brzozy, opuszczony łagier dla bogatych „heminglejów”: takich wujków z Ameryki, co to lubią tu rybaczyć sjomgę na spinning. Za dolary. Kilka domków campingowych w norweskim stylu, rozszabrowane do gołej faniery. Tylko drogowskaz się był ostał, na środku niewielkiego placyku. Czyżby apelowego? Na nim strzałki, odległości: do Paryża, zanotowałem, trzy tysiące osiemset

wiorst. Pijany stróż wyjaśnił, że firma od „heminglejów” zbankrutowała, bo jej udziałowcy okradli siebie nawzajem, i uciekli za granicę. Terski brzeg to Klondike dla komersantów wszelkiej maści: od murmańskiej mafii do swojego rekietu. Sjomgę tu odławiają tonami. Z jednej toni do stu ton za sezon. Najobfitsze rzeki już zdążyli obstawić. Warzugę, na przykład, OMON ochrania, wynajęty przez spółkę z Murmańska, która eksportuje carską rybę do Europy. Natomiast Strjelna nie należy do bogatych rzek, dlatego rekiet tu nie dotarł. Po odejściu władzy sowieckiej (tak nazywają na Północy... milicję!), każdy tu łowi, jak chce, bez nadzoru: co wyciągniesz, to twoje. To możesz przepić. Kołchoz splajtował, osada wymarła, a muzyki tylko na lato przyjeżdżają, jak na dache: porybaczyć, wypić i zapomnieć o bożym świecie...

Trzy doby kukujemy (stoimy, czekając) w Strjelnej. Chodzenie po Białym morzu to czekanie na pogodę, w trzech czwartych. Przypomina to wyprawy w góry wysokie: tam się wspinasz od obozu do obozu, tutaj przemykasz od rzeki do rzeki. Bo tylko w rzece można się skryć, przeczekać niepogodę. Białe morze wielu nazywa: bandyckim. To najbardziej pochmurne miejsce w całym Sojuszu. Sztormów tu bywa i cztery, i pięć na dobę. Osuszki przy odpływie sięgają wielu kilometrów. Podwodne skały: korgi, koszki, kosy. Częste tumany, nierzadko z wiatrem. Wszystko to razem nie ułatwia żeglugi. W ubiegłym roku dotarliśmy zaledwie do Konuszyna, a zajęło nam to dwa i pół tygodnia, choć na dobrą pogodę, można ów dystans przejść w trzy dni. Wtedy przez Gorło szliśmy Zimowym brzegiem, w tym roku spróbujemy – Terskim...

Czapoma

Początek Gorła. Dwanaście wiorst dalej, na północny wschód. Bowiem tyle tylko zdążyliśmy przeskoczyć, kiedy znowu sztorm uderzył. Na odlew, jakby chciał nas z morza zrzucić, jednym ciosem. Ledwie zdołaliśmy wejść w Czapomę. To trudna rzeka: koszki tu sterczą gęsto, jak łby tjuli, a kosa taka wysoka, że duża woda jej nie zakrywa.

Nad rzeką stara osada rybacka, cerkwi ani śladu, znów cmentarz w piachu. Od razu też rzuca się w oczy podział wsi

na dwie części: bliżej morza domy drewniane, zadbane, drwa ułożone w wysokie sztaple, osłaniają od wiatru, przy domach ogrody, kartoszka, parniki, podwórza czyste, obsiane trawą, która wiąże piach, a dalej, na glinianej skarpie, parę baraków z betonu, na pięć, sześć rodzin, wokół sracz, cuchnie pomojką. Rzecz wyjaśniła mi Marfa, starucha ciekawa przybyszów. Wyszła na przyzbę jednego ze schludnych domów i sama zagabnęła.

– Bo widzisz młody człowieku, przy morzu stariki żyją, a tam, na skarpie, młodzież, dla której kołchoz zbudował te obszczętytija. Ot, tak samodzielnie współżyją. Współżyją i piją, bez przerwy. Dawniej muzyki też wypijali, ale rzadko, od święta. Kiedy, na przykład, drwa na zimę przygotowali, to się zbierali muzyckim kolektywem, baby im pierogów napiekły, z sjomuzką-matuszką, na zakąskę, dziewczki dla nich płaśały, śpiewały, a muzyki zapijali, czasem na trzy, czasem na cztery dni. Pili tylko brażkę z moroszki. A dzisiaj żrą „Ruską” i robią pod siebie, w opilczym obłędzie utraciwszy wstyd. Zatem o jakich tradycjach może być mowa, o jakich świętach, obyczajach? Teraz jeden z drugim do stołu dojść nie potrafi, wypijają po drodze i walają się przy niej. Wszystkiemu wojna winna, kiedy młodych na front zabrali. Trzydziestu dwóch naszych wzięli. I żaden nie wrócił. Sześć rodów wygubili. Sześć dynastii, które tworzyły Czapomę. Tylko stariki zostały, i baby. Potem cudzych najechało, dziewczek czapomskich nabrali, niektórzy zostali, ale to już nie było to. Bo nie swój muzyk żyje na cudzym jak cudzy, ot co. Dopóki władza sowiecka tu była, trzymała ich krótko za mordy. A teraz kradną, co się da jeszcze na wódkę wymienić, i żyją od opochmielja w pochmielje. A w tym roku, żeby nam było jeszcze weselej, przywieźli dzieci na lato. Bezprizornyje. Łagier im letni w Czapomie zrobili. Dozorcy piją z muzykami, a dzieci, zdurniałe od benzyny, którą wachają jak natkotyp, łążą po wsi i zamki rozbijają w drzewiach. Powiedz, co z nami dalej będzie, młody człowieku?

W wyblakłych oczach staruchy było pusto. Wieczorem na „Antur” przyszły dwie dziewczuszki, bezprizornyje. W wieku dwunastu i trzynastu lat. Twarzyczki ładne, ciątka smukłe, opalone. Wiodły się z nami wyzywająco, wulgarnie, jak dojrzałe bljadi. Szyła chciały.

Nazajutrz wyszliśmy z Czapomy. . .

Konuszyn

Dwadzieścia osiem godzin dalej, na północny wschód. Minęliśmy Krąg Polarny. Trzysta trzydzieści wiorst w morzu. Po drodze dwa sztormy, parę zmian wiatru, nieco soli w ustach i świt tak czysty, jak czysta bywa tylko samotność. Ale po kolei.

Z Czapomy poszliśmy wzdłuż Terskiego brzegu. W głąb Gorła. W miarę jak posuwaliśmy się coraz dalej na północ, zieleń gasła i śniegu przybywało. Leżał w rozpadlinach, w wąwozach, czasami sięgał plaży brudnymi językami. Brzeg też się zmieniał: zamiast iltu i piachu – lita skała. O podejściu bliżej mowy być nie mogło, tym bardziej, że wiatr się wzmaczał i podnosił przybój. Morze uderzało o skały nadbrzeżne, wzbijało pianę, jej skrzepy fruwały w powietrzu. Mijane rzeki nie dawały szans wejścia: to zbyt płytkie, to sieciami zastawione. Wyspa Sosnowiec, nasza ostatnia nadzieja na Terskim brzegu, przy podejściu okazała się niedostępna: kamień na kamieniu, ze wszystkich stron odmuchiwana wiatrem. W tej sytuacji bierzemy kurs na Zimowy brzeg, w poprzek Gorła. W gardziel sztormu. Tam, po drugiej stronie, znamy każdą rzeczkę, a i brzeg tam bardziej przystępny, miękki. Niestety, na środku Gorła wiatr się zmienił o 180° i zanim dobrnęliśmy do Zimowego brzegu, podniósł przybój na tyle, że i tu byliśmy bezradni. Nie pozostawało nic innego, tylko iść dalej. Bo kiedy sztormi, a skryć nie ma gdzie się, należy w drodze sztorm przeczekać.

Wychodzimy więc z Gorła i przecinamy zalew Mizeni. Sto dwadzieścia wiorst odkrytego morza przed nami. Najbardziej „zgniły” kawałek Białego. Woda tu dyszy ze straszną siłą. Na szczęście nagle ścicha, jakby ręką odjął. Niebo świeci. Lazurowe. W powietrzu miraż. Wreszcie można trochę pospać, wszak już dwadzieścia godzin idziemy. Moja wachta, chłopaki drzemią. Wyłączam silnik. Cisza. Tylko żagle łopocą. Lekka bryza. Po lewej, w cienkiej jak sen monacha mgiełce, wyspa Morżowiec. Zatem Krąg Polarny już za nami. Puszczam Philipa Glassa, *Songs from liquid days*. Jestem. Sam.

Po południu zobaczyliśmy brzeg Konuszyna. Ziemia

samojedzka. Zakryta zona, tereny poligonu specjalnego. Tam spadają zużyte człony rakiet z Plisiecka, tam też strzelają z Dalekiego Wschodu pociskami balistycznymi. Trenują celność. Cała tundra najezona odłamkami rakiet, niekiedy ogromnych rozmiarów, z daleka widocznymi. Jak w *science fiction*. W ubiegłym roku na Konuszynie nas pojмали. Desantem z helikoptera: dziesięciu bojców, w tym kobieta, uzbrojeni po zęby...

Ciąg dalszy nastąpi.

Mariusz WILK

Dziennik pisany nocą

Neapol, 17 sierpnia

List z Kanady.

„Drogi Panie, znam dość dobrze pana dziennik, czytałem go regularnie i od początku, najpierw w *Kulturze*, potem w wydaniach książkowych, nie rozumiem więc jak mogłem przegapić zapis z 5 grudnia 1973. Los bywa złośliwy, bywa jednak *równocześnie* dobroczynny (wyjaśnię zaraz i jedno i drugie), co jest drobnym dowodem, że Pana zmarły przyjaciel Konstany Jeleński miał słuszną, nie wierząc w istnienie tzw. zbiegów okoliczności, które należy traktować jak niedostrzegalne czasem dla oka zgrubienia podwójnych ściegów w tkaninie naszego życia.

Króciutki zapis z 5 grudnia 1973 opowiada o pana ukrywaniu się, zimą 1940 roku, w Sokółce między Białymstokiem i Grodnem. W Grodnie (jak pana ostrzeżono) groziło panu aresztowanie, uciekł pan zatem do Sokółki, korzystając ze znajomości z tamtejszą nauczycielką szkoły powszechnej. Ulokowała pana na strychu, gdzie pan spędzał całe dni, aby po zaśnieściu jej pięcioletniego synka zejść na dół i podrzemać na siedząco przy piecu. Za dnia synek nauczycielki bawił się przed domem i niekiedy podnosił główkę ku okienku na strychu, jakby coś wiedział, lub czegoś się domyślał. Było w jego wzroku (pisze pan) coś tak przejmującego i żalostnego, że wrócił pan do Grodna i ukrył się u przyjaciół na peryferiach miasta. Nauczycielka i jej synek (kończy pan) zginęli po wkroczeniu Niemców do Sokółki. Czyli latem 1941. Do tej ewokacji skłoniła pana wizyta w kościele Świętej

Klary w Neapolu, gdzie na jednym z bocznych ołtarzy, nad lasem cienkich jarzących się świeczek, nad wysepką światła, pojawiła się nagle twarz dziecka z Sokółki.

Otóż w rok później, w lutym 1941, zjawiłem się w miasteczku położonym dość blisko Sokółki, bliżej Białegostoku niż Grodna, w identycznych okolicznościach (w miasteczku, powiedzmy, K.); trudno uwierzyć, że tak dokładnie, aż do najdrobniejszych szczegółów, mogą powtarzać się motywy i zdarzenia w różnych życiorysach. Pochodzę z Łucka, nasza grupka konspiracyjna wpadła w oko, na skutek donosu, sowieckiej policji. Jedynym ratunkiem była szybka ucieczka. Przypomniałem sobie, że moja koleżanka (i przez jakiś czas przyjaciółka) z wydziału farmacji uniwersytetu warszawskiego po skończeniu studiów w roku 1933 wróciła do rodzinnego K., gdzie jej ojciec miał aptekę. Wiedziałem, że wkrótce po powrocie wyszła za męża; i że tuż przed wojną umarł jej ojciec, a powołany do wojska mąż pozostawił ją samą z małym synkiem; i albo zginął, albo skończył wojaczkę w obozie jeńckim. Cudem udało mi się wcisnąć do nocnego pociągu, który szedł okrężną drogą do Białegostoku. Nazajutrz wieczorem, brodząc w zaspach śnieżnych, dobrnąłem do apteki w K. Znajdowała się w samodzielny i izolowany domku, w pobliżu niewielkiego placu. Drepcąc i potupując na mrozie, czekałem na wyjście ostatniego klienta. Ela rozpoznała mnie natychmiast, opanowała błysk strachu w oczach, zamknęła na klucz drzwi od ulicy i zaprowadziła mnie na strych. Jej synek spał już widocznie przy zapalonym świetle, nie słysząc było żadnych odgłosów z mieszkania nad apteką. Ela wskazała mi bez słowa stos koców pod pochyłą ścianą dachu. I przylgnęła do mnie całym ciałem ze łzami w oczach. Po czym wyszła, wciąż bez słowa. Słyszałem jej głos, dochodzący z pokoju mieszkalnego. Malec nie odpowiadał, czyli spał mocno.

Ale zapomniałem o obiecany wyjaśnieniu. Złośliwością losu było moje przeoczenie pana zapisu, tak dla mnie ważnego, przed tylu laty. Równoczesną dobroczynnością losu jest niespodziane odkrycie go, po tylu latach, i wejście w czas dzisiaj, zdawało się, na zawsze utracony i pogrzebany.

Nie zamierzam zanudzać pana szczegółami, tym więcej że zależy mi na prędkim dobrnięciu do definitywnej kropki. Strych był niegdyś przerobiony na pokój mieszkalny dla

pomocnika i subiekta ojca Eli. Zaniedbano go, gdy przejąwszy aptekę Ela zwolniła subiekta. Ocalały rzeczy najistotniejsze – umywalnia z kranem, wygodka, piecyk elektryczny który co jakiś czas można było włączać do kontaktu. Urządziłem sobie znośne legowisko pod jedynym okienkiem; wystarczyło unieść się trochę, by zobaczyć odcinek ulicy przed apteką. Ela zamykała aptekę o szóstej, otwierała ją (nie była już właścicielką, lecz zarządczynią) na polecenie władz jeszcze raz o ósmej dla spóźnionych lub pilnie potrzebujących klientów. Kiedy przychodziła do mnie na strych po dziesiątej, aby o świcie wrócić do swojego mieszkania, dokoła domku i w mieszkaniu na półpiętrze panowała absolutna cisza. Przyносиła mi jedzenie na całą dobę. Czekałem cały dzień na jej przyście, godziny są mniej puste, jeśli wypełni je oczekiwanie. Strach czy tylko stały lęk dwojga osób jest potężną podniętą miłosną. Nigdy już potem (w dwóch kolejnych małżeństwach!) nie byłem tak szczęśliwy i na nowo zakochany, jak biorąc w ramiona Elę pod kocami. Nie rozmawialiśmy, poza cichymi zakłęciami miłosnymi. Zdołałem jej jedynie szepnąć raz na ucho, że z nadejściem przedwiośnia spróbuję przemknąć się do Lwowa, miasta mojej dalszej rodziny, bądź do Warszawy, miasta moich licznych przyjaciół uniwersyteckich. Za całą odpowiedź przycisnęła się do mnie z desperacką siłą skazanej na porzucenie, na zgubę. Miała synka, co oznaczało że nie miała swobody wyboru.

Synka widywałem często przez okienko, bawił się cierpliwie na ulicy przed apteką. Czasem mogłem zobaczyć dokładniej jego twarzyczkę, cudownie anielską, z kręconymi lokami nad czołem, pewnie dziełem i chlubą Eli. I w myślach nazywałem go Aniołek. Byłem pewien, że nic nie wie o lokatorze strychu, nigdy nie spoglądał w górę. Nigdy aż do ostatniego dnia marca. Przed apteką zatrzymali się dwaj młodzi oficerowie NKWD, jeden z nich podniósł chłopczyka i przycisnął do piersi jak własne dziecko. Aniołek poderwał główkę w stronę strychu, wyciągnął wskazujący palec rączki i coś powiedział. Na chwilę ujrzałem jego anielską twarzyczkę ze złym, zaskakującym u dziecka, *starczym* grymasem ust. Oficerowie wpadli na strych i sprowadzili mnie na dół z wykręconymi do tyłu rękami. W więzieniu grodzieńskim dowiedziałem się przypadkowo, że aresztowano również na

krótko Elę, zamknięto i opieczętowano aptekę, ale później darowano jej winę, przywrócono posadę i zwrócono dziecko. Powędrowałem jak pan z więzienia do łagru. Nasze dalsze dzieje były podobne.

Twarzyczka Aniołka nie ukazała mi się ani razu nad świeczkami ołtarzowymi w kościele. Należał do dzieci opisanych w słynnej powieści Williama Goldinga *Lord of the Flies*. Ten list (za który raz jeszcze przepraszam) kieruję do autora *Portretu weneckiego*, widzącego niekiedy Zło immanentne także w sferach ziemsko-niebiańskich, w domenie dziecięcej i chłopięcej niewinności. Serdecznie pozdrawiam, Z.T.”

25 sierpnia

Jest moim obowiązkiem przepisać w dzienniku (powiem później dlaczego) refleksję historyka francuskiego François Fureta z książeczki *Prawdziwy koniec Rewolucji Francuskiej*. „Piszę pod koniec wiosny 1977 roku, w okresie, kiedy krytyka sowieckiego totalitaryzmu, i w ogóle wszelkiej władzy powołującej się na marksizm, przestała być monopolem lub quasi-monopolem myśli prawicowej, a stała się centralnym tematem lewicy. Jeśli już mowa o tych historycznie relatywnych grupach, jakimi są prawica i lewica, ważny jest nie fakt, że krytyka lewicy ma większy ciężar gatunkowy niż krytyka prawicy, odkąd po zakończeniu drugiej wojny światowej lewica zajmuje pozycję kulturalnie dominującą w kraju takim jak Francja. O wiele bardziej liczy się fakt, że aby krytykować ZSSR czy Chiny, prawica nie musi zmieniać żadnego elementu swego dziedzictwa: wystarczy, że pozostaje w obrębie myśli kontrrewolucyjnej. Tymczasem lewica musi zmierzyć się z danymi kompromitującymi jej system poglądów, który powstał w tej samej epoce co system poglądów prawicy. Właśnie dlatego tak długo się przed tym wzdragała; właśnie dlatego jeszcze dzisiaj tak często woli raczej łątać gmach swoich przekonań, niż stawiać historii pytania na temat swych tragedii. Ale na razie nie to jest ważne. Ważne jest to, że kiedy lewicowa kultura zgodziła się zastanowić nad faktami – to znaczy nad nieszczęściem, jakim jest doświadczenie komunistyczne

XX wieku – w zestawieniu z wyznawanymi przez siebie wartościami, musi zająć krytyczne stanowisko wobec swej własnej ideologii, swoich interpretacji, swoich nadziei, swoich racjonalizacji. To w tej kulturze tworzy się dystans między historią i Rewolucją, gdyż to ona wierzyła, że cała historia jest zawarta w obietnicach rewolucji”.

W dalszym ciągu Furet zauważa, że intelektualny „mechanizm zabezpieczający” lewicy zaczął się sypać po ukazaniu się *Archipelagu* Sołżenicyna. Kwestia Gułagu stanęła na forum historii jako najgłębszy cel rewolucji. „Dzisiaj Gułag zmusza do ponownego przemyślenia Terroru, którego cele mogły być identyczne”.

Nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że wieloksiążkowy *Sołżenicyna* stanie się punktem zwrotnym w dziejach zachodnioeuropejskiej lewicy. We Francji jest to wyjątkowo jaskrawe, lewica komunistyczna lub „poputczikowska”, zwłaszcza uniwersytecka, z dnia na dzień zmieniała radykalnie front; przyszli historycy inteligencji francuskiej zmuszeni będą poświęcić Sołżenicynowi osobny rozdział. We Włoszech proces potoczył się inaczej, z bardzo prostego powodu: w przeciwnieństwie do komunistów i komunizantów francuskich, włoscy zignorowali *Archipelag*, odmówili jego czytania. A rozwiązali starą partię i założyli nową (unikając w jej nazwie słów „komunizm” czy choćby „socjalizm” na rzecz „lewicy demokratycznej”) ze względów czysto pragmatycznych: skończyły się dywidendy polityczne (i nie tylko) potężnego Bloku wschodniego, sądzą nawet że w bliskiej przyszłości zniknie nawet „lewica demokratyczna”; zastąpi ją jakaś inna, bardziej strasna nazwa bez kłopotliwej „lewicy”.

Na własnym przykładzie mógłbym pokazać „ewolucję” lewicy włoskiej, podobnie jak francuska „kulturalnie dominująca” (według wyrażenia Fureta) we własnym kraju. We Francji musiałem czekać trzydzieści lat na wydanie *Innego Świata*, bo największe wydawnictwa – formalnie „niezależne” – poprzetykane były lektorami z formacji „kulturalnie dominującej”. We Włoszech czteroletnia stała współpraca z największym dziennikiem *Corriere della Sera* (za redaktorstwa Spadolinięgo, późniejszego premiera i potem marszałka senatu) sprawiła, że przyczepiono mi etykietkę „faszysty”: no bo jakże emigrant z „socjalistycznego kraju”, zaproszony do

Corriere z miesięcznika „socjalzdrajcy” Silonego. W zeszłym roku odbierając w Viareggio wysoką nagrodę literacką, musiałem w trakcie ceremonii podziękować uściskiem dłoni dwudziestu członkom Jury. „Jeszcze kilka lat temu – pomyślałem na estradzie – osiemnastu z owej dwudziestki nie podałyby mi w ogóle ręki”. A teraz? Umizgi „demokratycznej lewicy” do tradycyjnej prawicy przyprowadzają o mdłości. Wiceszef b. partii komunistycznej, Veltroni, za swojego politycznego mentora uważa prezydenta Kennedy. Szef, D’Alema, wydał właśnie książkę *Normalny kraj*. Ideałem spadkobierców Rewolucji Październikowej jest „normalność”, bez zbyt wyraźnego podziału na „lewicę” i „prawicę”. W niepamięć poszła i wciąż jeszcze idzie komunistyczna szkoła draństwa politycznego, szybki kurs politycznych rzezimieszków.

Miałem powiedzieć, czemu poczucie obowiązku skłoniło mnie do przepisania w dzienniku dużego fragmentu książki Fureta. Prowadzi on bowiem do wniosków, które wielokrotnie podsuwałem czytelnikom mojego dziennika. Że zdechło niesławną śmiercią zwierzę zwane ideologią (no ale to opisał pierwszy Raymond Aron). Że stopniowo znikają i w końcu znikną zupełnie „historycznie relatywne grupy prawicy i lewicy” (Furet). Czy jednak pozostanie coś po zmarłej lewicy? Czy ludzie przyzwoci będą mogli, jeśli zechcą, mówić o sobie, że mimo wszystko pozostali „lewicowcy”? Ktoś zaproponował: „Jak Dostojewski twierdził, że nie można żyć bez nadziei, tak my musimy powtarzać, że nie można żyć bez utopii”. Nieśmiertelny impuls utopii miałby być wyznacznikiem „lewicowości”. Filozof ostrzega: „W dziejach ludzkości nie popełniono nigdy tak wielkie Zła, jak wojując (do ostatniego kamienia) pod znakiem utopii Dobra”. A zatem?

A zatem dwa pozostaną jedynie, dwa skromne lecz prawdziwe, wyznaczniki „lewicowości”. Pierwszy to wrażliwość społeczna, którą programowo niemal wyszydza „realistyczna, wolnorynkowa” prawica. Drugi to przyrodzona alergja wobec wszelkich form nacjonalizmu, tak chętnie i często kokietowanego przez prawicę. Mało? Dość, by mówić o lewicowej mentalności, jak niegdyś mówiło się o mentalności endeckiej (pełna formuła brzmiała wówczas: Endecja jest mentalnością a nie stronnictwem politycznym”).

28 sierpnia

Olsztyńska uczona Barbara Fijałkowska wydała opracowaną solidnie, archiwalnie, książkę o dwóch braciach *Borejsza i Różański*. W podtytule rzecz określona jest jako „przyczynnik do dziejów stalinizmu w Polsce”.

Borejsza zajmuje lwią część książki, ale ja powiem o nim niewiele. Był Mistrzem Korupcji, Arcykoruptorem. Jego stalinizm odznaczał się miękkim, bardzo miękkim podbrzuszem, nie jest nawet pewne, czy w głębi ducha (zwłaszcza po doświadczeniach hiszpańskich) uważał się wciąż za stalinistę. Był komunistą „oświeconym”, na powierzonym mu „odcinku literatury” widział w pisarzach raczej przekupnych (i dyspozycyjnych) literatów dworskich, niż „inżynierów dusz”. W powojennej ciężkiej sytuacji materialnej jego oferty odnosiły na ogół piorunujący skutek, tym więcej że kupował wszystkich, chętniej nawet „element wrogi nam z natury i tradycji” od „elementu bliskiego nam klasowo”. Z okazji jego wyprawy rekonesansowej do Londynu Stefania Zahorska nazwała go trafnie „łowcą dusz”. A łowił na smaczne przynęty, mało która ryba odpływała dumnie, zobaczywszy haczyk w skrawku narodowej słoninki. Jego działalność zostawiła trwałe ślady, jeśli „październikowy” Mieczysław Jastrun tłumaczył mi w Rzymie, że przywileje i korzyści materialne pisarzy są „zdobyczą socjalizmu”, której „będziemy bronić do upadłego”.

Prekursor „socjalizmu z ludzką twarzą” miał brata, policjanta rozmiłowanego w zadawaniu wymyślnych tortur uwięzionym, o skłonnościach sadystycznych, który „stalinowską (krótszą) drogę do socjalizmu” stawiał wysoko nad „rodzimą (znacznie dłuższą)”. Fijałkowska nie stosuje wobec niego w zasadzie taryfy ulgowej, jakkolwiek przypomina często czytelnikowi o „specyfice epoki”. Powołuje się tu między innymi na Jerzego Wiatra: „Stalinizm, będąc jednym z wcieleń totalitaryzmu, różnił się jednak dość zasadniczo od hitleryzmu. Dla moralnej oceny obu tych systemów – powiada Wiatr w piśmie Rakowskiego *Dziś* w roku 1990 – szczególne znaczenie ma fakt, że hitleryzm jawnie i otwarcie głosił idee antyhumanitarne, natomiast stalinizm maskował swój z gruntu antyhumanitarny charakter pseudohumanistyczną ideologią... O ile

przekonany nazista popełniał najgorsze zbrodnie pozostając w zgodzie z głoszoną doktryną, o tyle dziesiątki lub setki przekonanych, często fanatycznych stalinowców przeżywało w jakimś momencie (bardzo późno, pięć minut przed dwunastą – przyp. mój) kryzys sumienia, gdyż zdawało sobie sprawę, że między doktryną a praktyką ma miejsce zasadniczy rozbrat”. Na pewno nie przeżywał go Różański, powtarzający z uporem w sądzie: „Teoria walki z terrorem, to nie jest teoria Różańskiego. I bicia na śledztwie nie wymyślił Różański. Tak myśmy się uczyli, tak nas uczyli”. Całą prawdę powiedział Jasienica: „Nie bronię Różańskiego. Twierdzą natomiast, że nie tylko on i jemu podobni odpowiadają za stworzenie atmosfery moralnej, w której mogło rozkwitać gangsterstwo, ubrane w pozory prawa”. Może „gangsterstwo” połączy „jawnie antyhumanitarne idee hitleryzmu” z „pseudohumanistyczną ideologią maskującą z gruntu antyhumanitarny charakter stalinizmu”? Może dzięki książce Fijałkowskiej, czytanej swobodniej niż została napisana, zbliżą się do siebie, mimo głębokich różnic w postępowaniu i metodach działania, bracia Borejsza i Różański?

1 września

Przedruk w *Polityce* zawdzięczam lekturę rozmowy Hansjakoba Stehle z kardynałem Königiem (skończył właśnie 90 lat) w *Die Zeit*, oraz wywiadu z kardynałem w *Die Presse*. Wszystkie główne problemy, które z całą pewnością staną ostro przed następcą Jana Pawła II, porusza wiedeński purpurat w sposób zdumiewająco śmiały i rozumny: celibat księży, hipokryzjne rozróżnienie między zabronionym „sztucznym” i dozwolonym „naturalnym” zapobieganiem ciąży, dopuszczenie kobiet do sakramentu kapłaństwa i żonatych mężczyzn do stanu duchownego. Zabawne jest, że König mówi o „aparacie watykańskim” trochę takim tonem, jakim mówiłby o „wszechwładzy aparatu” dymisjonowany ze względu na podeszły wiek członek Politbiura. Nie waha się również odpowiedzieć na pytania, dotyczące Jana Pawła II: „W rozmowach ze mną przejawiał bardzo wiele zrozumienia dla różnych poglądów, jednakże raczej akceptował aspekt klery-

kalny”; „dla papieża z Polski niewyobrażalne jest zmienianie czegośkolwiek, co od stuleci... no właśnie, nie wiem czy się sprawdziło”. Żadne to rewelacje, ale w ustach kardynała...

Zastanawia, że obie wypowiedzi ukazały się w *Polityce*, a głucho o nich w prasie katolickiej, chociaż Kościół polski ma wobec Königa znaczny dług wdzięczności. Zapewne w prasie katolickiej uchodzą za gładzenie Ramola (czcigodnego niegdyś, to prawda, lecz jak wiadomo zgrzybiałość nikomu nie daruje).

6 września

Mój przyjaciel Sergio Romano, b. ambasador włoski w Moskwie a dziś jeden z głównych publicystów turyńskiej *La Stampa*, autor posłowania do mojej włoskiej książeczki *Contro luce*, przysłał mi swoją nową książkę *La storia sul comodino*, którą otwiera trzystronicowy szkic *Piłat pierwszy i drugi*.

Piłat pierwszy jest gubernatorem kolonii, wyciska podatki, utrzymuje porządek, gasi wszelkie ogniska buntu, które mogłyby zagrozić pokojowi regionu. Wie, że Żydzi są kłótniwi, mają naturę kauzyperdów, toteż stara się nie wtrącać do ich dysput teologicznych. Z usposobienia leniwy, chciałby rządzić z umiarem, dając religijnym elitom maksimum autonomii, a sobie zostawiając upragnioną biurokratyczną rolę wysyłania co miesiąc do Rzymu woskowanej tabliczki ze słowami: nic do doniesienia (Taką tabliczkę, dodajmy, przekazano prawdopodobnie Tyberiuszowi do pałacu imperialnego na Capri po „aferze Chrystusa”). Nie wiadomo, czy wydał sam wyrok śmierci na Jezusa, czy też po prostu „przyjął do wiadomości” wyrok Synhedrionu, jak zdaje się sugerować stary Talmud znaleziony ostatnio w synagodze w ZSSR. Ale Romano bez trudu wyobraża sobie jego stan ducha w tych dniach. Nie ma oporów moralnych przeciw karze śmierci, jest jednak zbyt inteligentny by nie wiedzieć, że ukrzyżowanie za „zbrodnię poglądów” należy stosować jak najrzadziej. Lecz Synhedrion nalega twierdzi, że Jezus jest niebezpieczny, grozi rozruchami, prorokuje nieszczęścia. Z cierpliwością pełną rezygnacji Piłat postępuje tak, jak w zeszłym stuleciu postępowali gubernatorzy angielscy w Indiach, kiedy wybuchały

zamieszki i rewolty. Jeżeli musicie strzelać – instruowali oficerów – strzelajcie natychmiast do przywódców rewolty, pozwoli nam to oszczędzić życia ludzkie i amunicję.

Piłat drugi przeżywa głęboki kryzys sumienia. Jest zafascynowany Chrystusem, węszy coś nadprzyrodzonego, wyczuwa niesprawiedliwość oskarżeń Synhedrionu. Ale wie, że nie można w Judei rządzić bez współdziałania notabli. Nie chce przejść do historii jako kat Chrystusa, lecz nie chce też narażać się na podwójne ryzyko: zagrożenia pokoju w Judei i zagrożenia własnej kariery. Po długiej walce wewnętrznej postanawia „umyc ręce”. I staje się w ten sposób symbolem hipokryzji, dwulicowości, bojaźliwości. Odtąd Piłat nie jest już imieniem osoby, lecz nazwą winy moralnej. Piłat jest tym, który stanął oko w oko z prawdą i wybrał życie w kłamstwie. Piłat jest tym, który wierzy w ocalenie własnej duszy, opuszczając oczy i udając że nie widzi. W starożytności próbowano nawet przywrócić mu dobre imię. Tertulian uważał go za kryptochrześcijanina (*pro sua conscientia Christianus*), a kościół koptyjski kanonizował go wraz z żoną Proculą. „Nie trzeba dodawać – kończy Romano – że z dwóch Piłatów drugi nigdy nie istniał”.

Szkic *Piłat pierwszy i drugi* powstał dość dawno. Kilka dni temu, tuż przed lotniczymi rajdami NATO na pozycje artyleryjskie Serbów bośniackich, Romano wrócił do tematu w *La Stampa*, w artykule zatytułowanym prowokacyjnie *Pochwała Piłata*. Prowokacyjnie w tym sensie, że skierowanym przeciw licznym autorom, którzy w związku z postawą Zachodu wobec jatki w Bośni zaproponowali włączenie piłatowego gestu „umycia rąk” do godła Wspólnoty Europejskiej i NATO. Romano chwali Piłata pierwszego, symbol zdrowego rozsądku i poczucia odpowiedzialności, Piłata „realistę” świadomego zadań zleconych mu przez Imperatora, wpojonych przez tradycję rządów kolonialnych. Naturalnie gest „umycia rąk” przyjętą wypada jako przekaz dobudowany do Ewangelii, historia bowiem milczy co zdarzyło się naprawdę w dniu zatwierdzenia wyroku. Bogata literatura o Piłacie jest tworem fantazji: od *Prokuratora Judei* Anatola France’a, opowiadania w którym na starość Piłat nie pamięta w ogóle o „incydencie palestyńskim”, do błyskotliwej powieści Rogera Callois *Poncjusz Piłat*, w której gubernator rzymski

odwołuje ukrzyżowanie i tym samym narodziny chrześcijaństwa.

Nie to jednak jest istotne. Istotne jest, że Romano podważa legendarne (według niego) „umycie rąk” jako rzekomy symbol hipokryzji, dwulicowości, bojaźliwości i pośrednio polemizuje z uznaniem go za syndrom polityki Zachodu wobec masakry bośniackiej. Zdaje się mówić: nic innego, jeśli się jest realistą politycznym, nie można zrobić. I zapomina w krytyce paraleli Piłat-Zachód, że Bośnia nie jest kolonią rządzoną przez zachodniego gubernatora, lecz niepodległą republiką formalnie pod ochroną ONZ i NATO.

Przyjaźń przyjaźnią, trudno mi będzie wybaczyć byłemu ambasadorowi i publicyście włoskiemu ten artykuł. Na szczęście, rajdy lotnicze NATO rozpoczęte nazajutrz po ukazaniu się artykułu Romano (opłacone w ciągu czterech prawie lat stosami trupów w Sarajewie) łagodzą nieco symbol gestu Piłata włączonego do godła Zachodu, przyznając rację Edgarowi Morin: „Niebezpieczny nie jest atak, niebezpieczna jest bezczynność. Interwencję zbrojną uważam za grubo spóźnioną”.

Wreszcie jedno, najważniejsze dla nas: nie zapominajmy nigdy o groźbie „umycia rąk”, o Zachodzie przyrównanym do rzymskiego prokuratora Judei, przebierając niecierpliwie nogami w ogonku do zachodnich „parasoli ochronnych”.

13 września

Długi wdzięczności wobec tłumaczy, jakkolwiek wciąż wątpię czy poezja jest w ogóle przekładalna: wobec Barańczaka za przekłady z poezji angielskiej, amerykańskiej i rosyjskiej, za przekłady Szekspira i za dobry przekład fragmentów *Boskiej Komedii* Dantego (po wyczynach Łubieńskiego); wobec Zygmunta Kubiaka za całego Kawafisa i za tom monograficzny o poecie aleksandryjskim.

Starsi panowie znają dobrze pytanie, zadawane sobie w duchu z melancholijnym niepokojem: „Czy się jeszcze kiedyś zakocham?” W ciągu ostatnich lat moje analogiczne pytanie dotyczyło poezji, gdy wspominałem jak ją kiedyś kochałem; i jak stopniowo pasję zastępował chłód serca, połączony cza-

sem z podziwem – to prawda – ale podziwem zobojętniałym i ostygłym. Coś drgnęło podczas lektury wierszy Świrszczyńskiej, a zapłonęło zimnym ogniem nad wierszami Kawafisa.

Marguerite Yourcenar pisze o „pewnego rodzaju czystym prozaizmie” w poezji Aleksandryczyka. Nie jest entuzjastką absolutną Kawafisa, słusznie dostrzega u niego również wiersze nieudane i płaskie. Tam jednak, gdzie Kawafis jest wielki, nadaje swojej sprozaizowanej poezji (czy spoetyzowanej prozie) dźwięk o czystości niedościgłej, wydawało się, dla pióra (korzystając po polsku z idealnego ucha Kubiaka). Opowiada. Opowiada nie jak autorzy poematów opisowych lub epickich, którzy odnajdują kanon wierszowanej narracji. Opowiada esencję, nierzadko aforystyczną, dostrzegalną dla oka, lecz z pozoru niewyraźną. Nie jest przypadkiem, że cytuje się ciągle wiersz *Czekając na barbarzyńców*, dopasowując go do wszystkich epok. Im częściej recytowany, tym wyraźniej odślania swoją naturę dziejowej, nieuchwytnej esencji, towarzyszącej historii jak cień cienia. Przed laty zależało mi na napisaniu opowiadania o starych ludziach; chodził mi po głowie jeden z wierszy Kawafisa w roli nieodzownego (dla mnie) zapłonu, ale nie byłem w stanie ani go odnaleźć, ani przypomnieć go sobie w pełnym (króciutkim zresztą) brzmieniu. I oto jest w tomie Kubiaka: *Dusze starych ludzi*. Osiem linijek, które ja chciałem jak płomyk rozdmuchać w długim opowiadaniu. Minęło. Chwilo, nie jesteś wieczna!

Albo wiersz pod włoskim tytułem *Che fece... il gran rifiuto*. Dante w tych właśnie słowach napiętnował „wielką odmowę” Celestyna V, trzynastowiecznego mnicha abruzyjskiego, którego na *conclave* wybrano papieżem. Na dwa lata, po dwóch latach bowiem, przyjrawszy się papieskiemu Rzymowi, *papa angelicus*, anielski papież, dobrowolnie zrezygnował z tronu Świętego Piotra i umarł w lochach swego „światowego” następcy, Bonifacego VIII (z książęcego rodu Caetanich). Kawafis poświęcił mu wiersz jako przykładowi Nie, którego się nie żałuje i nigdy nie odwołuje. „Ale właśnie to Nie – to słuszne Nie – na całe życie grzebie”. Może jedyny raz zawiodła Aleksandryczyka intuicja historyczna. Reakcja na piękny dramat Silonego o Celestynie V *Przygoda biednego chrześcijanina* była dowodem żywości owego Nie po siedmiu stuleciach.

17 września

Nieraz już próbowałem rozwikłać zagadkę powodzenia dżumy jako metafory. Dlaczego jest tak często przez pisarzy przywoływana nie w celach czysto opisowych, lecz dla ukazania czegoś innego, pokrewnego? Czego? I pokrewnego w jakim stopniu, na jakim planie, w jakim wymiarze? W przedmowie do klasycznego okazu gatunku, do *Dziennika roku dżumy* Daniela Defoe, samo osiemnastowieczne arcydzieło uznałem za metaforyczny portret „protagonisty zbiorowego”, ciągnąc tę myśl dalej do powieści Camusa, *Muru* Johna Herseya, *Kroniki lat wojny i okupacji* Ludwika Landaua, *Zapisków z getta warszawskiego* Emanuela Ringelbluma, własnego *Innego Świata*. A przecież mógłbym być wzbogacić jeszcze listę, wpisując na nią choćby moje opowiadanie *Dżuma w Neapolu*. Temat każdej z wymienionych pozycji zdawał się lepiej widzialny poprzez przenośny obraz dżumy: od kroniki kryzysu społeczeństwa angielskiego, poprzez drugą wojnę światową w oczach Camusa, okupację niemiecką u Landaua, getto u Ringelbluma, sowiecki wszechświat koncentracyjny w *Innym Świecie*, stan wojenny w *Dżumie w Neapolu*.

Odpowiedź na intrygujące mnie pytania znalazłem w odczytanej na nowo wielkiej książce Tocqueville'a *Dawny ustrój i rewolucja*. Nadzwyczajnej przenikliwości wymagał następujący fragment: „Kiedy mieszczanin został dokładnie odcięty od szlachcica, a chłop od szlachcica i mieszczanina, kiedy analogiczne dzieło dokonało się w łonie każdej klasy i każda z nich podzieliła się na małe grupki, niemal tak samo od siebie izolowane, jak jedna klasa od drugiej – wówczas okazało się, że całość społeczeństwa stanowi już tylko jednorodną masę, ale jej części nie są już ze sobą powiązane. Żadne organizmy nie mogły już krępować rządu, ale żadne też nie mogły mu pomagać. Tak dalece, że cały gmach wielkości władców mógł od razu runąć w chwili, kiedy ruszyło się społeczeństwo stanowiące jego fundament”.

Nazwałbym to pożywką „dżumy społecznej”, w której Tocqueville widział jedną z przyczyn wybuchu Rewolucji Francuskiej, mimo że sytuacja gospodarcza kraju szła raczej

ku względnej poprawie. Jeszcze lepszym, precyzyjniejszym określeniem byłby „kryzys życia zrzeszonego”, główny atrybut prawdziwej dżumy, jak wykazuje włoska jej badaczka Giulia Calvi, porównując i analizując wszystkie kolejne epidemie w Europie. I „dżumę społeczną”, gwałtowny „kryzys życia zrzeszonego”, niosą ze sobą okresy przedrewolucyjne, wojny, okupacje, instytucje totalitarne, stany wyjątkowe (nawet w wypadkach majstersztyków typu Jaruzelskiego). Rozkleja się stopniowo i kruszy spoiwo społeczne, pozostaje jednorodna masa złożona z izolowanych, nie powiązanych już ze sobą cząstek. Człowiek zmuszony jest żyć *osobno*, unika większych wspólnot, co właśnie potrafili pokazać wymienieni przeze mnie na wstępie autorzy.

Rodzi się pokusa spojrzenia z tego punktu widzenia na społeczeństwo postkomunistyczne. Zadanie dla pracowitych i bystrych socjologów, dla obserwatorów i analityków z rodu autora *Dawnego ustroju i rewolucji*. Moje dwie, zbyt niestety krótkie podróże do Polski, pozwoliły zakiełkować pewnym podejrzeniom, jakkolwiek niewątpliwy był postęp gospodarczy (niektórych warstw społecznych). Ale nie miałem jeszcze poczucia rozkwitu życia zrzeszonego, jednorodnej masy zmierzającej do podziału na żywe grupy społeczne, chociaż lata uniformizacji komunistycznej („dżumy społecznej”) powinny były pchnąć w tym właśnie kierunku. Przyszłość pokaże, czy „ruszy się społeczeństwo stanowiące fundament władzy”, czy zadrzy „gmach wielkości władców”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Impresje i wspomnienia na temat znaczka pocztowego

Ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że ukazała się seria znaczków pocztowych o polskich grafikach i że na jednym znaczku figuruje nazwisko „KAROL MONDRAL”. Czy to ma coś wspólnego ze mną?

Pobiegłam na Bagatelę do sklepu filatelistycznego i udało mi się dostać kilka kopert z całą serią: Władysław Skoczylas, Karol Mondral, Tadeusz Kulisiewicz, Edmund Bartłomiejczyk.

Aż mi dech zaparło: profil mojej matki, w tle stylizowane digitalisy, całość w szarozielonym tonie.

Zaiste dziwne to uczucie zobaczyć nagle własną matkę na znaczku; a znaczek to reprodukcja jednej z gawiur ojca.

Drzeworyt. Jedna z wcześniejszych prac ojca, głowa pięknie wkomponowana w kwiaty. Las w Clamart. Jeździłiśmy tam często, wiosną i latem, czasem jesienią. Tramwajem od porte de Versailles – rogatki wersalskiej – która była wtedy prawdziwą rogatką, bo Paryż był jeszcze otoczony pierścieniem fortyfikacji.

Muszę się jednak bardziej cofnąć w czasie.

Rok 1909. Młody malarz, Karol Mondral, z ciężkim sercem rozstał się na dworcu warszawskim z poślubioną przed półtora rokiem żoną. Trzeba jechać w świat, tutaj czysta sztuka nie daje możliwości egzystencji. Niby jest nazwisko, w roku 1902 po raz pierwszy przyjęto na wystawę do Zachęty namalowany przez niego portret. Ale wystawianie w Zachęcie

to nie chleb na co dzień. Żeby żyć – trzeba zarobkować. Można i malarstwem, na przykład malując zamawiane przez handlarzy sztuki pejzaże, albo seryjne „landszafty” na łózkach i martwe natury na kredensach w ojcowskim warsztacie stolarskim. To jednak nie jest sztuka, nie takie aspiracje miał młody Karol.

Zdołał uciąć trochę pieniędzy, żeby pojechać do krakowskiej Akademii. Po siedmiu latach nauki w sławnej szkole Gersona, gdzie profesorami byli między innymi sam Wojciech Gerson, Jan Kauzik i Adam Badowski – u nich właśnie się uczył – pojechał do Krakowa i zgłosił się do profesora Leona Wyczółkowskiego, który prowadził wtedy trzeci rok studiów. Po obejrzeniu rozłożonych na podłodze płócien kandydata nawiązał z nim rozmowę, którą zakończył mniej więcej tak:

– Widzę, że naprawdę chcesz się pan czegoś nauczyć. Idź więc do pana Gorzkowskiego, do kancelarii i powiedz, żeś przyjęty do mojej pracowni.

Przed młodym Karolem otworzył się nowy, cudowny świat. Jakże inny od wieczorowej szkoły Gersona i codziennej harówki w ojcowskim warsztacie. Świat czystej sztuki, któremu patronowali tacy profesorowie, jak Stanisław Wyspiański, Józef Mehoffer, Teodor Axentowicz i Jan Stanisławski.

Czas schodził między pracownią w Akademii i plenerami w Bronowicach, które się stały Mekką młodych adeptów sztuki od ślubu Lucjana Rydla i wystawienia „Wesela” Wyspiańskiego.

Niedługo jednak trwały te napęczniałe nadzieją i pracą, często głodne dni. Przyszła zła wiadomość: umarł ojciec, trzeba wracać do Warszawy.

I znowu harówka, co roku obraz przyjęty na wystawę w Zachęcie, nazwisko malarskie niby jest, ale to nie to. Młodeму artyście marzą się akwaforty, miedzioryty, suche igły i przeróżne techniki graficzne. Nikt ich w Polsce nie uczył. To i owo się wiedziało, ale za mało, żeby się do tego poważnie zabrać...

Trzeba jechać w świat. Monachium? Paryż? A tymczasem tu, w Warszawie, trzyma serce. Piękna Roma zgodziła się zostać jego żoną. Ale jak tu żyć, jak założyć dom? Jakie widoki na przyszłość?

Ukochana Roma, Romana Pogorzelska, była na owe czasy niezwykle dziewczyną. Nie siedziała w domu czekając na męża, tylko pracowała. Jako sekretarka i organizatorka koncertów w fabryce pianin Kerntopfa. Ta praca wprowadziła ją w kręgi warszawskich muzyków. W tym właśnie środowisku poznała Karola Mondrala, który był co prawda malarzem, ale grał także na skrzypcach. Przez osiem lat pilnie ćwiczył pod kierunkiem pana Tomaszewskiego, pierwszego skrzypka Opery Warszawskiej. Poznali się i pokochali.

Pani Roma nie chciała swoją osobą hamować zamiarów i ambicji męża. Bódcem do ostatecznej decyzji stał się wyjazd do Paryża przyjaciela, Stefana Stasiaka, który na Sorbonie miał studiować orientalistykę. Pojechał i napisał: „Przyjeżdżaj, zaczepisz się u mnie, a potem sam zobaczysz...”

I tak się stało. Po roku, w 1910, wyruszyła też z Warszawy Roma. Karol zdobył mieszkanie! Nie byle jakie... albo raczej „pozał się Boże”.

LA RUCHE, dosłownie UL, to dzisiaj budynek uznany za zabytek. Krążą wokół niego legendy, w których jest i wiele prawdy.

Znany francuski rzeźbiarz, Alfred Boucher, rzeźbił portret królowej rumuńskiej. Ta mu ofiarowała piękny powóz z końmi i bogatą uprzężą. Wyjechawszy kiedyś na przejażdżkę zapędził się na peryferie Paryża, pod same fortyfikacje, gdzie kończyła się rue de Dantzig, czyli ulica Gdańska. Wstąpił do jakiegoś *bistrot*, spodobało mu się to odludzie i kupił tam szmat ziemi. Jego bratanek, Albert Boucher, młody człowiek o dziwnych pomysłach, namówił go do kupienia pawilonu z Wystawy Światowej 1900 roku i przeniesienia go tam, aby stał się załączkiem osiedla artystycznego. Tak się stało. Uroczyste otwarcie „ula”, w obecności jakiegoś ministra, odbyło się w 1902 roku. Nadano budynekowi pompatyczną nazwę „Villa Médici”, ale nazwa gdzieś się z upływem lat zapodziała i pozostał „UL”. Nową nazwę podyktował kształt budynku, coś jak wysoki, szesnastoboczny tort, podzielony na porcje-pracownie, zwieńczony zgrabną wieżyczką, oparty na oszklonym dachu okalających go pracowni rzeźbiarskich.

Pierwsze i drugie piętro to pracownie malarzy i grafików, stanowiące zarazem ich mieszkania. Karol Mondral wynajął taką pracownię z antresolą na pierwszym piętrze, a kiedy na

świat przyszło dziecko, mała Mila, drugą tuż obok. Ta stała się mieszkaniem, zmyślnie podzielonym na pokój i kuchenkę.

Pracownia to warsztat. W pracowni się tworzy. Ale pierwszy okres pobytu w Paryżu to bieganie po wystawach i muzeach, spotykanie się z innymi artystami. To długie i burzliwe dyskusje w *Café de la Rotonde* na Montparnassie, gdzie schodziła się cała ówczesna „malaria” polska, jak sami siebie nazywali polscy malarze. Karol odnalazł tu kolegów i znajomych z kraju, poznał innych – nie tylko Polaków. W swoich wspomnieniach wylicza wielu: Konstanty Brandel, Rubczak, Kuczbór, Nadelman, kompozytor polski francuskiego pochodzenia de Fleury, a także Modigliani i Picasso.

Wciąż głównym celem jest grawiura. Zaczyna od drzeworytów, bo nie wymagają specjalnych urządzeń: wystarczy odpowiednie drzewo, kilka rylców i dłutek, płaski tampon obciągnięty skórką, żeby dociskać papier na płycie powleczonej farbą. Są to drzeworyty wielobarwne, jak mówił: uczciwe. Kiedy każdy kolor ma oddzielną płytę i dochodzi płyta konturowa. A według ojca „drzeworyty nieuczciwe” to wydrukowany kontur i kolorowe płaszczyzny zamalowane pędzlem.

Zaczyna się też parać akwafortą. Owocem dwuletniej pracy jest wysłanie na konkurs grafiki do Krakowa, w roku 1911, suchorytu „SZEWC”, który mu przyniósł zaszczytne wyróżnienie. A więc został zauważony! Po debiucie, jakim było przyjęcie pierwszego obrazu na wystawę do Zachęty w roku 1902, ten konkurs był początkiem następnego etapu. Ileż lat pracy, ile wytrwałości, ile wyrzeczeń! Ale przede wszystkim odwagi, wiary we własne siły i konsekwentnego podążania obraną drogą.

Rok 1911 stał się pamiętny z innych jeszcze powodów. Pod znakiem „Raka”, w dniu 30 czerwca przychodzi na świat jedyne dziecko, mała Paryżanka Mila. Można ją znaleźć uwiecznioną na wielu akwafortach. Wiadomo, że żaden ówczesny malarz nie mógł się obyć bez modelu. A tu dwa modele pod ręką! Kilka lat później, kiedy ulubioną zabawą dziecka było patrzenie, jak tata rysuje, mała prosiła: „A teraz kózkę! A teraz kotka! A teraz panią!”... Rysowana „pani” była zawsze podobna do żony, z postaci i gestu, a profil sam wychodził spod ołówka.

Nic więc dziwnego, że portrety mamy-Romy mnożyły się, szkicowane w różnych okolicznościach i przenoszone na płyty.

Życie rodzinne nie odrywało artysty od sztuki. Właśnie w 1911 roku dorobił się własnej prasy do akwafort, którą niemal całkowicie sam wykonał. Przydały się lata terminowania w ojcowskim warsztacie stolarskim. Umiał posługiwać się nie tylko rylcem i pędzlem, lecz także piłą, heblem, pilnikiem i młotkiem.

Można się zastanawiać, z czego się cała rodzina utrzymywała. Żona i dziecko to duży obowiązek, nikt żadnych pieniędzy nie przysyłał, trzeba było je zarobić. Muszę przyznać, że konkretnie wiem tylko o dwóch źródłach zarobku.

W roku 1910 odwiedziły Francję olbrzymie powodzie. Sekwana zalała ogromne połacie ziemi, w Paryżu nie tylko nabrzeża, ale i niżej położone dzielnice. Wtedy to przyjaciel ojca, Stefan Stasiak, późniejszy profesor orientalistyki na uniwersytecie lwowskim, naraił Karolowi zamówienie jakiegoś marszanda na serię grawiur pt. „L'inondation”, czyli „powódź”. Pamiętam niektóre z nich: woda niosąca domowe sprzęty, ludzie uczeplieni pływającego pnia, łby zwierząt sterujące z wody. A w tle Pont Neuf, Notre-Dame i inne paryskie budynki. Te odbitki gdzieś się z biegiem lat zapodziały, a płyty były prawdopodobnie objęte umową z marszandem.

Drugim klientem-dobroczyńcą był jakiś brazylijski miłośnik sztuki, kolekcjoner. Na zimę zjeżdżał do Paryża i kupował od ojca wszystko, co przybyło od poprzedniej wizyty. Jak tylko przychodziła zapowiedź przyjazdu „Kawiarza”, jak go ojciec nazywał, w domu zaczynał się ruch. Gość zjawiał się, siedział kilka godzin w pracowni, wychodził z teczką prac. A mama zabierała się do pakowania, bo jak tylko zabłyśło wiosenne słońce, wyjeżdżaliśmy.

Trzeba wiedzieć, że decyzje o wyjeździe zapadały błyskawicznie. Wielką namiętnością ojca było morze, przede wszystkim Ocean Atlantycki. Co roku wyjeżdżaliśmy do Bretanii – St. Briec, Concarneau, Portrieux. Bezczesny błękit, grzywiaste fale, urwiste brzegi, malownicze rybackie porty. Cała seria „bretońskich rybaków” pozostała w dorobku artysty. No i oczywiście żona: przepiękna akwaforta „Bretonka w czepku” to także pani Roma.

Były i inne kierunki artystycznych peregrynacji: Marsylia, Cette, Biarritz, Lourdes. A także Szwajcaria. Architektura, fragmenty portów, handlarka ryb.

Ale na specjalną wzmiankę zasługuje Londyn. To cała historia. Pewnego razu wywiązała się w Rotondzie dyskusja – jak to często bywa między malarzami i rzeźbiarzami – która dziedzina sztuki jest „trudniejsza”. Rzeźbiarze dowodzili, że to żadna sztuka kolorami czy kreską przedstawić świat, wystarczy wiedzieć coś niecoś o perspektywie. Malarze zaś żartobliwie tłumaczyli, że rzeźbić to najłatwiejsza rzecz pod słońcem: „Bierze się kłoc drzewa, bryłę kamienia lub marmuru, dłutem odłupuje się to, co niepotrzebne, i rzeźba gotowa!” Od słowa do słowa założyli się. Który malarz coś wyrzeźbi, a rzeźbiarz namaluje. Oczywiście musi to być rzecz wartościowa artystycznie.

Memu ojcu nie trzeba było tego dwa razy mówić. Od kolegi i przyjaciela, rzeźbiarza Franciszka Blacka, dostał bryłę marmuru. „Nada się dla terminatora – powiedział Black. – Nie jest czysto biały, nie mogę ryzykować, że na nosie wypadnie czarna pręga”.

Ojciec zaryzykował. Według wszelkich zasad sztuki rzeźbiarskiej ulepił najpierw głowę z gliny, z tego zrobił gipsowy odlew, potem żmudnie przenosząc wymiary cyrklem wykłuł portret w marmurze. Wypolerował go. A bryła marmuru, jakby wdzięczna za tyle trudu, ukazała ciemne plamy tylko na dolnej części twarzy, na szyi i włosach. Nos, policzki, oczy i czoło to nieskazitelna biel. I wiele lat później marmur jeszcze raz odpłacił się za artystyczny trud.

A stało się tak.

W roku 1939, za ledwie zaczęła się wojna, rodzice zostali wysiedleni przez Niemców z Poznania zgodnie z humanitarną metodą „Raus za pół godziny”. Oczywiście pozostawili wszystko. Mieszkanie zajęli Niemiec, który – jak opowiedzieli po wojnie sąsiedzi – wynosił po kolei na targ wszystkie obrazy na wymianę za masło czy jajka. Miał co wynosić: trzy ogromne skrzynie, tak zapakowane, jak powróciły ze zbiorowej wystawy ojca. Po powrocie do Poznania w roku 1945 – z plecakami i torbami – rodzice zastali kilka dawnych sprzętów, portret córki i marmurową głowę żony. Najwidoczniej była za ciężka, żeby ją donieść na targ.

Może obrazy olejne – pejzaże – zdobią ściany w jakichś

wielkopolskich wioskach? Jedno jest pewne, że nie kupowano ich dla złoconych ram, gdyż wszystkie były oprawione w proste listwy, najwyżej zaciągnięte na brązowo.

Ta praktyka rzeźbiarska przydała się ojcu. Poznał w Paryżu rzeźbiarza – Anglika, widocznie zamożnego człowieka, który mu zaproponował wyjazd na pół roku do Londynu wraz z rodziną, aby wykłuł w marmurze czy w kamieniu jego rzeźby. Ojciec przystał na tę propozycję, bo był ciekaw świata. Działo się to w roku 1912.

Po powrocie do Paryża zabrał się tym ostrzej do roboty. Przywiózł szkicownikami pełne londyńskich motywów. A w Paryżu zastał wiadomość, że w Warszawie ogłoszono II konkurs grafiki im. Grohmana. Termin: początek roku 1914.

Posłał piękną akwafortę „Zuzanna i starcy”. Otrzymał II nagrodę, pierwszą dostał wtedy Władysław Skoczylas za „Głowę górala”. To był sukces.

Widocznie sukcesy chodzą parami. Niemiał jednocześnie inny ewenement, i to na paryską skalę. Kilku polskich artystów wystawia w „Salon des Indépendants”, a więc „Niezależnych”. W *Biuletynie Polskim* (*Bulletin Polonais* z roku 1914, nr 311, str. 174) wymienieni są: Rembowski, Ciechanowska, Samlicki, Rubczak, Bałzukiewicz, Jan Wysocki, Ludwik Puget, Wittig, Kossak, Adam Styka. O Karolu Mondralu zacytowana jest krytyka: „...wystawił akwaforty i suche igły o fakturze zwartej i mocnej, nie wykazujące oschłości portretów kreślonych przez Jana Rembowskiego, zresztą interesujących”.

W innej wystawie, odbywającej się w Towarzystwie Artystów Francuskich (*Société des Artistes Français*), brali wtedy udział: Boznańska, Terlikowski, Tadeusz Styka i najbliższy przyjaciel Karola Mondrała, Konstanty Brandel.

Latem roku 1914 wybucha wojna. Zaczynają się moje pierwsze własne wspomnienia. Władze Paryża zwracają się do ludności z apelem, żeby każdy, kto może, opuścił stolicę. Pamiętano jeszcze rok 1870, kiedy w oblężonym mieście zabrakło żywności, jedzono psy i szczury. Wyruszyliśmy więc do Bretanii. A w roku 1916, kiedy niemiecka „gruba Berta” ostrzeliwała nadsekwańską stolicę z odległości kilkunastu kilometrów, mama wywiozła mnie do Royan, gdzie zorganizowane zostały kolonie dla dzieci polskich.

Z czego się wtedy żyło? Bo przecież w sytuacji niemal frontowej zamarło życie artystyczne. Ojciec retuszował fotograficzne powiększenia zdjęć poległych żołnierzy. Każda francuska rodzina chciała mieć portret „swojego bohatera”, a przeważnie zdjęcia w mundurze nie mieli. Trzeba było robić fotomontaże, przeważnie powiększenie głowy uzupełniało się mundurem z właściwymi dystynkcjami. To wymagało „artystycznego retuszu”.

Mama też znalazła zajęcie. Modne się stały wówczas laleczki-parki z wełny, które się dawało żołnierzom na szczęście, jako maskotki. Miały nawet imiona: *Nénette et Rintintin*. Od takich prostych laleczek do bardziej wymyślnych. I tu Polka, pani Łazarska, wpadła na genialny pomysł. Zaczęła wyrabiać lalki artystyczne lekkie i nietłukące. Korpus, główka i członki były z cienkiego płócienka, wypchane kapokiem. Te główki haftowało się, potem lalki były na różne sposoby ubierane: dzieci, pasterki, rokokowe damy. Zrobiły fantastyczną karierę i pani Łazarska mogła zatrudnić wiele Polek, które kroily, zszywały, wypychały, haftowały i ubierały lalki.

I tak jakoś przebiegaliśmy wojnę. W tym okresie – w pamięci i dokumentacji – znajduję tylko kilka znamienych punktów. Jakieś gwiazdkowe wieczory dla dzieci i dorosłych, żywe obrazy z apoteozą Polski, husarią i kosynierami. Pamiętam sztukę, w której grałam wypowiadając jedno jedyne zdanie: „A moja mama powiedziała, że trzeba jeść chleb suchy, bo to wojna!” Była też w roku 1917 szopka, do której pani Łazarska projektowała i szyła kostiumy. I także w roku 1917 wystawa „Bratniej Pomocy” w lokalu na Montparnasse, na której swoje prace wystawili: Ciechanowska, Rubczak, Brandel, Chełmońska, Mondral i Makowski.

Tu mi się przypomina pewne zdarzenie związane z Tadeuszem Makowskim. Odwiedzał ojca od czasu do czasu, kiedyś został zaproszony czy to na Wigilię, czy na inny dzień w okresie świąt. Widocznie przeżywał jakąś lepszą passę, bo wystąpił z prezentem dla dziecka, czyli dla mnie. Było to pudełko wielkości 10 na 15 centymetrów, z wewnętrzną podziałką na kilka mniejszych przegródek, z celuloidową przykrywką. Zawierało różnokolorowe szklane koraliki, każdy kolor w oddzielnej przegródce. Przyjęłam prezent, dygnęłam, otworzyłam i wysypałam koraliki na celuloidowe wieczko.

Makowski krzyknął oburzony: „Ale mnie baba oszukała! Byłem pewny, że do samego dna są koraliki!” Pudełko bowiem miało ze 3 centymetry wysokości, ale wewnątrz była podkładka i koraliki leżały starannie ułożone w jedną warstwę na wierzchu. Spojrzałam zdumiona na gościa i powiedziałam: „Przecież tak jest zawsze”. A w myśli dodałam: „Jacy ci mężczyźni są głupi, ja to wiem od dawna”. Oczywiście dostawiałam już podobne pudełka i wiedziałam.

Pierwsze lata po wojnie i dla ojca i dla mnie zaczynają się bardzo liczyć. W szkole dowiadujemy się o kapitulacji Niemiec podpisanej 11 listopada 1918 roku, cały Paryż rozbrzmiewa popularną piosenką żołnierską o Madelon...

Polscy artyści od razu dali znać o sobie. Już 30 listopada odbył się wernisaż wystawy polskich malarzy i rzeźbiarzy, a dochód z ofiarowanych prac był przeznaczony na „Inwalidów Armii Polskiej we Francji”. Protektorat nad wystawą, która się odbyła w pałacu hrabiego Mikołaja Potockiego na Avenue Friedland, objął sam Prezydent Republiki Raymond Poincaré. Pamiętam ten wernisaż, na który artyści mieli wolny wstęp wraz z rodzinami, inaczej nie byłoby mowy o wejściu: wstęp kosztował aż 10 franków od osoby! Swoje prace ofiarowali tacy artyści, jak Boznańska, Chełmoński i Chełmońska, Czerwiński i Bałzukiewicz, Rubczak i trzej Stykowie – Jan, Tadeusz i Adam – oraz wielu innych. Oczywiście Karol Mondral ofiarował też swoje prace, cztery grawiury.

Chyba w tym właśnie czasie dostąpiłam nie lada zaszczytu, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Mama orzekła, że już jestem dość duża na to, żeby być przedstawioną u państwa Mickiewiczów. Poszłyśmy we dwie, ojciec miał przyjść oddzielnie. Kiedy wchodziłyśmy po schodach mama mi zapowiedziała, że panią Mickiewiczową mam pocałować w rękę. Stałam i stanowczo powiedziałam: Nie! Tylko panowie całują panie w rękę, ale ja? Nie i nie! Żaden argument do mnie nie trafiał: że to starsza pani, taka babcia, że trzeba... dopiero kiedy mama powiedziała, że i ona pocałuje panią Mickiewiczową w rękę ustąpiłam. W następne czwartki na rue Guénégaud byłam już całkiem poskromiona. Był tam bowiem czarny kudłaty piesek, który przeważnie spał na kolanach panny Marii Mickiewicz, a przede wszystkim była papuga. Mówiąca. I nawet śpiewająca. A kiedy jej się nie

chciało, to tylko poprawiała, kiedy jej się śpiewało:

Au clair /rrrr/ de la lune,

Mon ami Pier /rrrr/ ..ot...

Życie artystyczne rozszalało się po wojnie. Miałam szczęście, bo rodzice wszędzie mnie zabierali. Pamiętam zespół Izadory Duncan w prostych greckich tunikach, jeden spektakl *ballets russes* Diagilewa, a w Salle Gaveau koncert Wandy Landowskiej i Bronisława Hubermana. Jak dziś pamiętam, co mi wtedy ojciec opowiedział: że Huberman koncertował od siódmego roku życia, był „cudownym dzieckiem” i starano się możliwie przedłużyć owo dzieciństwo. Ojciec za młodu chodził w Warszawie na wszystkie możliwe koncerty, jako że sam grał na skrzypcach. Wiedział, że Huberman był zaledwie o dwa lata od niego młodszy, a mając siedemnaście czy osiemnaście lat występował na estradzie w krótkich spodenkach i marynarskiej bluzie, żeby podtrzymać mit o „cudownym dziecku”.

Widziałam też na scenie Sarę Bernhardt. Było to na rok czy dwa przed jej śmiercią, grała rolę bardzo starszej damy, cały czas siedziała w fotelu na kółkach, już w 1914 roku amputowano jej nogę. Treści sztuki oczywiście nie pamiętam, ale siedziałam jak urzeczona. Potem mama zapytała: jak ci się podobało? Co najbardziej? Odpowiedziałam bez wahania: „Ona tak pięknie mówi po francusku! Nigdy takiej pięknej mowy nie słyszałam!” Wydaje mi się, że właśnie wtedy obudziło się we mnie ukochanie teatru i od tamtej chwili jestem uczulona na dykcję aktorów.

Dla dopełnienia atmosfery naszego domu muszę wspomnieć o wędrownkach z ojcem po paryskich muzeach. Oczywiście w te dni, kiedy wstęp był bezpłatny. Szliśmy od samego rana np. do Luwru. Oglądaliśmy jedną tylko salę, albo dzieła jednego malarza. W domu zaś, przez następny tydzień, studiowaliśmy albumy i książki o tym malarzu, ojciec opowiadał o epoce, w której żył, co się wtedy działo na świecie.

Zwiedzanie muzeów i polowania na książki u bukinistów nad Sekwaną – to były okazje do wypowiedzania myśli o sztuce, o życiu, o zasadach postępowania. Wiele z nich zapamiętałam na zawsze, inne odnalazłam w zapiskach i

listach ojca.

„Nawet człowiek pierwotny szukał piękna, majstrował sobie ozdoby, rysował na skałach. To jest wewnętrzna potrzeba człowieka. Piękno samo w sobie, nawet bez cech użyteczności”.

„Zawsze piękna jest natura. Od najmniejszego kwiatka po niebotyczne góry. Wystarczy od niej się uczyć i naśladować ją – ale twórczo – to znaczy oddawać w dziełach artystycznych nie tylko barwę i kształt, ale także wrażenie, które w artyście wzbudził dany motyw. I to jest istotne. Dlatego od razu odróżnia się obrazy Leonarda i Rubensa, Van Dycka i Rembrandta. Nie według tematów, ale po sposobie malowania”.

„Szukanie piękna powinno być dewizą każdego człowieka. Bo piękno to także dobroć, życzliwość dla ludzi. Jakim hasłem się kierować? Nigdy drugiemu człowiekowi nie uczynić krzywdy”.

Kiedyś spadł w Paryżu śnieg... i leżał, co było rzadkością. Poszliśmy z ojcem na spacer. „Jakiego koloru jest śnieg?” – zapytał ojciec. „Przecież biały!” – odpowiedziałam zdziwiona pytaniem. „A wcale nie. Przyjrzyj się dobrze, jaki jest pod tamtym domem, w cieniu?” Spojrzałam. „Prawie niebieski!” „O, właśnie. A tam, w słońcu?” „Skrzy się, ale jakoś dziwnie... trochę różowo”. „Tak, bo pod wieczór promienie są czerwone. Widzisz, kolor nie zależy od podstawowej barwy przedmiotu, ale od jego oświetlenia, od sąsiedztwa innych kolorów, czasem od odbicia innych barw”.

Tak to ojciec uczył mnie patrzeć i uczył myśleć.

Rok 1921. Muszę do niego powrócić, bo był bardzo ważny dla ojca i jego przyszłości. Po udziale w *Musée des Arts Décoratifs* na rue de Rivoli doczekał się teraz wystawy indywidualnej, z której Gabinet Rycin Francuskiej Biblioteki Narodowej (*Cabinet des Estampes Modernes de la Bibliothèque Nationale*) zakupił sporą kolekcję do swoich zbiorów. Jak wówczas powiedział dyrektor Gabinetu Rycin, Clément Janin, Karol Mondral jest pierwszym artystą polskim, którego kilkanaście prac zakupiono do tych zbiorów. Wydaje mi się, że to bardzo ważne.

Dla mnie ten rok 1921 też się stał pamiętny. A było tak.

Zapowiedziano przyjazd do Paryża Marszałka Józefa Piłsudskiego. Przykazano, aby w każdej szkole zorganizować pogadankę o Polsce. Łatwo nakazać, ale do tej pory Polski nie było, w szkołach o Polsce nie uczono, najwyżej tyle, że żoną Ludwika XV była Maria Leszczyńska, której nazwisko czytało się „Leżęska” – z akcentem na ostatniej sylabie. Dyrektorka szkoły miejskiej, do której chodziłam, kazała mi zapytać rodziców, czy mogą coś o Polsce napisać, a ja bym to powiedziała.

Oczywiście mogli. Napisali, ja to przetłumaczyłam na francuski (mój pierwszy przekład!) i bez większej tremy wygłosiłam w auli dla całej szkoły (moja pierwsza prelekcja, a miałam lat 9 i pół!).

Czekała mnie jeszcze jedna emocja: nazajutrz po przyjeździe Piłsudskiego odbyło się spotkanie z kolonią polską w ambasadzie. Tam dla odmiany wręczyłam Marszałkowi kwiaty, jako że miałam strój Krakowianki i spośród dzieci urodzonych w Paryżu najlepiej mówiłam po polsku.

A trzecie wydarzenie w tymże roku 1921: Konstanty Brandel pojechał do Polski „rozejrzeć się” i wrócił z propozycją dla ojca. Zapraszają go do Szkoły Przemysłu Artystycznego w Bydgoszczy jako kierownika wydziału grafiki.

Zgodził się. I tak zaczął się trzeci etap w życiu ojca. Oczywiście niezależnie od pracy nauczycielskiej malował i rysował, pogłębiał techniki graficzne, dużo wystawiał. W bydgoskiej Bibliotece Miejskiej znajduje się duża kolekcja jego prac. W roku 1931 przeniósł się do Poznania, do tamtejszej Szkoły Zdobniczej.

Ten okres, do wybuchu wojny w 1939 roku, pozwolił mu wykształcić wielu uczniów, z których niejeden stał się znanym artystą-grafikiem. Między profesorem i młodzieżą nawiązały się więzy przyjaźni. Do śmierci go odwiedzali, do dziś go wspominają. W listopadzie 1980 roku, dla uczczenia i przypomnienia setnej rocznicy urodzin swego profesora, grono byłych uczniów zorganizowało w Poznaniu, w Pałacu Działyńskich, odczyt o jego życiu, twórczości i zasługach. Wygłosiła go Janina Pęcherska-Szczepka, poznańska plastyczka, uczennica i „wojenna córeczka” moich rodziców.

Wojna była dla ojca nie tylko katastrofą życiową i narodową. Była końcem świata, unicestwieniem całego dorobku

artystycznego. Wyrzucony przez Niemców z Poznania, zdołał ze sobą zabrać zaledwie tekę grawiur – olbrzymie obciążenie w pieszej wędrówce. Dźwigał tę tekę przez całą okupację, najpierw do obozu w Główniej pod Poznaniem, potem do wioski na Lubelszczyźnie, aż dotarł do Warszawy. Po powstaniu znowu pieszo dotarł do Pruszkowa, stamtąd bydlęcym wagonem pod Tarnów. Aż wreszcie wiosną 1945 roku znalazł się znów w Poznaniu.

Mieszkanie było zdewastowane, obrazy wyprzedał Niemiec, który je zajmował, a pracownia w Szkole Zdobniczej spłonęła z całym budynkiem.

Od razu włączył się do uruchomienia wydziału grafiki w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Tak jak kiedyś w Paryżu, potem w Bydgoszczy i już raz w Poznaniu, musiał z pamięci odtworzyć konstrukcję pras do akwafort, opracować program nauczania. Kiedy tego dokonał, zaskoczono go decyzją, że wydział grafiki zostaje przeniesiony do Łodzi. Miał już lat 68, za wiele, żeby od nowa zapuszczać gdzieś korzenie. Przeszedł na głodową emeryturę. Pozostał w nie własnym mieszkaniu z ogródkiem, hodował róże, trochę za późno dał się namówić na spisywanie wspomnień. Zamiast tego robił skrzypce, bo dręczyła go ciekawość, jak też będą brzmiały, jeśli je zrobi własnymi rękami? Hodował róże, przepiękne, szczepił je fantazyjnie po trzy odmiany na jednym pnium i cieszył się, kiedy po białej zakwitała bladoróżowa, a później pąsowa.

Kiedy ukazał się znaczek z kobiecą głową i digitalisami, do gazet zwracali się czytelnicy z pytaniem: kim jest albo był ów Karol Mondral? Jak to się stało, że na znaczek trafiła praca artysty, którego nie ma w żadnej encyklopedii, nawet w słowniku malarzy warszawskich?

Przeczytałam odpowiedź którejś gazety, że był, że można jego nazwisko znaleźć w książce „150 lat grafiki polskiej”, że się urodził w Warszawie... że umarł...

Owszem, nazwisko mego ojca figuruje w różnych rocznikach „Who is who”, w „Allgemeines Lexikon der Bildenden Künstler des XX Jahrhunderts” (Leipzig 1956), w wielu wydawnictwach francuskich.

Tylko nie w polskich.

Wystawa pośmiertna – jedna w Poznaniu w 1958 roku,

druga w Warszawie w 1960 – wywołała zdumienie, skąd się wziął taki wszechstronny artysta-grafik!

A teraz? Trochę prac ojca mam w domu, sporo jest w bibliotekach i muzeach: Ossolineum we Wrocławiu, Poznań, Bydgoszcz, Warszawa. Kiedy historycy sztuki przypomną sobie, że był taki artysta, tam będą musieli szukać.

No i w Paryżu, a może w Brazylii, dokąd je zabierał nasz „Kawiarz”.

Camilla MONDRAL

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

PARK

Park był niewielki, ot, skromna część miasta.
Kilkanaście alejek, muszla koncertowa
(Z kształtu – papyridea), a w niej tupot nóg
Rozbieganej dzieciarni częściej niż koncerty.
Rajskie jabłonki, żółto-czerwone owoce,
Z których można by zrobić ozdobny naszyjnik.
Miał park swój Wschód i Zachód, Północ i Południe,
Niczym kontynent, niczym cała kula ziemską.
I Środek. I słoneczny zegar. I wysoki
Dąb. I zarośla dzikiej róży. A pewnego
Dnia na sercu przebitym strzałą, wyłobionym
W drewnie ławki, widziałem perlącą się krew.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Tadeusz CHABROWSKI

DRABINA NONSENSU

Jeszcze nie wdrapałem się na drabinę
nonsensu:

wiem kiedy sosny pocą się
żywicą, kiedy w kieliszkach maku
pić sok malinowy,
kiedy batem wiatru poskromić
latające talerze

i kiedy złamane, błękitno-powietrzne
skrzydło natchnień jędwabną
nitką związać.

Tadeusz CHABROWSKI

Bogdan CZAYKOWSKI

GENEZA LUBIENIA

Dzieciak był jedwabistowłósy
 zielonooki
 grał matkę boską
 w afrykańskich jasełkach
 potrafił grać na wujku
 choć on i tak był chętny
 kiwnąć na nią okiem
 (bo ja byłem w Indiach)

więc ją zabierał w dżungłę
 która była gwałtowna
 dyszała płucami tysięcy
 istot bez litości

wołanie
 zagubionej
 śmiech
 odnalezioniej

myślałam, że się wespnę
 po tej lianie
 i cię zobaczę
 troszkę się bałam

wujek najpierw polował
 chociaż nie zabijał
 potem fotografował
 to mi odpowiadało bardziej

tylko tego goryla
 co mnie mało nie porwał
 nie sfotografował

bez dowodów naocznych
 zatarły się rysy
 umiałam lubić ludzi

A dziś mi
 trudniej.

Bogdan CZAYKOWSKI

Iwona SUSZKO

Piach
 będzie
 zasypywał mnie
 osiadał
 na powiekach
 przepalonych słońcem
 osuwał i szeleścił
 cicho
 wygładzając biel
 moich kości
 kropla
 gorzkiej soli
 zostanie
 w okolicy ust
 choć i ona
 będzie kłamstwem
 pamięci
 wystarczy przecież
 niezmacona istota wydm
 i ja
 pośród nich
 miękki pył
 przesypany wiatrem
 w błękitnej klepsydrze
 nieba

Iwona SUSZKO

Grażyna Ewa SZALYGO

Annie Achmatowej

niedokończone pocałunki
umarłe zanim się skończyły
muśnięcia warg
dotknięcia ust
wilgoć podniebień niezaznana
niedokończonych pocałunków dreszcz
jak – kiedy śmierć zagłada w oczy

Grażyna Ewa SZALYGO

Leszek SZARUGA

ZIARNA

Pulsujące wszechświaty, nagie i bezbronne
zapadają się w siebie czyli nicestwieją,
nicują się, nikną, nikt ich nie pamięta.

Wyrój słońc w centrum bytu, zbyteczny,
zbytkowy, ich zimne ognie czyli fajerwerki
czasu, rozświetlają na moment imię twoje

i moje, sylabę nicości. Ziarna rosna
do wewnątrz, coraz mniejsze i cięższe,
by wybuchnąć

bezglównym lamentem po słowie.

Leszek SZARUGA

Archiwum polityczne

Niemcy a wojna

50-lecie zakończenia wojny było i jest wciąż dla Niemiec trudniejszą datą niż dla krajów zwyciężonych¹. Mimo to nie ułatwiano sobie tu życia ani rocznicowym odbębnianiem, ani ucieczką od tematu. Nowe książki, wszelkiego typu publikacje i audycje we wszelkiego typu mediach, niezliczone imprezy publiczne, prowokujące do dalszych dyskusji i polemik, sondaż opinii, jak wreszcie mniej lub bardziej oficjalne oświadczenia polityków, a także tzw. prominentów, złożyły się na jeden wielki rozrachunek z hitleryzmem. Nie tylko z tym brutalnie nasadzonym z góry, ale także, a może przede wszystkim, z tym posłusznie albo wręcz entuzjastycznie praktykowanym na dole. Nawiasem mówiąc bilans rozrachunku jest tak obfity, że aż niektórzy boją się inflacyjnego przesytu u odbiorców.

Na razie takich oznak nie ma. Data kalendarzowa minęła, a tematyka nie schodzi dotychczas z pola uwagi i wygląda na to, że tak szybko nie zejdzie. I jeśli media zagraniczne nie szczydziły Niemcom – w 50-lecie ich „godziny zero” – pochwał i uznania za ich ewolucję, to w samych Niemczech,

1. W *Kulturze* analizował znaczenie tej daty w zakresie polityki zagranicznej, a zwłaszcza w zakresie stosunków polsko-niemieckich, Basil Kerski (ob. nr 574-575, „Polska-Niemcy: Po Dniu Zwycięstwa”). W tekście niniejszym chodzi o związane z nią nurty i problemy wewnątrz społeczeństwa niemieckiego.

dokładniej: w środowiskach krytycznej inteligencji, podjęto próbę prawdziwej, nie „okolicznościowej” konfrontacji z przeszłością. Nie tylko z okresem hitlerowskim, ale także z późniejszym czasem wypierania go z pamięci i przemilczania. Krytyka była tak gorzka, tak bezlitosna, że zdarzyło mi się natknąć i tutaj i za granicą na uwagi, że Niemcy chyba lubują się w masochizmie...

Że jakoś trzeba się do hitleryzmu ustawić, rozumiano tu oczywiście od początku. Bardziej pozorne niż rzeczywiste wysiłki „samookreślenia się” tchnęły jednak frazesem, przy czym cała kłopotliwa sprawa z przeszłością przedstawiała się odmiennie w obu częściach Niemiec. W sowieckiej strefie okupacyjnej, a potem w NRD władze trzymały się kurczowo najwygodniejszej dla siebie fikcji: Przestępcy, zbrodniarze i „aparaczczy” hitlerowscy uciekli na Zachód, na miejscu zostali sami niewinni zwolennicy nowego ustroju – nie ma więc po co się bawić w jakieś interpretacje czy denazyfikacje... Toteż do dziś pokutuje u niejednego z tamtejszych mieszkańców przekonanie, że rozprawa z hitleryzmem *jego* nie dotyczy. (Prowadzi to czasem, jak zobaczymy, do zdumiewających różnic w poglądach między Niemcami ze Wschodu i Zachodu).

Wiadomo dobrze, że także w Niemczech zachodnich stosowano w pierwszych dziesięcioleciach po wojnie metodę przyamykania oczu. Adenauer obsadzał stanowiska w nowo organizowanym aparacie państwowym kim się dało. Jak długo się też dawało, utrzymywali się na wysokich nawet szczeblach hierarchii rządowej czy sędziowskiej notoryczni hitlerowcy. Do dziś ciągną się procesy sądowe przeciw przestępcom hitlerowskim, często kończące się niewypałem z braku dowodów lub ze względu na luki pamięciowe świadków. Słowem, denazyfikacja osobowa została zaprzepaszczona, a o zasadniczej rozprawie moralnej nie było mowy.

Ale z upływem czasu, wraz z rotacją pokoleń i zakotwiczeniem się w społeczeństwie reguł demokratycznych, dzięki naciskowi określonych grup politycznych i zaangażowaniu określonych środowisk, dzięki cezurze 68-go roku, kiedy to młodzież zaczęła pytać rodziców „coście robili?” – metoda przyamykania oczu przestawała funkcjonować. Ten proces, w ciągu wielu lat nierówny, raz nieśmiały raz

gwałtowny, wdzierał się jednak w obszary milczenia, by przekształcić się teraz w lawinę pytań, odpowiedzi i dociekań.

Wyzwolenie czy klęska – czym był dla Niemców koniec wojny? Alternatywa ta, jak gdyby pogłos, choć mocno uproszczony, słynnego przemówienia byłego prezydenta Republiki Federalnej, von Weizsäckera sprzed lat dziesięciu, wystąpiła teraz jako ważny motyw dysputy. Według niektórych sondaży 80% pytanych opowiada się dziś za *wyzwoleniem*. Inni jednak traktują ten wynik jako typowy pogląd skonstruowany *ex post*. (Jak tu wytłumaczyć kobiecie, właśnie przy końcu wojny szesnaście razy zgwałconej – mówi wysoki dostojnik Kościoła – że było to dla niej wyzwolenie...) Toteż inne sondaże, kierowane wyraźnie do pokoleń, które wojnę przeżyły, potwierdzają wielowarstwową analizę Weizsäckera: U Niemców na Zachodzie, świadków wojny, przeżycia osobiste, straty najbliższych, starte z ziemi miejsca własnego zamieszkania lub dobytku wraz ze stale obecnym w tle obrazem zrujnowanego kraju, łączyły się z równoczesnym uczuciem ulgi, że skończył się wreszcie koszmar bomb i ucieczek, gwałtów, głodu i strachu. Zarazem z perspektywy długiego czasu, powoli i stopniowo, w miarę przyswajania sobie przez bardziej skłoną do refleksji część społeczeństwa nowych kryteriów oceny, zwycięstwo Aliantów i klęska hitleryzmu zaczęły się rysować jako uwolnienie od totalitarnego przymusu i otwarcie drogi do przekształceń demokratycznych. *Wyzwolenie* więc czy *klęska*? Jak w życiu bywa, formuła „albo-albo” gorzej przystaje do rzeczywistości niż formuła „i-i”.

Czy wśród starszych pokoleń, tych które wojnę przeżyły, można się było teraz dosłuchać akcentów nacjonalizmu? Na krótko wybuchło zamieszanie wokół tekstu z podpisami, zamieszczonego w konserwatywnej *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, a zainicjowanego przez Alfreda Dreggera, byłego szefa frakcji parlamentarnej CDU/CSU². Sygnatariusze apelowali, by rocznicy 8-go maja nie traktować jednostronnie, gdyż data owa oznaczała nie tylko koniec działań wojennych, ale także początek wypędzania Niemców z terenów przyznanych Polsce, podział kraju i długoletni ucisk polityczny w

2. O apelu tym pisał Basil Kerski (ob. wyżej).

jego wschodniej części. Apel zbagatelizował więc takie drobności, jak odpowiedzialność Niemców za rozpętanie wojny, za miliony pomordowanych i zagazowanych, czyli za to wszystko, co odróżniało tę wojnę od innych. Jednak zamieszanie odbiło się rykoszetem. Wywołało tyle sprzeciwów, że – jak pisał w tygodniku *Die Zeit* znany publicysta Peter Bender – sygnatariuszom „należy się niemal wdzięczność za to, że zabrali głos; w ten sposób rozwinęła się dyskusja i stało się jasne, jaka jest i jaka być powinna przeważająca opinia”. Nie znaczy to oczywiście, żeby wśród najstarszych czy tylko nawet starszych Niemców wymarły wszelkie nacjonalistyczne nostalgic. O ich istnieniu świadczą chociażby listy czytelników do różnych czasopism z przytłumioną, a czasem agresywną nutą litości nad niemieckim losem. Ale ani nostalgii, ani litości nie starczyło na to, aby wywołać jakikolwiek *trend*.

Większość dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego to ludzie urodzeni w czasie wojny lub po wojnie. Wiedzę o przeszłości hitlerowskiej czerpali z relacji rodziców i dziadków, z nauki szkolnej, z lektury, z mediów. Ale jacy to rodzice i dziadkowie? jaka szkoła? jaka, wśród pytających, chłonność informacji, jaka wrażliwość własna? Od setek czynników i okoliczności zależą przecież wśród współczesnych Niemców postawy wobec hitleryzmu i wojny. Co o tych latach wiedzą, w jakim stopniu chcą w ogóle wiedzieć?

Trzeba przyjąć, że wśród odpowiadających na pytania młodszych, ci, którzy mówią pełnym głosem o sobie i swojej roli, stanowią mniejszość. Opór przeciw reżimowi Hitlera nie ograniczał się wprawdzie, jak wykazują badania i publikacje, do Stauffenberga i jego grupy, czy do rodzeństwa Scholl, ale szerszych kręgów do samego końca nie zatoczył. Absurdalny także podział społeczeństwa niemieckiego na sprawców i ofiary, jakże wygodny zaraz po wojnie dla całych zastępów samozwańczych ofiar, pomijał postać najbardziej reprezentatywną dla dziesiątek milionów – owego „Mitläufers”, z mentalnością, w której mieszały się – jak czytam w eseju socjologicznym Klausa Naumanna³ – „wierność reżimowi, woła własnego przetrwania, posłuszeństwo i konformizm”.

3. *Die Zeit* z 3 II 1995, Klaus Naumann: „Die Sehnsucht des Mitläufers auf den Schlußstrich”.

Dodałabym jeszcze do tej charakterystyki autokamouflaż, również powielany w milionach w miarę ujawniania zbrodni hitlerowskich: „nie wiedziałem...”.

Trudne więc były i bywają jeszcze dziś międzypokoleniowe rozmowy niemieckie. A jednak myli się, kto sądzi, że wraz ze starzeniem się i wymieraniem świadków, czas zmierza do ostatecznego zmazania win. Na razie działa mechanizm odwrotny: Im dalej od wojny, od osobistego udziału w zbiorowym odwracaniu oczu lub wręcz przyzwalaniu na zbrodnie, im mniejsze ryzyko odniesień do konkretnych, żyjących jeszcze osób – tym mniej skrupowania w dochodzeniu, jak było naprawdę. Jeśli więc bezpośrednio powojenne milczenie, zgodne z koncepcją Adenauera, przedłużało konformizm z lat wojny, to od końca lat 60-tych, poprzez 70-te aż po dzień dzisiejszy, dzięki pracom i zaangażowaniu historyków, socjologów i publicystów niemieckich, niebezpieczeństwo „przedawnienia” hitleryzmu zostało stopniowo zażegnane⁴.

O stanie informacji w pierwszych dziesięcioleciach powojennych opowiadano mi wielokrotnie. Oto małżeństwo, on urodzony tuż przed wojną, ona podczas wojny. Dowiadywali się prawdy (z zakazem mówienia dalej) powoli, po cichu, tylko w zaokrąglonej formie i tylko od rodziców. Ani słowa od nauczycieli w szkole, ani słowa na kursach zawodowych. Zresztą nauka historii urywała się na pierwszej wojnie światowej. Ktoś inny, dobiegający sześćdziesiątki, pamięta z dzieciństwa tyle, że „trzeba było się bać”. Jeszcze ktoś inny określa sytuację dosadnie: „Moje dzieci wiedzą dziś o wiele więcej, niż ja w ich wieku”. Komuś odsonił się prawdziwy obraz wojny dopiero, gdy jako 17-latek przypadkiem zobaczył w zagranicznym filmie dokumentarnym, jak odbywało się na froncie branie do niewoli niemieckiej żołnierzy z armii przeciwników. A gdy wreszcie ktoś otworzył usta i zaczął zadawać kłopotliwe pytania, czy też powtarzać co gdzieś zasłyszał – zarzucano śmiałkowi, że kała własne gniazdo. Określenie „Nestbeschmutzer” chodziło za nim po ulicy.

A dziś? Posłuchajmy demoskopów. Instytut Demoskopii w Allensbach przeprowadza w regularnych odstępach czasu

4. Także w zakresie karnym zbrodnie hitlerowskie nie ulegają przedawnieniu.

badania świadomości historycznej Niemców w obu częściach kraju⁵. W roku 1995 60% pytanym (od szesnastu lat w górę) deklaruje wielkie zainteresowanie drugą wojną światową. Na powtarzane od sześciu lat pytanie „Czy jest coś szczególnego w naszej historii, co odróżnia nas od innych krajów?” także nieco ponad 60% w obu częściach Niemiec odpowiada twierdząco. „Co to jest?” – tu następuje zróżnicowanie. Co drugi respondent na Zachodzie uważa narodowy socjalizm i jego zbrodnie za główne znamię najnowszej historii niemieckiej, przy czym proporcja ta nie zmienia się od roku 1989. Co więcej – jak podkreśla Elisabeth Noelle-Neumann, dyrektor Instytutu – konkretne piętnowanie zbrodni hitlerowskich, przede wszystkim zagłady Żydów, powtarza się coraz częściej i przybiera formy coraz bardziej drastyczne. Natomiast na Wschodzie pogląd na hitleryzm jako najważniejsze piętno historii Niemiec wyrażało w roku 1990 tylko 4%, a w roku 1995 – 19%. Uderza więc różnica między Wschodem i Zachodem. Wprawdzie także na Wschodzie 41% respondentów odpowiada, że liczne wojny (a zwłaszcza ostatnia) odróżniają dzieje Niemiec od innych, ale formułuje to ogólnie (np. „Niemcy zawsze napadali na swoich sąsiadów”) bez wyraźnego odniesienia do systemu hitlerowskiego.

O własnych żołnierzach podczas wojny myśli z podziwem 41% pytanym w obu częściach Niemiec. (Prawdopodobnie wciąż bardziej obfita dokumentacja o zbrodniach Wehrmachtu nie zdołała jeszcze wyprzeć legendy o czystych rękach armii w porównaniu np. z SS). Ale i tak rzuca się w oczy korelacja z wiekiem. Im starsi tym więcej podziwu, im młodszy tym więcej obojętności (32%) i ocen wyraźnie negatywnych (18%). Dwie trzecie pytanym osób w całym kraju uważa, że Niemcy wysnuli konsekwencje z własnych win. „Nigdy więcej wojny” – to lekcja najważniejsza. „Czy Niemcy powinni się byli zdobyć na silniejszy opór przeciw hitleryzmowi?” W miarę czasu wzmagają się krytycyzm: jeśli w 1969 uważało tak

5. Niektóre pytania dotyczą jeszcze sytuacji w Niemczech podzielonych, większość publikowanych wyników odnosi się już jednak do sytuacji po zjednoczeniu. W kwietniu 1995 zostało też przeprowadzone badanie porównawcze w Niemczech i w Rosji na temat opinii o drugiej wojnie światowej. W niniejszym artykule przytaczam niektóre charakterystyczne wyniki obu badań odnoszące się do Niemiec.

w zachodnich Niemczech 19%, to w 1995 wyraża taki pogląd 32% (na Wschodzie 36%). Odpowiedź na następne pytanie neutralizuje jednak w jakimś stopniu tę ocenę: „Czy praktycznie nie było takich możliwości?” „Nie było” – odpowiada na Zachodzie 54%, na Wschodzie 43%.

I wreszcie na pytanie, czy relacje starszych osób, takich, które świadomie przeżyły okres hitleryzmu i wojny, respondenci uważają za szczere, czy też mieli wrażenie, że osoby te coś ukrywają, by osłabić poczucie własnej winy – 69% w całym Niemczech odpowiada, że relacje były przeważnie szczere, a tylko 19% sądzi, że nie były szczere⁶.

Jakkolwiek by oceniać poszczególne wypowiedzi, nie ma w tym sondażu żadnych „tabu”. Widać wyraźnie, że respondenci należą do pokoleń odpowiedzialnych z natury rzeczy za dziś i jutro, ale już nie obarczanych winą za wczoraj. Niemniej narastały nowe komplikacje. Zaraz po wojnie – jak pisałam – szukanie *winnych* toczyło się opieszale, natomiast *atmosfera winy* ciążyła nad całym społeczeństwem. W miarę otwierania się granic w Europie zaczęto się też uważniej przyglądać temu, co dzieje się wokół Niemiec. A w społeczeństwach sąsiadujących, a więc wśród ofiar hitleryzmu, trzeba było długich lat i długiej walki z własnymi uczuciami, by „wybalansować” różnicę między oskarżeniami kolektywnymi a indywidualnymi. Nic więc dziwnego, że temu procesowi, trwającemu, choć w zelżonej formie, do dzisiaj, towarzyszył w Niemczech raz po raz bunt *młodszych*. „Co ja mam z tym wspólnego, nie było mnie wtedy na świecie, dlaczego mam odpowiadać za nie swoje winy, dość tej Canossy! – ileż to razy słuchałam podobnych skarg. Trudno żyć pod prężeniem, a zwłaszcza młodej inteligencji trudno jest żyć z wyłącznie negatywnym obrazem własnej historii.

Stopniowo jednak uciszały się skargi. Za to podnoszą się coraz częściej głosy apelujące, alarmujące czasem, o zachowanie pamięci, gdyż zapomnienie byłoby dla społeczeństwa niemieckiego katastrofą. Z jakim rezonansem? Pokolenie wnuków, jak uprzednio wspominałam, nawet już „genealogicznie” coraz słabiej związane z przeszłością, traktuje ją mniej

6. Mógł tu zadziałać odruch lojalności: Respondenci nie chcieli np. kompromitować starszych pokoleń we własnej rodzinie.

nerwowo, za to bardziej dociekliwie. „Chcą się dowiedzieć” – mówią zdecydowanie nauczyciele, potwierdzają uczniowie i studenci. „I będą chcieli coraz bardziej, w miarę dostępu do źródeł historycznych, do niezakłamanej dokumentacji”. Nawet wśród generacji średnich, tych, którzy przeważają liczebnie w instytucjach, w urzędach, w strukturach władzy wreszcie, przestają stopniowo dominować sztywne kompleksy i nieznośne eufemizmy. Oto oba Kościoły przyznają się publicznie do winy milczenia w latach hitlerizmu. Prezydent Herzog przeprosza Polaków za to co popełnili Niemcy, nie za to, co „popełnione zostało w niemieckim imieniu”. Znany pisarz, Ralph Giordano, nazywa tchórzostwo tchórzostwem, a nie tylko „brakiem odwagi cywilnej”.

Nie można jeszcze wiedzieć w jakim stopniu te przemiany pojęciowe docierają do większości społeczeństwa, która uchodzi tu, pomimo pogarszającej się sytuacji gospodarczej, za sytą i obojętną. Wpływ zaangażowanej, a w bliskich sobie środowiskach nawet opiniotwórczej inteligencji na publiczność „Stammtischów” to jeden z wielkich ale najmniej zbadanych tematów tutejszej socjologii. Można natomiast uchwytać i przedstawić dla przykładu wątki treściowe w wewnętrznych sporach owych zaangażowanych środowisk. (Warto dodać, że spory te toczą się niezależnie od sympatii partyjnych, podziały przebiegają inaczej). Oto rozmowa wybrana na chybił-trafił między sceptykami czyli rzecznikami zmian a optymistami, zadowolonymi z tego jak jest. Sceptyków irytują zachwyty *Niemcami po 50-ciu latach* w prasie zagranicznej: „Więc wszystko cacy-cacy, taka u nas demokratyczna sielanka?” I wymieniają Mölln, Rostock, Solingen, niedawne przecież miejsca zbrodni, i w ogóle dyskryminację Turków, i w ogóle stosunek do obcych, i przytaczają jako dowód zapóźnienia w rozprawie z hitlerizmem paradoks, że żołnierze, którzy podczas wojny zdezerterowali z Wehrmachtu, mają do tychczas w kartotece policyjnej adnotację „vorbestraft” (uprzednio karany). Optymiści nie przeczą faktom, ale interpretują je inaczej: Tragiczny ciąg zbrodni został jednak przerwany. W zeszłorocznych wyborach ani do Bundestagu ani do Landtagów ekstremiści nie weszli. Replika sceptyków: Wybory nie mówią wszystkiego. Wiemy dobrze, że kołaczą się po różnych kątach nazistowskie organizacje czy organizacyjki, i

że prohitlerowsko-nostalgiczny margines sięga szacunkowo kilkudziesięciu procent. Nasza demokracja nie zdołała się z tym uporać. Na co znów optymiści: Takie szacunki bywają często zupełnie dowolne, a co do demokracji, to wymaga ona stale aktywnego poparcia od dołu, sama z siebie niczego nie gwarantuje... W ostatniej sprawie zgadzają się obie strony.

Zgadzają się też co do tego, że wszelkie wizje i projekty dotyczące dalszej ewolucji państwa niemieckiego wynikają z refleksji nad jego przeszłością. Czym te przyszłe Niemcy muszą być, żeby to się nigdy nie powtórzyło? Jeszcze jednym przykładem państwa narodowego, czy też przede wszystkim państwem prawa i gwarantem praw człowieka? Wśród dużej części zaangażowanej inteligencji przeważa wybór drugiej możliwości. Niechęć do pierwszej bywa w tych kręgach tak głęboka, że jakiegokolwiek potrącenie o narodową identyfikację już jest podejrzane. „Tylko nie być niemieckim, w tym duchu wychowywało się wiele spośród nas, ponazistowskich dzieci” – przypomina znana z prasy i telewizji publicystka, Gabriele von Arnim, i pyta: „Czy musimy bać się tego, że jesteśmy narodem?”

Równocześnie ze sfer gospodarczych docierają głosy niespokojne o przyszłe relacje ekonomiczne między zjednoczoną Europą a Niemcami. Lęki te nie są niemiecką specjalnością, spory o kształt i funkcje Wspólnoty toczą się przecież we wszystkich krajach europejskich, już członkowskich czy jeszcze nie. Specjalne jest tylko to, że chodzi o kraj z 80-ciu milionami mieszkańców, z jedną z najsilniejszych walut na świecie, z względnie ugruntowanymi zabezpieczeniami pokoju społecznego, i z zasobem wybitnych zdolności organizacyjnych. I chociaż już dziś powiązania gospodarcze wewnątrz Wspólnoty są tak silne, że trudno sobie wyobrazić ich zerwanie, to jednak nie rozwiąły się lęki, czy w chwili X, gdy naprawdę trzeba będzie ograniczyć w jakiejś mierze własną suwerenność gospodarczą, czy wtedy taki kraj jak Niemcy nie wierzgnie, nie troszcząc się o rany zadawane sąsiadom czy kontrahentom. Tego przecież, a nie trzeciej wojny, przestraszył się świat gdy Niemcy się jednoczyły.

Dobrze się stało, że wtedy także owi najbardziej krytyczni i dalekowzroczni spośród Niemców zaczęli głośno wyrażać swoje niepokoje. O to, żeby polityków i rodaków nie zamro-

czyło, nie skusiło, nie popchnęło w stronę jakichkolwiek pretensji do mówienia. Dlatego właśnie dzisiaj z taką pasją apelują, żeby po rocznicowych obchodach nie postawić kropki końcowej, żeby konfrontacji z przeszłością nie uznać za zakończoną, żeby alarm trwał.

15 sierpnia 1995

Kamila CHYLIŃSKA

Z nordyckiej perspektywy

„WISHFUL THINKING” GRZEGORZA KOŁODKI

Dnia 6 września 1995 przybył do Szwecji z krótką wizytą polski wicepremier i minister finansów, Grzegorz Kołodko. Ten młody i bardzo pewny siebie polityk oświadczył dziennikarzowi „Aktualności” – 15-minutowej audycji w języku polskim programu szwedzkiego radia dla imigrantów – że stosunki szwedzko-polskie są bardzo dobre.

Powyzsza konstatacja pana Kołodki musi zdziwić każdego, kto choćby pobieżnie śledzi te stosunki, które przez dłuższy okres czasu w ogóle nie istniały, a ostatnio są raczej złe.

Przypomnijmy, że obecny prezydent Polski został przez szwedzką prasę bądź wydrwiony, bądź obrzucony inwektywami przed i w czasie swojej oficjalnej wizyty w Szwecji. Największy szwedzki dziennik poranny *Dagens Nyheter* nazywał Wałęsę w komentarzach redakcyjnych „autokratycznym chamem” (12/2) i „niewychowanym bałwanem bez wykształcenia” (31/3). Natomiast komentator pisma finansistów *Finans-tidningen*, Martin Ådahl podkreślał, że „Wałęsa jest znany ze swoich prawie całkowicie niezrozumiałych wypowiedzi ekonomicznych, w których obiecuje złote góry, poddaje miazdzącej krytyce swoich przeciwników, sam się chwali, a unika jakichkolwiek konkretnych propozycji” (31/3).

Szwedzki tłumacz z języka polskiego i niewątpliwy przy-

jacieli naszego kraju, Anders Bodegård zadał później na łamach *Dagens Nyheter* pytanie raczej retoryczne: „Czy jest możliwe, by w artykule wstępnym *Dagens Nyheter* napisano ‘cham’ o głowie jakiegoś innego państwa? O prezydencie Gabonu? Królu Norwegii?” Anders Bodegård przypomniał również, że szwedzkie programy telewizyjne z Polski to „wstrząsające wizerunki Kościoła katolickiego lub skażonego środowiska”, prezentujące zacofany kraj bezzębnych ludzi, w którym nawet w rodzinnej wiosce prezydenta nie ma ani jednego telefonu, a dzieci są na sprzedaż. To właśnie szwedzka TV3 nadała reportaż „Dzieci na sprzedaż”, który sporym echem odbił się także w szwedzkiej prasie, np. w socjaldemokratycznym *Aftonbladet* ukazał się wielki artykuł pod tytułem „Dzieci na sprzedaż w Polsce. Cena niemowlęcia 1.400 koron!” (12/4), który zaopatrzone w informację, że w polskich domach dziecka znajduje się ponad 100 tysięcy opuszczonych dzieci. „Zakaz przerywania ciąży oraz katolicka moralność zabraniająca stosowania środków antykoncepcyjnych są powodem, że rodzi się tak wiele dzieci nie chcianych. Wszystkie te dzieci są w zasadzie dostępne na sprzedaż w celu adopcji lub seksualnego wykorzystywania” – napisał dziennikarz *Aftonbladet*, Per-Olof Ohlsson.

W dzień przyjazdu pana Kołodki do Szwecji ukazał się w *Dagens Nyheter* artykuł zatytułowany „Żadnego poszerzenia składu Unii o ile przyniosłoby to szkodę dotychczasowym członkom”. Opierał się o wywiad, jakiego agencji TT udzielił Hans Jonsson, przewodniczący szwedzkiej organizacji producentów rolnych LRF (*Landbrukarnas Riksförbund*) oraz wiceprzewodniczący zrzeszenia wszystkich organizacji rolników Unii Europejskiej: COPA, liczącego blisko 9 milionów członków. Hans Jonsson z racji pełnionych funkcji jeden z potężniejszych lobbystów w Brukseli, nader zdecydowanie sformułował stanowisko swojej organizacji, które można streścić jego jednym własnym zdaniem: „Możecie zapomnieć o jakimkolwiek poszerzeniu Unii, gdyby oznaczało to zmniejszone dochody naszych rolników!” Opublikowanie stanowiska Jonssona akurat w dzień przyjazdu Kołodki nie było naturalnie przypadkiem, gdyż wiadano, że polski wicepremier będzie chciał uzyskać obietnicę, iż także Szwecja poprze starania Polski o przyjęcie do Unii. Nie jest natomiast żadną tajemnicą, że właśnie ilość polskich chłopów jest przy poszerzeniu Unii największym problemem w całej Europie Wschodniej. Prasa szwedzka wielokrotnie przypominała, że

najbardziej rolniczymi krajami Europy Wschodniej są Litwa i Polska, gdzie na roli pracuje taki sam procent ludności – ca 25% (dla porównania: w Estonii – 9%, w Szwecji – 3%). Sytuacja wygląda jednak inaczej w liczbach bezwzględnych, gdyż Polska ma 10-krotnie większą liczbę ludności niż Litwa. W dodatku anachroniczna struktura polskiego rolnictwa konserwowana jest – przy wsparciu pewnych kręgów Kościoła – interesem współzrządzającej właśnie partii chłopskiej i jej wyborczej klienteli.

Także spóźniona o kilka lat polska prywatyzacja nie wywołuje zachwyty szwedzkich mass mediów. Podkreślają one, że ani jeden z wielkich aktorów finansowych w całym Norden nie jest zainteresowany polską prywatyzacją (*Dagens Nyheter*, 3/8), że co czwarta przeznaczona do masowej prywatyzacji firma jest „przedsiębiorstwem z problemami” i że podtrzymywanie sektora państwowego „na siłę” utrudnia konkurencję, psuje rynek i nie zachęca potencjalnych inwestorów zagranicznych.

O przychylniej ocenie polskiego życia politycznego nie ma nawet co mówić. Szwedzcy komentatorzy i analitycy wyrażają raczej zdumienie, iż polski wzrost gospodarczy jest tak wysoki, skoro w polityce jest tak źle. Cytowany już powyżej Martin Ådahl z *Finanstidningen* pisał: „Polityka znajduje się w nieustannym chaosie, ale gospodarka rozwija się w pożądanym kierunku, podczas gdy rząd nie podejmuje decyzji, a ludność nie płaci podatków”. Nawiasem mówiąc, często wyrażane jest zdziwienie, że polska progresja podatkowa jest tak płaska.

Istnieje jeszcze możliwość, że gdy Grzegorz Kołodko twierdził, iż stosunki polsko-szwedzkie są tak bardzo dobre, to być może nie miał na myśli nastawienia szwedzkich elit polityczno-gospodarczych i mass mediów, ale stosunki między zwykłymi obywatelami obydwu państw. Jeżeli tak było, to jeszcze bardziej trafił kulą w płot. O ile bowiem szwedzkie elity posiadają świadomość faktu, iż dla Szwecji Polska jest sąsiadem, choć kłopotliwym i mało sympatycznym, o tyle dla przeciętnego Szweda jest nasz kraj bardziej odległy niż Japonia, Tajlandia czy Gambia, od lat będąca zresztą celem szwedzkich wyjazdów urlopowych. Opinie o Polakach są złe, a pozycja imigrantów polskich w Szwecji – bardzo niska (i niczego nie są tu w stanie zmienić mity, pracowicie tworzone przez niektórych polskich dyplomatów). Anders Bodegård zauważył w cytowanym już artykule „Czy z Polską jest coś

nie tak?” „iż przeciętny Szwed, myśląc o Polakach, myśli o dziwkach, handlarzach wódką i osobach sprzątających na czarno”. Dodajmy, że według ocen *Dagens Nyheter* armia polskich sprzątarek na czarno ma liczyć 10 tysięcy osób! Do powyższego obrazu dorzucmy jeszcze polskich handlarzy amfetaminą, tym jedynym polskim produktem, który jest w Szwecji wyjątkowo wysoko ceniony, choć raczej w dość specyficznych kręgach.

Wśród dawnych i obecnych polityków polskich nie brak niestety osób, które nie są zainteresowane tym, jak przedstawia się rzeczywistość, gdyż wiedzą, jaka ona być powinna. Szkoda, że do tego grona dołączył też pan Kołodko, polityk skądinąd inteligentny. Gdyby zadał sobie trud zamówienia oraz przejrzenia tych materiałów, jakie polskie służby dyplomatyczne i informacyjne muszą posiadać, to może stosunki polsko-szwedzkie widziałby przez mniej różowe okulary.

FINNLANDIA BĘDZIE EKSPORTOWAĆ ROSYJSKĄ ROPE!

Ponad dwa lata trwały rozmowy między koncernem NESTE i rosyjskim TRANSNEFTem w sprawie wykorzystania fińskiego portu Sköldvik do eksportu rosyjskiej ropy naftowej. Wraz z rozpadem Związku Sowieckiego utraciła Rosja szereg ważnych portów i zaczęła interesować się Zatoką Fińską. Ostatecznie zdecydowano, że do roku 2000 zostanie zbudowana 500-kilometrowa *pipeline*, łącząca rosyjskie centrum naftowe Kiriszi z fińskim portem Sköldvik. Koszt tej inwestycji zamknie się sumą ca 500 milionów US\$, znacznie niższą niż planowany początkowo koszt budowy eksportowego portu naftowego w Primorsku. Przez rurociąg Kiriszi-Sköldvik eksportowanych będzie 15 milionów ton ropy rocznie.

Rafineria w Sköldvik przerabia dzisiaj 9 milionów ton ropy z Morza Północnego i 1 milion ton ropy rosyjskiej. NESTE nie ma zamiaru zrezygnować z importu z Morza Północnego. Tankowce, które dziś dostarczają owe 9 milionów ton i wracają puste, będą w przyszłości zabierać ropę rosyjską z Kiriszi. Na tym polega wielka atrakcyjność całego planu. Ponieważ rafineria w Sköldvik zwiększy przerob rosyjskiej ropy do 4-5 milionów ton, ruch tankowców na Zatoce Fińskiej zwiększy się bardzo nieznacznie, przynajmniej chwilowo.

W przyszłości ma zamiar Rosja zbudować własny port w Primorsku; wówczas to Sköldvik oraz Primorsk eksportować będą łącznie ca 40 milionów ton rosyjskiej ropy rocznie, co naturalnie pociągnie za sobą poważne zwiększenie ruchu.

Kierujący całym projektem ze strony NESTE Ulf Schmidt powiedział dn. 16 sierpnia 1995, że jeżeli pełna dokumentacja inwestycji gotowa będzie w roku 1997, to pierwsze miliony ton ropy popłyną z Kiriszi do Sköldvik w roku 2000.

WALLENBERG W BUDAPESZCIE

Rozpromieniony Peter Wallenberg wziął ze stołu miniaturowy model samolotu JAS 39 Gripen i zakręcił nim przed nosem premiera Węgier; Gyula Horn uśmiechał się zyczliwie.

Redukcja szwedzkich sił zbrojnych obejmie także lotnictwo, które ma się składać z 12 dywizjonów (każdy z nich ma dysponować 18 samolotami wszechstronnego zastosowania JAS); przypomnijmy, że w latach 70-tych lotnictwo szwedzkie dysponowało aż 40 dywizjonami, a jeszcze wcześniej, w latach 50-tych, było czwartą co do wielkości siłą powietrzną na świecie. „*The multi-use JAS 39 Gripen jet fighter*” – realizowany już 13 lat i najkosztowniejszy projekt przemysłu zbrojeniowego w historii Szwecji – będzie ekonomiczną katastrofą, o ile nie uda się go sprzedać innym krajom. Pertraktacje z Węgrami dotyczyły zakupu 30 samolotów JAS.

Cena, jakiej Węgrzy zażądali za porozumienia wstępne w sprawie JAS-a była wysoka.

a) rząd szwedzki będzie szczerze, nie tylko w formie ogólnikowej deklaracji, popierać starania Węgier o jak najszybsze wejście do Unii Europejskiej i w akcji tej wykorzysta swoje wpływy w innych państwach nordyckich. I rzeczywiście, premier Ingvar Carlsson pośpiesznie wystosował list z obietnicami do swojego węgierskiego kolegi, zaznaczając przy tym, iż poparcie Szwecji jest całkowicie szczerze, gdyż przyszłe członkostwo Węgier w Unii nie budzi żadnych kontrowersji w szwedzkim społeczeństwie. Przypomnijmy, że kontrowersje takie wywołuje np. przyszłe członkostwo Polski. Ze strony szwedzkich rolników i niektórych robotniczych związków zawodowych są to obiekcje natury ekonomicznej, ze strony „zielonych” i komunistów – natury politycznej.

b) Ponieważ celem węgierskiej polityki jest także wejście

do NATO, rząd węgierski musi otrzymać gwarancję, iż dostarczane mu samoloty JAS 39 Gripen spełniać będą NATO-wskie standardy. Jan Ahlgren z SAAB Aircraft gwarancję taką dostarczył. Interesujące, że strona szwedzka niejako „prześliznęła się” nad problemem ewentualnego członkostwa Węgier w Pakcie Północnoatlantyckim, choć przecież właśnie rząd szwedzki jest zdecydowanym i jawnym przeciwnikiem rozszerzania NATO na państwa bałtyckie i wschodnio-europejskie. Szwedzki minister obrony, Thage G. Peterson mówił nader otwarcie, że w politycznym i obronnym interesie Szwecji nie leży rozszerzanie bloków wojskowych czy zmiana obronnych aliansów w pobliżu szwedzkich granic.

c) Choć ewentualny kontrakt zawarty będzie dopiero w roku 1997, strona węgierska wymaga, aby już teraz rozpoczęła się szeroka współpraca między węgierskim biznesem a firmami Wallenbergów w zakresie bezpośrednich inwestycji, transferu nowoczesnych technologii oraz pomocy udzielanej węgierskim eksporterom we wchodzeniu na zachodnie rynki.

d) Rząd węgierski nie jest oczywiście w stanie sfinansować zakupu 30 samolotów JAS 39 Gripen o wartości 175-200 milionów SEK za sztukę i dlatego otrzymać musi „interesującą ofertę kredytową”. Strona węgierska wspominała, że prezydent Clinton byłby skłonny ofiarować Węgom kilka używanych F-16 A/B, gdyby rząd węgierski ostatecznie zdecydował się na zakup np. F-16 C/D.

Kredyty rządu szwedzkiego nie zostały jak dotychczas przyznane, gdyż jest jeszcze dość dużo czasu, ale dyrektor koncernu SAAB, Bengt Halse zapewnił Węgrów, iż rząd szwedzki zdaje sobie sprawę z ogromnej wagi całej transakcji.

Aby produkcja JAS-ów nie przyniosła strat SAAB musi sprzedać przynajmniej 350 sztuk. Pewne, choć dosyć umiarkowane, zainteresowanie JAS-ami wykazuje Norwegia, Chile, Austria, Malezja, Pakistan, Dania, i Holandia.

JAS zaopatrzony będzie w amerykańskie rakiety typu „*fire and forget*” AMRAAM, produkowane przez Hughes Aircraft (która to firma wchodzi w skład koncernu General Motors). Rakiet tego typu nie wolno nadal sprzedawać do byłych krajów komunistycznych i w wypadku zawarcia rzeczywistego kontraktu między SAAB-em i rządem węgierskim, Szwedzi muszą przewyciężyć i tę trudność, skądinąd niezbyt wielką.

„TYLKO CZŁONKÓW MAFII STAĆ NA
NATURALIZACJĘ” TWIERDZĄ Z GORYCZĄ
ZAMIESZKALI W ESTONII ROSJANIE

W Estonii warunkiem naturalizacji jest zdanie egzaminu z języka estońskiego. Wymóg ten wydaje się wcale logiczny i nie byłoby w nim nic dziwnego, gdyby nie fakt, że na ponad pół miliona zamieszkałych w Estonii obywateli obcych egzamin ten zdało dotychczas około 9 tysięcy osób.

Eesti keel jest dosyć trudnym językiem ugrofińskim. Wprawdzie dzięki reformie językowej, zapoczątkowanej w roku 1910 oraz zanikowi wielu końcówek deklinacyjnych, odmiany w estońskim nie są tak trudne jak w fińskim, ale dla Słowianina opanowanie estońskiego związane jest ze sporym wysiłkiem, zwłaszcza gdy chodzi o osoby nie mające dostatecznego treningu w nauce języków obcych. Zamieszkali na terenie Estonii obywatele obcy to przede wszystkim Rosjanie, w mniejszym stopniu – Ukraińcy. Przed zwycięstwem „śpiewającej rewolucji” ich kontakt z językiem estońskim był żaden, w większości wypadków nie znali nawet podstawowych, pojedynczych słów. Teraz muszą się estońskiego nauczyć, choć wymaga to nie tylko sporej pracy, ale także poważnych nakładów finansowych.

Najbardziej elementarny kurs języka estońskiego, trwający dwa miesiące po trzy godziny tygodniowo, kosztuje 1000 EEK, tak więc koszt jednej godziny nauki wynosi ca 3,5 US\$, a w Estonii jest to już kwota, z którą wielu musi się liczyć. A przecież ten podstawowy kurs za tysiąc estońskich koron nie wystarczy nawet do uzyskania stopnia C, wymaganego od ekspedientek czy kelnerów. O zdaniu egzaminu umożliwiającym otrzymanie obywatelstwa osoba ze świadectwem C jeszcze marzyć nie może. Estońscy fachowcy sami przyznają uczciwie, że w wypadku cudzoziemca, zaczynającego naukę od podstaw, językowe przygotowanie do egzaminu naturalizacyjnego wymaga około trzech lat intensywnej pracy i minimum 750 godzin nauki na kursach. A sam język to jeszcze nie wszystko, gdyż od kandydata na obywatela Estonii wymaga się nie tylko opanowania języka na poziomie gimnazjalnym, ale także wiadomości z historii Estonii i jej obecnego ustroju.

O trudności egzaminu naturalizacyjnego najlepiej może świadczyć fakt, iż aby go zdać, trzeba odpowiedzieć popraw-

nie na 90% zadanych pytań, a według przygotowywanego właśnie projektu poziom tych pytań ma być jeszcze wyższy niż obecnie.

Estonia jest młodym państwem. Skądinąd samo pojęcie *eestlane* (Estończyk) – choć pochodzące podobno od Tacyty (*Aestiorum gentes*) – zaczęło być używane jako kategoria narodowościowa dopiero koło roku 1840; wcześniej po prostu mówiono *maarahvas* (mieszkańcy wsi). Młode państwa często cechuje przerost nacjonalizmu i niestety można odnieść wrażenie, że niektórzy nacjonalistyczni politycy estońscy chcą zmusić do emigracji większą część słowiańskiej populacji swojego kraju, administracyjnie przydzielając jej najniższy status w państwie.

Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że są także politycy myślący odmiennie, którzy zdają sobie sprawę, iż eskalacja estońskiego nacjonalizmu może się dla estońskiego państwa skończyć katastrofą. Rdzenni Estończycy stanowią tylko 62% mieszkańców kraju. Około 100 tysięcy przedstawicieli mniejszości narodowych otrzymało obywatelstwo estońskie, bądź jako nagrodę za to, że w czasie „śpiewającej rewolucji” stanęli po stronie Estończyków, bądź po prostu za pieniądze. Ocenia się, że jeszcze 300-350 tysięcy mieszkańców Estonii chciałoby otrzymać jej obywatelstwo, ale nie mają najmniejszej szansy zdania egzaminu naturalizacyjnego. Ci pozbawieni obywatelstwa i w konsekwencji możliwości wykonywania wielu zawodów ludzie są w przeważającej większości Rosjanami. Uwzględniając, że ludność całej Estonii liczy zaledwie 1 milion 600 tysięcy mieszkańców, trzeba te 300 tysięcy niezadowolonych i dyskryminowanych Rosjan uznać za bardzo poważny problem.

S. ABNER

O religii bez namaszczenia

Radykalny teolog szuka rdzenia chrześcijaństwa

Na rynku angielskim ukazała się nowa książka ks. Hansa Künga pt. *Christianity: its essence and history* (Chrześcijaństwo; jego istota i historia) SCM Press, 1995. Poniżej publikujemy omówienie tej książki, które ukazało się w katolickim tygodniku *The Tablet* z dnia 23 września 1995. Tłumaczył Antoni Pospieszalski.

Czytając tę książkę ma się wrażenie, że chcąc ukozić pragnienie, stanęło się pod wodospadem Niagara – czyli że jest to prawdziwy Küng. Pokażny tom pełen faktów i źródłowych odniesień, systematycznych pytań, odpowiedzi i propozycji, ponadto przeszło 30 map i wykresów i ponad sto stron przypisów. A jednak przy całej tej uczoności nie jest to praca akademicka w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Raczej coś w rodzaju obszernej instrukcji dla zaangażowanego badacza i próba wypracowania konkretnego programu. Chodzi mianowicie o uzyskanie nowego spojrzenia na historię chrześcijaństwa i bardziej krytycznej jej interpretacji, w nadziei odkrycia w ten sposób jego prawdziwej, nie podlegającej żadnym zmianom istoty. Chodzi o to, jak czytamy, „aby chrześcijaństwo trzeciego tysiąclecia było bardziej chrześcijańskie”.

Teżä Künga, przejrzyste wyłożoną w postaci diagramu na samym początku książki, jest, że istota chrześcijaństwa (Jezus z Nazaretu, Chrystus i jego sprawa dobra ludzkości) uległa zaciemnieniu na skutek niewłaściwych form doktry-

nalnych i organizacyjnych, w jakie została ujęta, i pogwałceniu przez wynikające z tego antychrześcijańskie ekscesy. Küng dzieli historię chrześcijaństwa na kilka paradygmatycznych okresów. Paradygmat w tym kontekście oznacza ogólny klimat kulturowy danej epoki, zespół przyjętych wierzeń, wartości i zwyczajów, w jakim Kościół w tym okresie widzi i kształtuje swoją działalność. Autor określa te kolejne paradygmaty następująco: wczesnochrześcijański apokaliptyczny (albo chrześcijaństwo żydowskie); hellenistyczny (w tym także bizantyjsko- i słowiańsko-prawosławny); średniowieczny rzymskokatolicki (włączając w to kontrreformację i co Küng nazywa rzymskim autorytaryzmem); reformacyjny protestancki (w tym protestantyzm ortodoksyjny i liberalny); i nowo-czesno-oświeceniowy (wraz z liberalnym modernizmem). Anglikanizm Küng umieszcza pomiędzy paradygmatem rzymskokatolickim i protestanckim. Ponadto jesteśmy obecnie w trakcie przechodzenia z paradygmatu modernizmu w następny, postmodernistyczny i temu Küng zamierza poświęcić drugi tom swego dzieła.

Dla Künga kryterium tego, co jest chrześcijańskie stanowi nie sam paradygmat czyli stadium rozwojowe, w jakim chrześcijaństwo w danej chwili się znajduje, ale jego „bliskość”, czy odległość od swego źródła, swego fundamentu i centrum. Wielu czytelników może odczuć książkę Künga jako nieprzejednanie negatywną ocenę dotychczasowej historii Kościoła, ale byłoby to mylne wrażenie. Küng z naciskiem podkreśla, że w ciągu tej historii istota chrześcijaństwa zawsze pozostawała w nim nienaruszona, mimo całych pokładów korupcji, bo Ewangelia Jezusa jest niezmiennie przekazywana z pokolenia na pokolenie i w każdym pokoleniu niezliczeni nieznanzi ludzie (i niewielu prawdziwie wielkich chrześcijan jak Jan XXIII) pozostają jej wierni.

W pierwszym paradygmacie, jeszcze wyłącznie żydowskiego chrześcijaństwa, Jezus jest postrzegany jako tylko człowiek, ale człowiek „wybrany”, Mesjasz-Chrystus, który miał przyjść i który zwiastuje koniec czasów. Gdy ten spodziewany koniec nie nadszedł, jego miejsce zajął Kościół. W tym paradygmacie Kościół jest po prostu wspólnotą wszystkich wierzących w Chrystusa i każdy lokalny Kościół jest już całym Kościołem. Wszelkie struktury stanowią tylko prowizo-

rium. Wszyscy wierzący są uczniami i jest tylko jeden kapłan, Jezus. Wszelka władza jest służbą, nie dominacją jednych nad innymi. To wyłącznie żydowskie chrześcijaństwo zostało później uznane za herezję, ale Küng zwraca uwagę, że dziś doszłoby się w nim raczej do normalnego stadium wczesnego chrześcijaństwa niż jakiegoś jego zniekształcenia.

Przejście z paradygmatu chrześcijaństwa żydowskiego w chrześcijaństwo „pogan” (helleńskie) było dziełem nade wszystko Pawła z Tarsu. Odtąd chrześcijaństwo nie jest już sektą w łonie judaizmu, ale religią uniwersalną. Ale jej ośrodkiem pozostaje Żyd Jezus. Wobec opóźniania się końca Kościoła przybiera teraz trwalsze strukturalne formy, na razie głównie charyzmatyczne. Nie ma jeszcze monarchicznego episkopatu, ani prezbiteriatu (kapłaństwa), nie ma święceń. Jakkolwiek z biegiem czasu utrwała się struktura episkopalna, nie ma w całym Nowym Testamencie – jak to starannie zaznacza Küng – żadnej wzmianki o Biskupie Rzymu albo o pobytku św. Piotra w Rzymie. Za cesarza Konstantyna organizacja kościelna zostaje zharmonizowana z organizacją państwową w postaci prowincji i diecezji, z biskupami i księżmi pełniącymi w nich funkcje urzędników państwowych. Powstaje kasta kapłańska z odpowiednimi tytułami, wyróżniająca się od innych ubiorem i celibatem. Hellenizacja doktryny chrześcijańskiej doszła do szczytu najpierw na soborze w Nicei i potem uległa dalszej precyzacji na następnych soborach.

Paradygmat ortodoksji, czyli prawosławia rozwinął się jako odmiana paradygmatu helleńskiego, najpierw w Bizancjum, następnie na obszarach imperium rosyjskiego ze stolicą w Moskwie (Trzeci Rzym). Küng bardzo krytycznie ocenia stosunki między klerem a laikatem w prawosławiu, nadmierny jego zdaniem prawosławny „liturgizm”, konserwatywny charakter greckiego monastycyzmu, niemniej jednak twierdzi, że chrześcijaństwo prawosławne jest „bliższe źródłem” niż chrześcijaństwo łacińskie. To właśnie wewnętrzne zasoby duchowe tego chrześcijaństwa pozwoliły mu się oprzeć naporowi islamu, a następnie na terenie Związku Sowieckiego komunizmowi – w przeciwieństwie do chrześcijaństwa północnej Afryki, które w starciu z islamem zaginęło prawie zupełnie.

Za głównego twórcę trzeciego paradygmatu, średnio-

wiecznego rzymskiego katolicyzmu uważa Küng Augustyna z Hippony. Tu czołową rolę odgrywa Rzym i papież. Począwszy od IV wieku papieski Rzym pasuje się, na modłę cesarskiego Rzymu, na arbitra całego chrześcijaństwa i najwyższą instancję, od której nie ma już odwołania. Nazywa się „stolicą apostolską”. Ale Küng podkreśla, że były to tylko rzymskie aspiracje i że nawet Augustyn nie całkiem je akceptował. W każdym razie nigdy nie akceptował ich cały Wschód imperium, zwłaszcza od czasu, gdy Rzym przestał być jego wyłącznym centrum i padł wreszcie ofiarą barbarzyńskich najazdów. Dla Wschodu najwyższym autorytetem, obok cesarza, był sobór powszechny, który tylko cesarz mógł zwołać i któremu nawet Biskup Rzymu musiał się podporządkować. W rzeczy samej, ani sobór nicejski (325) ani żaden z następnych imperialnych soborów nie uznał prymatu papieża. Nawet Leon Wielki nie zdołał podporządkować sobie soboru w Chalcedonie (451), który uznał Konstantynopol za Nowy Rzym, równy godnością starej stolicy imperium.

Niemniej rzymski paradygmat utrwała się i wkrótce dochodzi do rozkwitu za pontyfikatu Grzegorza Wielkiego (590-604), który rozwinął działalność misyjną na przestrzeni całej zachodniej Europy aż po Brytanię, szerząc specyficznym rzymskim typem chrześcijaństwa. „Chrześcijański” znaczy tu to samo co „katolicki”, a „katolicki” równocześnie znaczy „rzymski” (dla wielu ludzi jest tak po dziś dzień). Nieuniknione już przesunięcie punktu ciężkości z paradygmatu helleńsko-bizantyjskiego na rzymskokatolicki dokonało się ostatecznie, z daleko idącymi skutkami politycznymi, pod koniec XI wieku za innego Grzegorza, Grzegorza VII (1073-85). Opierając się głównie na rozpowszechnionych wówczas fałszywych tzw. dekretaliach, które supremację papieską przesuwały dalej wstecz do pierwszych wieków chrześcijaństwa, ugruntował on duchową władzę papieża w walce ze świeckim cesarstwem (tzw. spór o inwestyturę) i w walce z korupcją wewnątrz Kościoła (symonia, nepotyzm, łamanie celibatu). Odtąd wytworzona w ten sposób „mistyka posłuszeństwa” praktycznie zrównała posłuszeństwo Bogu z posłuszeństwem papieżowi. Kościół stał się instytucją wysoce scentralizowaną, legalistyczną, upolitycznioną, nawet zmilitaryzowaną (wyprawy krzyżowe). W parze z tym szło przekonanie o wyższości

stanu duchownego nad świeckim, wrogość wobec wszelkiej wolnej myśli (Inkwizycja), oraz fałszywa (i opresyjna) idealizacja kobiety, która znalazła szczególny wyraz w nowej pobożności maryjnej. Franciszek z Asyżu podjął odważną kontr-ofensywę przeciwko tym trendom, podkreślając wagę autentycznie chrześcijańskich cnót ubóstwa, pokory i prostoty, ale (zauważa Küng) ruch franciszkański został szybko dokończony przez rzymski *establishment* i odpowiednio oswojony.

Küng jest szczególnie surowy wobec Augustyna (krytykując jego ciasną teologię grzechu i łaski, jego negatywny stosunek do seksu, jego przeintelektualizowaną koncepcję Trójcy Św. i apologię hierarchicznego Kościoła), a także wobec Tomasza z Akwinu, którego uważa za apologetę papieskiego centralizmu, tak charakterystycznego również dla dzisiejszego rzymskiego katolicyzmu. Pozostawiam specjalistom od augustianizmu i tomizmu ocenę, czy i w jakim stopniu Küngowska krytyka tych dwóch wielkich postaci jest słuszna.

Z początkiem XIV wieku paradygmat rzymskokatolicki ulega znacznemu osłabieniu. Papiestwo doznaje dotkliwych upokorzeń. Sam papież Bonifacy VIII zostaje uwięziony. Następuje 70-letnia „niewola babilońska” papiestwa w Awinionie. Wzrasta opozycja wobec aspiracji papieskich na uniwersytetach i w miastach niemieckich i włoskich. Wielka Schizma jest okresem walki trzech konkurencyjnych papieży, której kres wreszcie kładzie sobór w Konstancji (1415), równocześnie jednak deklarując wyższość soboru nad papieżem.

Kontrreformacja, „autorytarna, monolityczna i triumfalistyczna”, zainicjowana Soborem Trydenckim, przywraca paradygmat średniowieczny, ograniczony jednak głównie do romańskiej południowej Europy, bo jej germańska północ i Wielka Brytania zostały stracone na rzecz protestantyzmu i anglikanizmu. Przeprowadzona reforma Kościoła ma wyraźne ostrze antyprotestanckie, zamiast zmierzać do porozumienia i pojednania. Niemniej, jak w tym miejscu zauważa Küng, nawet rewindykacyjna reforma trydencka nie posunęła się do proklamowania nieomyślności papieskiej. To nastąpiło dopiero w XIX wieku, równocześnie z utratą przez papiestwo państwa kościelnego. Koniec paradygmatu kontrreformacji

widzi Küng w postanowieniach II Soboru Watykańskiego.

Paradygmat Reformacji protestanckiej, wywodzący się z odkrycia przez Lutra Pawłowej nauki o usprawiedliwieniu przez wiarę i uzupełniony potem przez Kalwina, przyniósł ze sobą głębokie zmiany w teologii i praktyce życia chrześcijańskiego. Oznaczał nade wszystko całkowite zarzucenie zaadoptowanych przez średniowieczną scholastykę kategorii arystotelesowskich i oparcie się wyłącznie na Ewangelię. Anglikanizm natomiast, akceptując pewne elementy reformy protestanckiej (jak zwłaszcza uniezależnienie od Rzymu), zachował także elementy rzymskiego katolicyzmu (zwłaszcza ustrój episkopalny), wybierając tym samym swoistą *via media*. Tu znowu muszą pozostawić protestantom i anglikanom ocenę, w jakim stopniu Küng zdołał trafnie zaprezentować obie te tradycje.

Paradygmat modernistyczny, który pojawił się w wieku Oświecenia, był reakcją na rozkwit nowoczesnej nauki, zwłaszcza matematyki i nauk przyrodniczych. W tym przypadku zatem, w odróżnieniu od czterech poprzednich paradygmatów, impuls przyszedł nie od środka, z łona samego chrześcijaństwa, ale z zewnątrz (w tym także ze strony ruchów politycznych i społecznych, jak rewolucja francuska i rewolucja przemysłowa). Paradygmat ten charakteryzuje między innymi ogromny rozwój studiów biblijnych, egzegezy i krytyczno-historycznej analizy i interpretacji świętych tekstów.

Küng sugeruje z kolei, że ten paradygmat zostaje teraz rozszerzony i zastąpiony nowym paradygmatem, szóstym z rzędu, który nazywa współczesno-ekumenicznym albo postmodernistycznym. Stulecie, które widziało dwie wojny światowe, otworzyło nową erę, którą charakteryzuje niespotykana dotychczas mnogość form życia i działania, koncepcji nauki, systemów ekonomicznych, modeli społecznych, a także wspólnot religijnych. A zatem i Kościół wchodzi w całkiem nowy, postmodernistyczny, posteuropski, globalny okres swojej historii. Paradygmat eurocentryczny przechodzi stopniowo w policentryczny paradygmat różnych kultur i religii. Funkcjonowanie tego paradygmatu widzi Küng w przynajmniej czterech współczesnych ruchach: ekologicznym, feministycznym, dystrybucyjnym (chodzi o wyrównanie przepaści między bogatymi a biednymi) i religijnym (na rzecz

nowego ekumenizmu). Küng twierdzi, że bez pokoju i porozumienia między religiami nie może być pokoju między cywilizacjami. A pokój między religiami nie jest możliwy bez dialogu. Autentyczny dialog wreszcie wymaga uprzytomnienia sobie i dotarcia do samych fundamentów religii. Temu celowi ma służyć jego obecna książka. Podejmując swoją próbę „dotarcia do fundamentów” Küng kieruje najostrzejsze słowa krytyki pod adresem swojej własnej tradycji religijnej – i tak może być powinno. Ale można by go nie bez racji zapytać, dlaczego nie zwrócił baczniejszej uwagi na to, co w szczególnie sposób stanowi o sile i trwałości katolickiej tradycji, a jest całkowicie wolne od średniowiecznych ekscesów i współczesnego autorytaryzmu; a mianowicie jej żywą sakramentalność, jej mocną więź wspólnotową, zasięg katolickich misji, jej dynamiczną naukę społeczną, jej zdolność do wewnętrznej odnowy (jaka inna tradycja miała swoje Vaticanum II?), jednym słowem, jej katolickość.

Kiedy wiele lat temu, jeszcze przed Soborem, młody Hans Küng ogłosił swą pionierską i niezwykle wpływową pracę pt. „Sobór, reforma i zjednoczenie” (*The Council, Reform and Reunion*, 1962), wielu krytyków uznało jego wizję za zbyt radykalną i nierealistyczną. A przecież dziś, w okresie posoborowym, jego ówczesna krytyka Kościoła i plany reform robią wrażenie dość umiarkowanych, jeśli nie wprost konserwatywnych. Ale dziś znowu wielu krytyków podobnie reaguje na jego ostatnie książki, może nawet ostrzej (wskutek zmienionej atmosfery, jaka zapanowała w Kościele katolickim w ciągu ostatnich 17 lat). Myślę jednak, że historia raz jeszcze wykaze, że Küng i tym razem wyprzedził swych krytyków. Wszystkie kościoły, nie tylko Kościół rzymskokatolicki, winne mu są głęboką wdzięczność za wszystko czego dokonał dla sprawy Ewangelii i ekumenizmu w ciągu wielu lat swej świetnej teologicznej kariery.

Richard McBRIEN

Kraj

Kiedy ten numer „Kultury” wyjdzie z druku...

1.

Listopadowe wybory prezydenckie byłyby niewątpliwie jakąś szansą na odnowienie polskiej sceny politycznej.

Wydawało się zrazu możliwe, a nawet prawdopodobne, że walka o prezydenturę zmieni w sposób istotny czołówkę naszej klasy politycznej. Wyglądało na to, że Unia Wolności wraz z wyborem Kuronia jako kandydata dokonuje wymiany kierownictwa: przyszedł Balcerowicz, partyjny *homo novus*, odchodzili Mazowiecki i Suchocka, Rokita przepadł w lokalnych wyborach w Krakowie. PSL miał wyraźnie dosyć Pawlaka. Unia Pracy obrała swym kandydatem Zielińskiego, wbrew woli kierownictwa. Znikąd wyłoniła się Gronkiewicz-Waltz, która w ciągu kilku tygodni stała się jedynym wiarygodnym kontrkandydatem Wałęsy na prawicy. Nawet w SLD pojawiły się wątpliwości co do sensu kandydatury Kwaśniewskiego: tym razem nie chodziło już o zmanifestowanie obecności jak z Cimoszewiczem w 1990. Zwątpienie zawisło nad obozem prezydenta, przyjaciele poczęli mu doradzać, by się wycofał do Sulejówka... Jak widać, zarysowujące się perspektywy tej swoistej wymiany kadr na szczytach niewiele miały wspólnego z pokoleniową zmianą warty: nowi byli często starsi od odchodzących. Trudno by również mówić o poszukiwaniu wyrazistości programowej. Jest raczej odwrotnie. Mo-

zna z pewnością bronić tezy, że wymiana pierwszych szeregów odpowiadałaby przesunięciu dominanty w głównych sporach politycznych i ideowych, wygaszaniu tradycyjnych kontrowersji i poszukiwaniu rozwiązań ideologicznie niekonsekwentnych ale pragmatycznie skutecznych (w takich choćby węzłowych kwestiach jak reformy ubezpieczeń społecznych, świadczeń zdrowotnych, oświaty i w tak zabagnionych jak konkordat i stosunki z Kościołem). Niewątpliwie dominujący wpływ na zarysowanie się nowych perspektyw miało poczucie, które wiosną tego roku doszło do głosu we wielu sztabach politycznych, że wyborcy stają się niesterowalni, że przestają reagować według wdrożonych sposobów, że, jednym słowem, są zmęczeni polityką (to w wersji optymistycznej) lub że nawet stają się w swych reakcjach nieprzewidywalni i nieodpowiedzialni.

Nie tylko spraw kadrowych dotykał powiew nowości. Dawało się zauważyć wznowienie namysłu nad przebudową sceny politycznej, przy czym mniej już w tym było plotek – o rozłamach, akcesach i fuzjach – więcej zaś refleksji o dążeniu do alternatywnego systemu dwupartyjnego (na początek – dwublokowego), w którym władza krążyłaby w układzie zamkniętym. Taki system odpowiadałby, oczywiście, zaawansowanej stabilizacji ustrojowej, programy konkurujących bloków byłyby w istocie wariantowymi rozwiązaniami problemów zarządzania wzrostem, jak w większości rozwiniętych krajów zachodnich. Wypada bardzo mocno podkreślić, że jest to ujęcie odmienne, nieznanne z dotychczasowej praktyki Trzeciej RP przeciwstawienia „tradycjonalny/modernizacyjny oraz „postkomunistyczny/solidarnościowy”. Każde z nich – pierwsze wylansowali liberałowie, drugie narodowi katolicy – rozumiane jako główna opcja organizująca scenę polityczną, zakłada właśnie brak stabilizacji ustrojowej i opisuje sytuację, w której jedna część społeczeństwa ma za zadanie „wychować” drugą, w której zatem nie może być mowy o krążeniu władzy w układzie zamkniętym. Każda zmiana sił u władzy odpowiada w tej wizji nieuchronnej destabilizacji ustroju i groźbie regresu.

Zarysowująca się w opinii zmiana optyki na rzecz nowego ujęcia była niejako wymuszona rosnącą polityczną niewydolnością obu opozycji dotychczasowych. Nie dawały one bowiem żadnego dobrego uporządkowania sceny polity-

cznej, zestawiane razem produkowały rozproszenie i chaos. Najdobitniejszym tego przejawem był upadek gabinetu Suchockiej, obalonego przez własnych adherentów z „S”. W istocie rzeczy jedynym instytucjonalnym profitem tego chaosu był prezydent, choć nic prostszego niż spostrzeżenie, że wykorzystywać sytuację dla siebie mógł tylko za cenę rażących niekonsekwencji własnych. Tradycjonalista i modernizator, solidarnościowiec, ale i hodowca lewej nogi – prezydent Wałęsa grał za całą orkiestrę. Ale gdyby o scenie politycznej w Polsce stanowiło przeciwstawienie powiedzmy, jak w Niemczech, chadecji i socjaldemokracji, taki prezydent nie miałby nic do roboty. Najwyraźniej Aleksander Kwaśniewski zrobił to proste spostrzeżenie.

Wszystkie uprzednie wysiłki SLD, aby przełamać izolację od obozu solidarnościowego i nawiązać współpracę „modernizatorów” nie przyniosły żadnych godnych uwagi rezultatów. Nawet ci projektodawcy kandydatury Jacka Kuronia, którzy sugerowali, by SLD nie wysuwał własnego kandydata i poparł założyciela KOR, nie chcieli przecież aby był on kandydatem naprawdę ponad partyjnym, a Unia Wolności jego sponsorem na równych z SLD prawach; wystarczy to sformułować, by dostrzec nierzeczywistość pomysłu. Kwaśniewski stając do kampanii odrzucił w istocie dotychczasową taktykę SLD, podejmując próbę samodzielnego wylansowania SLD jako socjaldemokratycznego bieguna nowego układu, w oczekiwaniu na zorganizowanie się kontrbieguna – „chadeków”, jak mawia leader SLD. Niezależnie od rezultatu, wypada przyznać, że podjął tę próbę na jedynym sensownym dla niej terenie – w walce o prezydenturę. Tylko w niej jeden człowiek robi za całą formację, tylko w niej można zatem odwrócić normalny, zmundny porządek działań, w którym aby zmienić kulturę polityczną trzeba najpierw zmienić charakter całego ruchu (organizacji). Takie postawienie sprawy oznaczało, że kandydat SLD nie tylko rywalizuje z Wałęsą. W istocie rzeczy Kwaśniewski swym zamierzeniem postawił pod znakiem zapytania samą koncepcję prezydentury – orkiestry.

Autentyczne podjęcie wyzwania ukrytego w inicjatywie SLD – ukrytego, gdyż nie chodziło tylko o to, że postkomu-

niści pchają się do władzy, lecz o to, że pchają się do niej jako równoprawni i wiarygodni stróże nowego ustroju i państwa – mogłoby się było wyrazić próbą wypełnienia drugiego członu proponowanej alternatywy. Jakoż w formie załączkowej odnajdujemy taką próbę i u Kuronia, i u Gronkiewicz-Waltz. Ale bardzo prędko te załączki zamarły. Unia Wolności, od której kandydatura i kampania Jacka Kuronia były znacznie głębiej uzależnione niż początkowo on sam to zamierzał, a także episkopat, który nie omieszkał przejąc od ducha Świętego prowadzenia pani prezes NBP, obrali zupełnie odmienną linię walki: nie rywalizację z Kwaśniewskim o to, kto lepiej się sprawdzi w dążeniu do tego samego celu, lecz zakwestionowanie tożsamości celu. Trudno zaprzeczyć, że wiarygodność Aleksandra Kwaśniewskiego jako nowoczesnego przywódcy nowoczesnej socjaldemokracji może budzić liczne wątpliwości. Jest on na pewno doskonałym graczem politycznym i talentem ekwilibrysty zawdzięcza utrzymanie SLD jako formacji zwartej i zdyscyplinowanej, przynajmniej na miarę dzisiaj w Polsce spotykanej dyscypliny politycznej. Ale afery z posłem Sekułą ukazała symbolicznie, jakim kosztem, również osobistej wiarygodności przywódcy, to się dzieje. Oskarżenia ze strony Unii Wolności, że działacze SLD są niepomiernie łasi na posady i profity z władzy są najzupełniej uzasadnione. Wprawdzie korupcja niekoniecznie jest spreczna z nowoczesną socjaldemokracją, ale jest różnica pomiędzy tymi, którzy łapówki biorą na fundusz partyjny, jak podobno sekretarz NATO, a tymi, którzy zagarniają pod siebie. Żeby brać tylko dla partii, trzeba zapewne długo brać najpierw dla siebie. Kwestia nasycenia i dojrzałości.

Inaczej jest z drugą serią zarzutów, którymi szafuje Unia Wolności: o wyuzdany etatyzm. W jakiejś mierze jest przecież właściwe, by socjaldemokracja była bardziej etatystyczna niż jej liberalna lub chadeckoliberalna konkurencja. Czy natomiast SLD przekracza w tej mierze granice stabilności wolnorynkowego ustroju? Wszystko temu raczej przeczy.

W gruncie rzeczy odmowa Unii Wolności podjęcia istotnego wyzwania, którym stała się kandydatura Kwaśniewskiego, wynikała głównie z wątpliwości co do zaawansowanej stabilizacji ustroju. Głośno można się wprawdzie zaklinać, że Balcerowicz wzniosł dzieło *aera perennium*, którego nikt nie

zmoże, ale w istocie ustrój ten jest zbyt nieukończony i zbyt kwestionowany przez różne interesy społeczne, by Unia Wolności chciała zrezygnować ze wspomnianej, a szczególnie jej bliskiej koncepcji, w której jedna część społeczeństwa „wychowuje” drugą, liberał *homo sovieticus* na przykład. Tym bardziej, to względ dodatkowy, że przywódcy Unii wcale nie mieli zaufania do swego kandydata, którego najistotniejsze propozycje polityczne traktowali z przymrużeniem oka jako wspomnieniowe majaczenia dawnego harcerza.

Ostatecznie końcowym słowem tej formacji w kampanii była zapowiedź Tadeusza Mazowieckiego, że w drugiej turze trzeba będzie głosować („oczywiście”) na kandydata z obozu solidarnościowego – oraz wypowiedź Leszka Balcerowicza, który wiele się spodziewa po enigmatycznej centroprawicy. Nie było tajemnicą, że przywódcy Unii Wolności postawili w istocie kreskę na swoim kandydacie, jeszcze zanim sondaże przyznały im rację, i czekali na finał w składzie Gronkiewicz-Waltz – Kwaśniewski, aby odtworzyć koalicję, na której efemerycznej postaci wspierał się był gabinet Suchockiej. Jak wiadomo, gabinet ten chciał być modernizacyjny i solidarnościowy zarazem, czerpać z obu uprzednio wspomnianych przeciwstawień i od tego się rozsypał. Czy po przesunięciu środka ciężkości takiej konstrukcji z Unii Wolności bardziej na prawo, ku partiom wyznaniowym jak ZChN, byłaby ona trwalsza? W każdym razie wzmocnienie składowej tradycjonalizmu – ideologicznego, organizacyjnego (Kościół!) i socjalnego – nie wróżyłaby pokoju społecznego i spokojnych zmian warty u władzy. Struktura ustrojowa zostałaby może wsparta dodatkowymi klamrami, ale jej stabilność wewnętrzna byłaby osłabiona a ewolucja trudniejsza. Inaczej mówiąc, zasada, że jedna część społeczeństwa musi „wychowywać” drugą, aby się wszystko nie posypało, znalazłaby znacznie rozleglejsze zastosowanie niż w ujęciu liberałów z Unii Wolności. „Wychowawcami” byłiby zaś nie tylko przedsiębiorcy, profesorowie i dziennikarze, lecz przede wszystkim księża, prokuratorzy i policjanci. W ostateczności nawet generałowie.

3.

Powyższy schemat powinien by wyjaśnić najbardziej zagadkowy i zarazem oczywisty fenomen tej kampanii, mianowicie: jak to się dzieje, że zewsząd słychać wrzawę – „idą komuchy”, a jednocześnie wszyscy krzyczący nie są w stanie zebrać się do kupy, by zagrozić drogę groźbie? Po prostu głupota? Instynkt samobójczy?

Nie byłyby to racjonalne odpowiedzi. Wydaje mi się raczej, że samo założenie tkwiące u podłoża strategii Kwaśniewskiego okazało się fałszywe lub przynajmniej przedwczesne. Jest ono wprawdzie atrakcyjne, dobrze porządkuje maszynę państwową, jest bardzo, aż za bardzo „zachodnie”, ale w Polsce 1995 jest po prostu zbyt woluntarystyczne. Kwaśniewski i jego przyjaciele zachowują się jakby proponowali przeciwnikom i rywalom zabawę na boisku: „zrobimy dwie partie”. Nawet jeśli nie ma w tym podstępów – a może być! – jest na pewno tyle właśnie ze starego myślenia komunistycznego, ile zawiera słowo – woluntaryzm. W Polsce nie można jeszcze „zrobić dwóch partii”, ustrój państwa jest dopiero w budowie, interesy społeczne dopiero uczą się posługiwać mechanizmami kontestacji i rokowań, kompromis jest, mimo bełkotu polityków, słowem nadal podejrzanym, a przynajmniej połowa społeczeństwa tylko dlatego nie narusza pokoju społecznego i stabilności kraju, że jest politycznie zmarginalizowana. Gdyby ci ludzie posłuchali nawoływań o „wzięcie w ręce własnego losu” to elity polityczne kraju zdołałyby się pozbiierać. Inaczej mówiąc, nie ma żadnego realnego sensu układać się w partie, obozy i koalicje, jeśli nie ma najpierw pomysłu na życie, wielu pomysłów na życie. Słowa w rodzaju socjaldemokracja czy chadecja są bez tego puste...

Było wiele wydziwiania nad siedemnastu ostatecznie zarejestrowanymi kandydatami w tych wyborach. I rzeczywiście, przynajmniej dziesięciu z nich, to błazny i kombinatory... Sto tysięcy podpisów wspierających to najwyraźniej za mało, by zapewnić elementarną selekcję kandydatów, ale można było je zastąpić? Cenzusem majątkowym, jak we Francji Ludwika Filipa? A może podpisami notabli, burmistrzów, wojewodów, posłów, radnych, senatorów, jak we Francji współczesnej? Ale czy my już mamy tylu godnych zaufania notabli, szacownych w oczach mieszkańców? Pogódźmy się

tymczasem z faktami i zapytajmy raczej, skąd się wzięło tylu chętnych i tylu podpisujących? Czy nie jest to właśnie wykształcony do niepoznaki wyraz owej potrzeby odnowienia, potrzeby nowych ludzi i nowych pomysłów?

Wiele, niestety, wskazuje, że procesja tych dziwołagów przez szklane ekrany i zalew bełkotu z głośników mógł tylko sprawić odrzut sprężyny. Mądrzejsi o pięć lat wyborcy nie pozwolili, jak sądzę, by zabełtali im w głowach kolejni Tymięscy. Ale zapewne zamulenie kampanii okazało się tak przemożne, że nawet ci, którzy zrazu poszukiwać chcieli odnowy, cofnęli się ostatecznie ku sprawdzonej wizji polityki i wypróbowanym rozwiązaniom.

Kiedy ten numer *Kultury* wyjdzie z druku, będziemy w przededniu drugiej tury. Sądzę, że odnajdą się w niej Kwaśniewski i Wałęsa, tak właśnie jak obaj chcieli. Lecz Kwaśniewskiemu wystarczy wówczas do sukcesu dobrze przegrać, natomiast Wałęsa musi dobrze wygrać. Sam głosi nawet, że powinien wygrać już w pierwszej turze („na 60 procent”), bo wtedy pozbędzie się parlamentu, będzie rządził dekretemi (sic!) i stworzy system prezydencki...

„Lech Wałęsa: ... przewiduję następną kadencję jeszcze cięższą od poprzedniej.

Gazeta: – Powiedziałeś, że przewidujesz wiosną i jesienią masowe demonstracje łącznie z zajmowaniem gmachów publicznych. Czy Twój potencjalny wyborca, może mieć stuprocentową pewność, że jeśli przegrasz, to nie sięgniesz do żadnych środków poza konstytucyjnymi?

L.W.: – Znamy się nie od dziś. Wiesz, że pewne rzeczy w obronie ojczyzny zrobię, żeby nie wiem co. Natomiast nie będę prowokatorem. Ale te rzeczy się wymykają... I nikt nie zahamuje pewnych rzeczy. Trzeba będzie strzelać. Tylko wiem, że żadna pańcia tego nie zrobi. A ja to zrobię dla dobra ojczyzny.

Dlaczego to się może zdarzyć? Dlatego, że ten parlament nie reprezentuje wielu grup społecznych. Ja go podważam, chcę go zmienić...”

(Rozmowa z Lechem Wałęsą dziennikarzy *Gazety Wyborczej* – Agnieszki Kublik, Adama Michnika i Pawła Smoleńskiego, *GW* z 14-15.X.95).

Jak widać Wałęsa powracał do nawyków, od których w pierwszej fazie kampanii zdawał się być odzwyczajając. Wydawało się, że się trochę wyciszył i pomiarkował. Jeśli nawet nie musiało to wiele znaczyć, dowodziło przynajmniej elastyczności i umiejętności samokontroli.

Najwyraźniej Michnik z Agnieszką Kublik fatalnie na niego podziałali i jest to najbardziej dobrotliwa interpretacja.

Warszawa, 15 października 1995

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

15 rocznica Sierpnia. Ile minęło lat? Liczę i ze zdumieniem odkrywam, że to taka sama przestrzeń jak od zakończenia II wojny do roku 1960.

Powstał w latach 80-tych wielki zbiornik pamięci, wzruszeń, poruszeń, szlachetnych gestów, myślenia kategoriami dobra wspólnego, chociaż chyba myślenia było mało, a wiele ładnych emocji. Do dziś wyciekło wszystko, do dna.

Na tym dniu budujemy teraz Polskę. Nie widać nawet popiołu z ówczesnych pięknych odruchów. Nasza rewolucja przyszła nie górą, a dołem, jakby kanałami. Budujemy wolność wśród odpadów komunizmu. Skurczyły się, powysychały, ale widać je wszędzie jak skamienieliny, nawet nasze nierówne chodniki mają wystające żebra tamtego czasu. Nic z tego nie jest do wykorzystania. Podobnie jak żaden symbol z czasu buntu nie jest do wzięcia. Dlatego kto tylko może z kandydatów na Prezydenta mówi, „nie byłem nigdy w Partii, nie byłem nigdy w ‘Solidarności’”.

W radiu nagrywamy audycję w 15-tą rocznicę podpisania umów gdańskich. Jest Bogdan Borusewicz i Waldek Kuczyński, Borusewicz dzisiaj poseł, a ekonomista Kuczyński był najbliższym współpracownikiem premiera Mazowieckiego. Studio na Myśliwieckiej zabytkowe, nic tu się fizycznie nie zmie-

niło od roku 80, założono tylko dźwiękochłonne szyby. Borusewicz, mało kto o tym wie, jest właściwie ojcem „Sierpnia”, to on wymyślił scenariusz strajku, wyhodował na własnej piersi Wałęsę i pchnął go do Stoczni. Ale niemal od narodzin nie kocha swojego wielkiego dziecka, lecz teraz przynajmniej go nie opluskwia, co czyni wielu dawnych przyjaciół Lecha.

Pamiętam listopad roku 81. Moje spotkanie z Borusewiczem w Gdańsku, spotkania z innymi działaczami władz gdańskiej „Solidarności”, opowiadali o Wałęsie rzeczy od których włos jeżył się na głowie. W 14 lat potem wszystko jest aktualne w 100%. Nawet Anna Walentynowicz, wtedy nie tak szalona jak dzisiaj, trafiała zawsze w punkt mówiąc o charakterze przyszłego Prezydenta. Bogdan miał wtedy dosyć, wycofał się z działalności, jechał w Bieszczady hodować owce. Ale przyszedł stan wojenny i stał się opoką podziemia.

Kuczyński był jednym z ważnych doradców sierpniowego strajku. Pamiętam salę BHP i w dalekim tle Polskę, która płonęła. Na sali BHP tłum delegatów też płonął. Nieustannie przyjeżdżały delegacje z nowych zakładów pracy, z coraz głębszych kręgów kraju, gdy pewnego dnia ogień zaczął dobierać się do Śląska. Przybyła właśnie delegacja bodaj z Zagłębia Miedziowego. – „Zagłębie stoi” – delegacja wbiega na scenę, tłum wiwatuje. Podchodzi do mnie Kuczyński – „ty popatrz, to jest rewolucja”. Może byłem wtedy młody i głupi, ale powiedziałem – „to świetnie”.

– Co ty gadasz, to nieszczęście, wejdą ruskie czołgi – spojrzał na mnie jak na szaleńca. Miał rację i nie miał jej. Co teraz możemy powiedzieć, o co się spierać – jest jasne, że zmarnowaliśmy tyle entuzjazmu, gestów, dobrej woli milionów ludzi. Kuczyński mówi raczej sceptycznie, uważa że ta przeszłość bardziej jest balastem niż dopingiem. Może tak – myślę – a jednak, nie musiało do tego dojść. Kiedy się nagadaliśmy, ja z Borusewiczem nostalgicznie, a Kuczyński gorzko-sceptycznie, po zakończeniu programu, ale jeszcze w studio pytam ekonomistę z innej beczki – co z naszą ekonomią? Mówi, że rewelacyjnie, co smutne tylko z tego powodu, że na konto postkomunistów rzecz idzie, a na to nie zasłużyli.

Za szybą siedzi realizatorka, mikrofon był włączony więc nas słyszy – wtrąca się i mówi głosem zwielokrotnionym przez głośnik. Jakby głos ludu przemówił...

– „W latach 80-tych przez ponad rok siedziałam w więzieniu, za działalność w podziemnej „Solidarności”, ale nie po to, by dzisiaj tyle dzieci było niedożywionych. Ale ja nie jestem elita...”, zakończyła zjadliwie. Oto nasza audycja do-
stała swoją puentę, która nie pójdzie w eter.

Spotykam w radiowym korytarzu bardzo młodą znajomą. Idziemy na spacer, męczy ją coś, wyciągam z niej słowa, jak drzazgę. Boi się czy nie jest w ciąży. Problem, że ojcem może być kilku panów, problem że w Polsce mimo zakazu to się robi bez problemu, tylko zabieg kosztuje 15 milionów, problem jest też, jednak, moralny... Jak to się ma do rocznicy Sierpnia? Tak, że to są poważne zagadnienia a nasze wspomnienia nie mają już żadnej wagi.

W kilka dni potem znowu w radio, w innym składzie ale na żywo dyskutujemy wokół ankiety, którą zrobiłem dla *Res Publiki*. Wspomniałem o niej w poprzednim tekście, a wynikało z tego materiału, że młodzież nie ma specjalnie ochoty ginąć za ojczyznę, że ojczyzna im się kojarzy z miejscem gdzie kłócą się politycy o stołki. Zupełny upadek patriotyzmu...

Słuchacze mają dzwonić w środku nocy i z nami dyskutować. Kilka raczej niewyraźnych telefonów młodych ludzi, z jednego wynika, że ów młodzian za Śląsk by od biedy ginął, a za Polskę to już nie. Zaś inni raczej zgodnie twierdzą, że nie warto się poświęcać. Nic z tego nie wynika, może oprócz tego, że nie dostaliśmy ani jednego telefonu od ludzi starszych, z dawnej AK choćby, dla których „kamienie przez Boga rzucane na szaniec” – brzmiały wiarygodnie. Im się już nawet dzwonić nie chce.

Pamiętam strajk generalny z czasów „Solidarności” – jeździłem od fabryki do fabryki, od biura do biura, jakbym pruł motorówką przez coraz większe fale i odwiedzał statki szykujące się na spotkanie tajfunu. Ludzie byli gotowi ginąć za sprawę, a w tle widziałem tyle figur romantycznych i stawały mi przed oczyma wszystkie nasze powstania. Do grudnia to się wypaliło, więc stan wojenny był celnie wymierzony, już w popiół, nie w ogień.

Po takiej zgęstce duchowej, po tylu emocjach i cytatach z naszej historii, zaskakuje dzisiaj zanik pamięci i głębia pustki duchowej.

Czy cała Polska nie jest dzisiaj jakby z drugiej ręki? – takie pytanie zadał bliski mi P. żyjący w eleganckim kraju, kiedy zakończył podróż po swej dawnej ojczyźnie.

Przybył też z USA mój przyjaciel G., opisywałem kiedyś wzruszenia gdy w warszawskim kinie oglądałem film nakręcony w Hollywood, którego był operatorem.

Spacerujemy po Pradze, okolice Stadionu X-lecia, są niezawodne. Grube ruskie baby, z wózeczkami ciągną swój towar. Tak kiedyś budowano piramidy. Czy na jej czubku wyrośnie dostatek i demokracja w Rosji? Jest też *peep-show* z Rosji, w drewnianym pomieszczeniu na kółkach przypominającym wóz Drzymały, na malowanych w różne kolory deskach wiszą kolorowe zdjęcia nagich kobiet i rosyjskie napisy, ale naczelnny szyl d głosi po polsku: „Tylko dla prawdziwych mężczyzn”. We fragmencie tego seksualnego ruskiego wozu Drzymały baba handluje żyrandolami. Gdyby tuż obok leżały rakiety balistyczne z nuklearnymi głowicami na sprzedaż, to nikt by się zbyt nie zdziwił.

A na ulicy Targowej groch z kapustą zaczyna mieszać się z tym co można nazwać „Macdonaldyzacją” Polski. G. patrzy na to z przerażeniem, bo chociaż żyje w najbardziej skomercjalizowanym skrawku USA, to właśnie ta „Macdonaldyzacja” Polski przeraża go.

Wielu przybywających z daleka znajomych emigrantów, nie może też wyjść ze zdziwienia nad innym fenomenem. Za ich pamięci widmo komunizmu krążyło po tej części świata, a teraz widmo Europy krąży nad „Rzeczpospolitą”. To cnotliwcy narodowo-seksualnie-nacjonalistyczno-religijni używają pojęcia „Europa” i „tak zwani Europejczycy” – jako kpiny i zniewagi. Od dwunastu lat Polska marzyła by przytulić się do Europy i zostawić za plecami Rosję. Dzisiaj gdy tak blisko jest owe marzenie, to właśnie Europa dla obrońców wartości narodowych i religijnych staje się nowym zagrożeniem. Co się porobiło...

Ale na szczęście badania opinii publicznej ukazują, że nie jest tak źle z naszym społeczeństwem, bo zdecydowana większość Polaków chce do Europy. Zarazem ludzie deklarują potrzebę zachowania własnej tradycji. Bardzo dobrze. Może tylko najpierw byśmy tę tradycję gdzieś wysublimowali? Jak to ładnie zrobić? Na razie wiele jest prawdy w gorzkich słowach Wojciecha Pszoniaka: „Rozglądam się wokół, czy to

jest Polska? Ten kraj jest żaden. Nie ma pomysłu na siebie”.
 Saram się nie zawęzać widzenia do perspektywy okien mego mieszkania w centrum miasta. Nie mogę jednak nie widzieć przez te okna codziennych sesji alkoholowych i niezwykle bujnej obyczajowości oraz „kultury” picia. Jeśli właśnie słucham Chopina, ten codzienny widok doprawdy mnie wewnątrz rozdziera.

Jak więc odrzucić wołanie narodowej prawicy o jakiś ładny polski wzór? Niestety, co oni sami mają do pokazania jako wzór się nie nadaje, jest wzorem swarów, pomówień, fobii, urazów i myślenia płytkiego. Wszędzie gdzie we fragmentach władzę obejmuje tak zwana prawica, pomijając intelektualną jałowość ich propozycji, panować zaczyna bałagan. Fakt zupełnego rozpieru naszej prawicy od góry do dołu zaczyna martwić już nawet wrogów tego sposobu myślenia.

Nigdy jeszcze nie miałem takiego kłopotu z wyborem tonu dla swojego tekstu, więc wpadam w kpinę, a czy to nie za łatwe? I brakuje mi materiału, co doprawdy zaskakujące, bo przecież gotuje się nasz polityczny krajobraz.

Jaki ton dobrać w pisaniu o naszej polityce skoro ani jest śmiesznie, ani smutno czy tragicznie, trudno też mówić o optymizmie. Zrobiło się nijako. Wyczekuję, a nuż się coś przydarzy i nasze życie polityczne pokaże twarz. Nie to jednak pokazuje.

Trudno sobie wyobrazić większe zagubienie i zafrasowanie niż to, które panuje w Polsce wśród ludzi tak zwanych poważnych, którzy myślą o przyszłości swojego kraju. Gdziekolwiek się ruszę, to pytam, na kogo? Na kogo głosować na Boga!!!

I tu trwoga, bo nie ma na kogo głosować. Jeszcze niedawno można było mieć złudzenie, że ktoś się pojawi, ktoś mądrzejszy, ktoś się uprzyjemni, ktoś zrezygnuje. Kuronia doprawdy podziwiam i lubię, ale to jakby za mało, takie czasy, taki kraj, że to za mało. Prof. Strzembosz zrezygnował, ulga, ale niewielka, bo to przecież porządny człowiek, ale też nie na ten fotel. Lech Kaczyński na początku zrezygnował, powiedział, że brzydzi się już polityką, tu go nagle polubiłem, ale nie na długo, bo zaraz zrezygnował z rezygnacji. Tylko dlatego, że chce zarzącać Wałęsę, nie postkomunistę Kwaśniewskiego, ale właśnie Wałęsę, którego kiedyś wypromował na Prezydenta. Nie powie tego głośno, ale on podobnie jak

wielu ze strony przezywanej „lewicą postsolidarnościową” woli Kwaśniewskiego od Wałęsy. Kaczyński mówi: „Nie! Na rzecz L. Wałęsy nie zrezygnuję, gdyż jest on skrajnie niebezpieczną osobą i dalsze sprawowanie przez niego władzy byłoby dla kraju niebezpieczne”.

A Wałęsa o Kaczyńskim mówi tak: „Jeśli chodzi o mojego byłego przyjaciela Kaczyńskiego: życzę mu, żeby wygrał przyzycenie, tylko w innym kraju. W innym, musimy gdzieś w galaktyce poszukać”. Słuszne są oba sądy. Czy z tego nie wynika, że postkomuniści zasłużyli, by znowu wygrać? Miało ich być 18-tu, ale Tejkowskiemu, który głosi jawnie faszystowskie poglądy, udowodniono nie faszyzm a fałszerstwo podpisów. 17 osób, kupa luda, jeśli utrzyma się zasada 100 tysięcy podpisów jest szansa, że w przyszłych wyborach wystartuje wielokrotnie więcej. Polska jest krajem, gdzie w sprzyjających okolicznościach bez trudu znalazłoby się około miliona kandydatów na Prezydenta, bo przecież tu każdy wie lepiej. Na razie musi nam wystarczyć 17 co i tak jest podobno rekordem Europy. Nie ma się wcale z czego śmiać. Nawet Młynarskiemu nie bardzo wychodzą fraszki na kandydatów. Zacytuję tylko jedną, trafną: „Liczni, śliczni, psychiczni”.

Do polityki wszędzie pchają się szaleńcy, niektórzy zdobywają władzę i podbijają pół świata, lub pakują pół świata do łagrów, nawet w naszych niby racjonalnych czasach. Nasze polskie szaleństwo jest skromne, nieco prowincjonalne, chyba na szczęście.

Jeden z kandydatów niejaki Piotrowicz jest wynalazcą niezwykle dobrze działających na cały ludzki organizm wkładek ortopedycznych, leczą nawet żółtaczkę. Oto przepis: „Wkładkę przyszłego prezydenta Piotrowicza wkłada się między dwie skarpetki – by energia nie uciekła i impuls energetyczny-zwrotny odbijał się od stóp. Nogi myć dwa razy dziennie. Skarpetki zmienić co 2-3 godziny”.

Rzeczywiście cudowne wkładki. Nogi nogami, ale bez super wkładki do mózgu w naszej polityce nadal będzie smutno. I trudno nie zauważyć, że niektórzy po prostu skorzystali, by reklamować swoje szemrane biznesy.

Znanemu humoryście Janowi Pietrzakowi nie tylko obcięto od sztabu kabel telefoniczny, gorzej, że sam sobie obciął poczucie humoru. A gdyby je zachował to wybór Pietrzaka

na prezydenta byłby wspaniałym podsumowaniem pięciu lat naszego politycznego kabaretu.

Leszek Bubel wślwił się potężnym guzem, którego nabił się w agencji towarzyskiej, co jest eufeministycznym określeniem burdelu. A jego poglądy? Co za mizeria umysłowa, wielki wstyd, a na dokładkę znowu jakieś rasistowskie akcenciki.

Jana Olszewskiego znałem w czasach, gdy był zafrasowany losem Polski, ale nie aż tak. „Jako wyjątkowo obrzydliwy fałsz określił Olszewski powtarzające się pogłoski o jego żydowskim pochodzeniu. Zainteresowanych odesłał do dobrze zachowanych dokumentów kościelnych” (Tygodnik *Nasza Polska*). Z przerażeniem obserwuję drogę Olszewskiego od zdrowego rozsądku, i od roli szlachetnego obrońcy, do roli siewcy spiskowego myślenia. On naprawdę wierzy, że wewnątrz kraju jest jakiś spisek przeciw Polsce.

Tadeusz Koźluk, następny kandydat, jest profesorem prawa i jak na profesora prawa dobrze się zabezpieczył. Mówi – „Nazywam się Tadeusz Koźluk i zawsze się tak nazywałem. Metrykę urodzenia zawsze noszą przy sobie”.

Hanna Gronkiewicz-Waltz rośnie na głównego rywala Kwaśniewskiego i o zgrozo Wałęsy. Mają niemal identyczny elektorat, prorynkowy, a zarazem kościelno-tradycjonalistyczny, a więc zjadają się nawzajem jak kanibale. Czyli znowu zagryzamy się nawzajem, a nie konkurujemy z postkomunistami. Wałęsa uważa, że tę panią sam wykreował a ona mu teraz robi zupełnie wyjątkowe kuku. Pani Gronkiewicz-Waltz występuje w roli specja bankowego, ale jej osobiste kontakty z Panem Bogiem są trochę niepokojące, nigdy przecież nie wiadomo co się podczas takiej sesji usłyszy. Jak się zdaje sam Kościół nagle przestraszył się tych kontaktów i zaczyna się niespodziewanie przechylać w kierunku Wałęsy, po którym już mniej więcej wiadomo czego można się spodziewać. Pani Waltz zwana przez bliskich jej polityków „kluseczką”, mówi sama z siebie czasami rzeczy horendalne, a zgodne z poglądami skrajnej prawicy. Czy to u niej garb przybrany czy garb naturalny? Wydaje się, że jednak potrafiłaby się uniezależnić od wszystkich, co wielu niepokoi, ale nie wszystkich. „Polska potrzebuje mądrej, miłującej ale wymagającej matki” i taką matką będzie Pani Waltz – oświadcza prof. Stuligrosz, z jej sztabu wyborczego. Czy Matka Boska Częstochowska nam nie wystarczy?

Coraz więcej znaków, że czeka nas koszmarny wybór bez wyboru, między Kwaśniewskim a Wałęsą, z idiotycznym przypisem, że na obecnym tle Kwaśniewski, bez swojej partii byłby kto wie, chyba zupełnie dobrym kandydatem. Lecz żaden zabieg chirurgiczny nie odetnie go od SLD.

A jednak coraz więcej moich znajomych, nawet tych kiedyś głęboko zaangażowanych w podziemną „Solidarność”, mówi, że jeśli będą musieli wybierać między opcją prawicowo-kościelną, a Kwaśniewskim, to wybiorą Kwaśniewskiego. Do tego doszło, czyli zaszło daleko.

Póki co nic strasznego się nie dzieje. Tylko przeciwnicy rządzącej koalicji oskarżają się nawzajem, że 100 tysięcy głosów, które uzyskali, by móc kandydować zostało sfałszowane. Nieustannie ktoś kogoś oszukuje, coś wykrada. Jeśli jest jakaś gra polityczna to gra emocji a nie racji.

Coraz mniej rozumiem z tego co dzieje się w naszej polityce i w życiu społecznym. Niemal wszyscy bliscy mi ludzi, którzy kiedyś pasjonowali się polityką odsunęli się od niej jak od jakiegoś glutowatego obrzydlistwa. Ja słucham i gapię się już tylko z obowiązku.

Wracając do prezydenckiej kampanii. Tyle było obaw, że będzie brutalnie i chamsko, a jest głupio, grzecznie i nudno, a groteskowa przyprawa jak na razie nie dodaje smaku wyborczej potrawie. Gdy już wyślę tekst do druku kandydaci zaczną prezentować się w telewizji, tu mogą pojawiać się jakieś atrakcje. Boję się że uzyskamy potwierdzenie tego co wisi w jesiennym, wilgotnym powietrzu – że u nas każdy może być Prezydentem. Jest to bardzo demokratyczne, szlacheckie poczucie, że polityką mogą zajmować się amatorzy, bo jest to zajęcie zbyt poważne dla profesjonalistów.

Z niepokojem widzę, jak już nie aborcja a sam Kościół zaczyna dzielić ludzi. Nasilają się postawy antyklerykalne, gdy z kolei ludzi związani z kościołem też coraz częściej mają uczulenie na wszystko co pachnie im liberalizmem obyczajowym. Ja sam się zacięcie bronię by nie wpaść w koryto pierwszej grupy, bo to jednak też jest koryto...

W *Polityce* bardzo celne uwagi S. Rosnowskiego. „Rządy sprawuje dziś niepewna siebie lewica i niepewni siebie, ale za to podejrzliwi i nie przygotowani do podjęcia odpowiedzial-

ności za coś więcej niż swe własne interesy stanowe – chłopi” „Duchowe nieszczęście” polskiej sceny politycznej polega na tym, że właściwie obie strony dzisiejszego polskiego „Kulturkampfu” – walki Kościoła z „lewicą” (która na szczęście ma tylko operetkowy wymiar) nie mają żadnego rozbudowanego pomysłu na Polskę i nie mają do swej dyspozycji żadnych autentycznych „fabryk myśli”. Kościół odwołuje się do „sprawdzonych wartości” odrzucając w zarodku jakąkolwiek myśl samokrytyczną i zaciskając oczy na wrzenie w Kościołach europejskich i na praktyczną demokratyzację „ludu bożego” w kwestiach wiary. Lewica natomiast dosyć rachitycznie broni idei państwa prawa mając masło na głowie z powodu braku innego pomysłu na dekomunizację niż wkładanie głowy w piasek. Temu wszystkiemu towarzyszy brak „pośredników” dialogu, nasze polskie „milczenie morza” – brak poważnej debaty o Polsce na jutro mamy idiotyczną alternatywę albo Kościół, albo Europa. Za mało jak na kraj, który ma co nieco do zrobienia wokół siebie w samym sercu Europy...

Film „Książd” wchodzi na polskie ekrany, jak robak na nasz katolicki stół przykryty czystym białym obrusem. Wchodzi na ekrany wśród takiego lamentu katolickiego, w takiej aurze grzechu i sensacji, że nie ma już wątpliwości, że ci którzy chcieli wstrzymać jego rozpowszechnianie spowodowali, że ten film obejrzą w Polsce wszyscy.

Przed kinem „Kultura” gdzie była premiera-nie-premiera, zastałem ukryte siły policyjne. Policjant w pojeździe pod kościołem Wizytek meldował przez mikrofon – „stado histerycznych bab, na razie nic się straszego nie dzieje”. Szczerza to była prawda. Pod kinem stał oddział uzbrojony w książeczki do nabożeństwa, złożony z niemłodych kobiet i zawodził pieśni religijne, z takim przejęciem jakby Chrystusa znowu krzyżowano. Były sztandary katolickie i różne hasła np. „Atak zła na Kościół, Polskę, Rodzinę”.

Stanąłem z boku oszołomiony gwałtownością uczuć wobec filmu, którego nikt z protestujących nie widział i jak się spodziewam nigdy nie zobaczy. Byłem z G., który jest człowiekiem młodym, ale wierzącym i osadzonym w ramach dyscypliny kościoła, G. Szedł więc ze mną na ten film jak idzie się grzeszyć.

Jakaś grupa pikietujących, tym razem męsko-damska stała z boku, nie śpiewała, nie modliła się, a tylko filozofowała. „Temu narodowi brakuje nowego wielkiego nieszczęścia, by zrozumiał, o tak brakuje nieszczęścia...” – gadali, czy raczej gdakali.

No, no, pomyślałem, że też ludzie mogą mówić takie rzeczy w kraju gdzie nieszczęścia przelały się przez brzegi i zatruiły nasze źródła. I nie potrafiłem się nie uśmiechnąć na myśl o tym paradoksie. Ten uśmiech okazał się płachtą na byka. A byk, w postaci grupki osób płci obojga rzucił się na mnie z wielką agresją. Stawiłem im czoła nie zdejmując uśmiechu z twarzy i mówiąc „Czy doprawdy zabieracie mi państwo prawo do uśmiechu, nie wiedząc nawet co jest jego powodem. Czy w waszym kraju nie tylko ten film, ale i uśmiechy winny być pod kontrolą i dostawać zezwolenia”. Byk zaskoczony moją osobistą kulturą, bo oczekiwał ataku, nagle rozpadł się na różne osoby. Ujrzałem wtedy nawet kobietę z rzadką brodą (czy religia katolicka zabrania kobiecie golić brodę, jeśli natura ją wbrew naturze brodą obdarzyła?).

Pokazano mi wtedy w rewanżu już nie rogiem a palcami plakat, który wisiał z napisem „Książd” i oświadczone głosem jednej niewiasty „gdyby tam był rabin a nie książd, to cały świat by się trząsł od protestów”.

Nie czułem się na siłach podejmować dysputy na temat rabina. „To prawda” – rzekł stojący obok mnie G. ale z nim też nie miałem siły. Bo nawet jeśli to prawda, co nie jest pewne, to czemu właśnie w tym kraju nieustannie to łązi ludziom po głowach?

Naszą pokojową konfrontację przerwał przejazd autobusu numer 144, z którego okien wyłoniły się zaciśnięte nieprzyzwyczajone dłonie kilkunastu młodych ludzi i rozległ się zespołowy wrzask, charakterystyczny dla kibiców jadących na piłkarski mecz – „jebać kościół”. Chór śpiew natężył, a G. westchnął – „oto do czego prowadzi antyklerykalna kampania”. A ja westchnąłem – „oto do czego prowadzi religijna histeria”.

Tłum walił drzwiami, próbował też oknami. Policja sprawdzała czy w torbach wchodzących nie ma broni masowego rażenia.

Film nie jest arcydziełem, ale i nie jest bez wartości. Młody i przystojny książd ma w tej opowieści kontakty

homoseksualne, inny ksiądz żyje na stałe z kobietą. I ci grzesznicy w sutannach dostają od sprytniej reżyserki wielkie rozgrzeszenie a publiczność płacze. A na sam koniec były oklaski jak po spektaklu teatralnym. Patrzyłem jednak przychylnie na liberalną Warszawę. Sala pustoszała, a policjanci myszkowali wśród foteli szukając bomby.

Bombę znalazły tylko *mass media*, które rozdmuchały sprawę, jak również rozmnożyły liczbę pikietujących. G. jest wstrząśnięty – „ten film jest nieprawdopodobnie groźny, bo w tak wzruszający i wyrafinowany sposób podmywa fundamenty Kościoła”.

Znowu nie miałem siły na dyskusję – to przecież nasza cywilizacja – niech będzie, że przekłeta – niebezpieczna, chora, to przecież ona podmywa... A film jest tylko znakiem czasu.

Kościół nasz jest potężny, ale nie chciał i nie mógł zablokować pokazów. Podobnie jak ma zaskakująco mały wpływ na polityczne wybory Polaków – dzisiaj biskupi wprost mówią, że wierni mają nie głosować na postkomunistów. Ciekawe co z tego wyniknie i czy głosujący inaczej, będą się z tego potem musieli spowiadać?

„Księdzu” zrobiono taką reklamę, że obejrzą go wszyscy, którzy chodzą do kina. Film ukazuje bezsens celibatu, i jest przyjazny skłonnościom geyowskim. Doceniam akt poświęcenia przez kapłanów swej męskości na ołtarzu wiary. Problem, że to nie funkcjonuje, a przez to, że nie funkcjonuje czyni więcej wiele szkody niż pożytku.

Kościół nie radził sobie nigdy z seksem i pod koniec XX wieku konserwatyzm naszego Papieża właśnie w tej dziedzinie bardzo Kościołowi szkodzi. Nasz episkopat też szalenie zajęty sprawami poniżej pasa.

Ja, co wielokrotnie podkreślam, jestem nie wierzący, wierzę w pustkę. Wiem, że to godne współczucia, którego nie oczekuję. Coraz wyraźniej dostrzegam ucieczkowy charakter wiary. Też bym chętnie wiał od swojej pustki w metafizykę, ale jakoś nie potrafię.

Przez okno widzę jak starzy i ledwie żywi, X i Y, kiedyś gorliwi marksiści, oglądając się na boki czy nikt ich nie widzi, suną do kościoła. Za młodu trwoga pchnęła ich w ramiona Partii, a teraz „jak trwoga to do Boga”.

Wiem, że okrutnie upraszczam, ale wiem też jak można to ładnie komplikować na użytek eseju i wiersza. My jednak jesteśmy teraz tylko w felietonie.

Faktem jest w Polsce pogubienie ludzi. Wielu cierpi na nerwicę natręctw finansowych. Na to chyba cierpią niemal wszyscy. Ale poza tym celem, jest jakieś wielkie zagubienie. Każdy człowiek ma ochotę się do czegoś przytulić, a tu poza łóżkiem, wszystko jakby nieprzytulne. Warszawa przewiana na wylot przez przeciągi, nie ma miejsc gdzie można miło przycupnąć. Właściwie wszędzie przeciągi.

Więc rozumiałe, że Polska staje się rajem dla różnych grup i grupiek religijnych, dla wyznawców różnych proroków i uzdrowicieli. Zobaczmy jak daleko to zajdzie?

M. jest biznesmenem z sukcesem finansowym, związała się z działającą w Polsce sektą jakiegoś bodaj Baby z Indii. Pojechała do tych Indii. Wróciła odmieniona. Kompletnie zazadzenie. Patrę na nią jednak z zazdrością. Jest naprawdę szczęśliwa, ogłupiała, ale szczęśliwa. A ja się męczę. Kiedy próbuje mi przekazać swoje doznania, rumieni się ze wstydu i płacze się jak dziecko, które czuje, że w nieporadnych słowach gubi się magia i barwa przeżycia. Co będzie z jej biznesem, jak pogodzić robienie pieniędzy i sianie wokół dobra, bo tego uczy religia Baby. Rzuciłem okiem na książkę tego guru, łączy on synkretycznie i w zatrzważającą uproszczonej formie kilka religii.

M. zaczyna już sama leczyć nakładając ręce. Od dawna każdy każdego tu poucza, wkrótce każdy będzie tu każdego leczył. Ale trudno się dziwić – nasza wolność jest pusta i zimna. Męsko damskie przytulania nie każdemu dostępne i nie każdemu wystarczą. Do partii politycznej w Polsce nie przytulisz się jak do jeża, rodzina w zaniku, przyjaciele zajęci robieniem pieniędzy, więc ludzie szukają gdzie indziej zastępczej mamy. Jest oczywiście Kościół, ale on też nie najlepiej sobie radzi z tym przytulaniem, chociaż może przesadzam, świątynie są pełne. Czy młodzież jednak nie zaczyna odsuwać się od kościoła?

Z. świetny dziennikarz przez wiele lat za granicą, gdzie zrobił karierę w swoim fachu. Zadają mu głupie dziennikarskie pytanie – co wedle ciebie najbardziej Polsce przeszkadza skoczyć do przodu?

Zaciąga się łykiem piwa i mówi – „katolicyzm w polskim wydaniu, który pozwala, że można być dobrym człowiekiem, a źle pracować, podatków nie płacić, myśleć tylko o sobie. Na to jakoś pozwala polski katolicyzm” – Tak mówi, a ja ze strachem powtarzam.

Jerzy Stuhr, świetny aktor, głosi natomiast taki sąd: „Słowiańszczyzna nas zabija, taki marazm”. O tym, jakie sam mam wady, dowiedziałem się dopiero przebywając dłużej za granicą. Tacy, jak my, są Rosjanie, Ukraińcy, Słowacy, Białorusi – słowem powtarzam – Słowiańszczyzna. (...) trzeba zdać sobie sprawę, że mamy poważne braki”.

Cytat pochodzi z książki „Komedianci 2”, to kontynuacja książki o bojkocie aktorskim. Po 8 latach ci sami aktorzy są w o wiele gorszej formie niż byli w tamtej biedzie. Są dumni ze swojego bojkotu i słusznie, to ewenement światowy, by „ludzie do wynajęcia” tak się umoralnili, szczerze i autentycznie. Teraz kilkunastu znanych aktorów tworzy wielogłós, jakby się wcielili we wszystkie sfrustrowane grupy społeczne, od robotników z Ursusa, po emerytów. Narzekają, że byli tacy dzielni, a teraz nie ma jak żyć. Ale są też inne głosy i kilka świetnych wypowiedzi. Szczerze mnie wzruszyła Joanna Szczepkowska, która przejdzie do historii swoim telewizyjnym obwieszczeniem w październiku roku 89, „Proszę państwa 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm”. – Ile było witalności i radości w tych słowach. Dzisiaj Szczepkowska mówi: „Na razie czuję się na tyle silna, żeby nie przegrać, na tyle słaba, żeby czuć, że ‘wszystko to mnie przerasta’ i na tyle leniwa, że nie zabieram się do pomocy innym. Dopóki takich jak ja będzie więcej, marnie widzę naszą przyszłość”.

No, no, jakoś to będzie, uspokajam aktorkę, musimy tylko zagrać kilka bardziej optymistycznych ról, niestety w tym jesteśmy słabi; świetnie gramy ofiary, ginących na barykadach, postacię depresyjną, pijaków, awanturników, nadętych, bufonów. Brakuje roli pokornej – uczciwego i pracowitego optymisty.

SMECZ

Byłem w Polsce

Po dwóch latach znowu byłem w Polsce. Oto kilka luźnych uwag spisanych *pro memoria*.

Poprzednia moja kilkudniowa bytność miała charakter służbowy i po 2 latach absencji spostrzeżenia moje nie mogły być dostatecznie reprezentatywne. Jednakże już wtedy, a było to po wyborach 1993 stwierdziłem, że nie boję się SLD, ale PSL, bo mówiąc delikatnie ich interesy gospodarcze nie pokrywają się z interesami gospodarczymi Polski. W moim rozumieniu dwuletni okres potwierdził moje przewidywania. Podróż odbyłem autobusem, przez Wrocław do Poznania. Z Poznania jeździłem ekspresem do Warszawy, autobusem pospiesznym do Kalisza i samochodem osobowym przez Słupcę, Ślesin do Włocławka i trochę inną drogą z powrotem.

Podróż od granicy niemieckiej nasuwa refleksje o muszą myśleć Niemcy pokonujący tę samą drogę. Refleksja może być tylko jedna, że na ziemiach, które im odebraliśmy nie wybudowali nic nowego, a to co było zdewastowali. Jeśli tego nam nie mówią to jedynie przez dobre wychowanie. Nasza wymówka, że temu winien komunizm, oraz że w byłej NRD nie było lepiej pozostaje wymówką. Ja piszę o faktach. Ogólnie mówiąc sieć drogowa w Polsce jest rzadka, a drogi są w strasznym stanie. Bezkolizyjne przejazdy kolejowe nawet na ważnych liniach należą do rzadkości. Podobnie rzecz się ma ze stanem ulic w miastach. Są to wydatki olbrzymie pokrywane zwykle ze środków budżetowych, a te ze względu na masowy rabunek majątku narodowego, do której to sprawy jeszcze wrócę, są niezwykle szczupłe.

Podróżowanie ekspresami 1 kl jest względnie przyjemne, a ekspres LECH z Poznania do Warszawy ma poziom europejski. Gorzej ma się sprawa z pociągami podmiejskimi, podobnie z autobusem pospiesznym z Poznania do Kalisza, który wygląda jak zdobycz socjalizmu, a jak się poprosi kierowcę, to zatrzyma się w pobliżu rodzinnej wsi. Jadąc pociągiem z Poznania do Warszawy i z powrotem, oraz 100 km samochodem wzdłuż tej linii, a także przekraczając dwukrotnie linię kolejową Katowice-Gdynia uderzyła mnie niska liczba pociągów towarowych. Przyjmując, że na kolejach opłacalne były

zawsze przewozy towarowe, a przewozy pasażerskie leżały na granicy opłacalności, nie dziwi wysoki deficyt PKP. Nasuwa się potrzeba właściwej kalkulacji i odpowiedniego marketingu. W przeciwnym razie deficyt będzie nadal rósł.

Ogólnie rzecz biorąc Europa i cywilizacja cofają się w miarę oddalania się od głównych tras komunikacyjnych i ośrodków handlowo-administracyjnych. Wyniki reformy rolnej, której większość Polaków w kraju i za granicą gotowa bronić z uporem godnym lepszej sprawy, dała opłakane wyniki. Swego czasu dochodowe majątki leżą przeważnie w ruinie. Na widnokręgu straszą od czasu do czasu rozpadające się miejskie bloki mieszkalne z tzw. dużej płyty z obowiązkowo towarzyszącą obrzydliwą z estetycznego punktu widzenia kotłownią. Wszędzie widać brud i zaniedbanie. Nie można zrzucić tutaj całej winy na ustrój komunistyczny, bo nawet obejścia indywidualnych gospodarstw chłopskich straszą wyjątkowym niechlujstwem i w żadnym wypadku nie przypominają czasami skromnych, ale zawsze schludnych obejść w gospodarstwach na Zachodzie. Wydaje się, że stan ten jest wynikiem lenistwa i bierności dużej części ludności wiejskiej. Należałoby się zastanowić (jak zwykł mówić prymas Glemp) gdzie podziały się wychowawcze wpływy PSL i Kościoła, który gdzie jak gdzie, ale na wsi zachował wielkie wpływy (i które chowa chyba na popieranie np.: budowy bazyliki w Licheniu, [przejeżdżałem w pobliżu], a jakże). Poza tym od chwili obalenia komunizmu upłynęło już 6 lat i nie można już wszystkiego zwać na komunizm. Pouczająca dla mnie była rozmowa z pewnym wiejskim proboszczem, który twierdził, że najwięcej zła na wsi wyrządziły zapomogi dla bezrobotnych bo utwierdziły ich w przekonaniu, że nie potrzebują podejmować żadnej inicjatywy, bo pomoc musi przyjść i przyjdzie z zewnątrz. Jeden z jego bezrobotnych parafian, któremu ten ksiądz za zrzucenie węgla do piwnicy zaproponował 10 zł (tzn. 5 fr. szw.) i obiad, powiedział mu, że za takie pieniądze to może on sam sobie ten węgiel do piwnicy zrzucić. Opowiadanie to podsumował ten ksiądz, sam niewątpliwie pochodzący z ludu stwierdzeniem, że na wsi jak się za człowiekiem nie stanie z batem to on nic nie będzie robić. Na moje zastrzeżenie, że jest to pogląd zbyt radykalny, i odpowiedział: „ale to jest prawda proszę pana”. Chyba jest to prawda, bo czyta się o tym w prasie i słyszałem o ponownym powstawaniu majątków ziemskich o powierzchni kilkuset, a nawet powyżej tysiąca ha, które podobno, ku mojemu zaskoczeniu pracują z zys-

kiem. Co na to zwolennicy reformy rolnej z 1945 r., ano jak zwykle w takich wypadkach, nie zabierają głosu.

Polacy koncentrują się w dużej mierze jeszcze na narzekaniu i absolutnie odrzucają od siebie myśl, że uczestnicząc w powojennym rabunku i marnotrawieniu gospodarki narodowej, a potem pracując mało i niedbale, sami przyczynili się do obecnego stanu rzeczy, i teraz sami muszą ten zniszczony kapitał narodowy odbudować, bo nikt tego za nich nie zrobi. Ogólnonarodowe emocje wzbudzają nie różne afery wysoko postawionych osobistości, których chronią częściowo immunitety poselskie, ale wytargowanie przy okazji prywatyzacji przedsiębiorstw, jak najlepszych warunków dla załóg co zakrawa na masowy rabunek majątku narodowego. Ile traci na tym budżet zostało opisane w art. „Socjalizm na własność” (*Wprost* 95-10-08). Nic dziwnego, że nie ma pieniędzy na zaopatrzenie grupy 9 milionów najmłodszych i najliczniejszych rencistów na świecie, na kulturę, oświatę, obronę narodową, służbę zdrowia, infrastrukturę i wiele innych. Przy każdej okazji słyszy się, że te i owe, dalsze ciężary powinni ponosić przedsiębiorcy, którzy i tak już pracują w trudnych warunkach. Zrozumienie tego, że wzrost stopy życiowej w Polsce zależy od jak najszybszego rozwoju kapitalizmu jest nawet wśród inteligencji minimalne. Niektóre czasopisma nawołują nawet do opodatkowania kapitału nie mając pojęcia, że opodatkowywać powinno się jedynie zyski, a kapitał tylko w przypadkach wyjątkowych. Pojęcia takie jak kapitał, zysk, akumulacja, społeczeństwa po prostu nie interesują – ich interesuje jedynie wypłata! Po prostu wszyscy chcieliby żyć na koszt wszystkich innych. Przy tym poziom życia w Polsce statystycznie, bo zjawiska można analizować tylko statystycznie, nie jest wcale taki niski. Sprzedaż samochodów i innych artykułów technicznych, oraz budowa domków jednorodzinnych kształtuje się na wysokim poziomie. Osobista wizyta w kilku drogich sklepach wędliniarskich w Poznaniu potwierdziła, że ilość kupujących, oraz ilość i jakość kupowanego towaru jest wysoka. Natomiast w każdym przedsięwzięciu widać brak, względnie słabość kapitału.

Biorąc pod uwagę całkowitą sytuację w Polsce zdumieniem napawa stwierdzenie abpa I. Tokarczuka na Jasnej Górze, że „Praca, zarówno w Polsce jak i na świecie, stała się narzędziem wyzysku i zniewolenia robotników i czynią to cwaniacy, cynicznie głoszący wzniosłe ideologie”. Trudno dyskutować z hierarchą Kościoła, który nie zna podsta-

wowych zasad funkcjonowania i posługuje się pojęciami z zakresu demagogii komunistycznej. Pozostaje tylko odpowiedzieć słowami piosenki: „Lenin to był taki wariat co budował proletariát”.

Wszystkie te negatywne objawy nie zatrzymują rozwoju Polski, ponieważ kapitalizm ma silne własności dostosowawcze, do zmieniających się warunków. Przed nadmiernymi obciążeniami będzie się starał uciec w sferę operacji nielegalnych i w tym spoczywa demoralizująca rola takich rozwiązań, a dodatkowo przyniesie to wolniejszy wzrost stopy życiowej.

Niewątpliwie pozytywną stroną w Polsce jest nadal ożywiona działalność wydawnicza, teatralna, oraz ogólnie mówiąc kulturalna. Pozostaje mieć nadzieję, że tempo to utrzyma się nadal.

Cała Polska sprawia wrażenie kraju o dobrej koniunkturze i szybkim rozwoju gospodarczym, którego nie są w stanie zatrzymać różne zmiany polityczne. Jednak droga do poziomu zachodnioeuropejskiego, biorąc pod uwagę tak standard materialny jak i sposób rozumowania poszczególnych ludzi, jest jeszcze daleka.

Kazimierz KARNKOWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja

Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Sprawy i troski

2B or not to be polskiego czasopiśmiennictwa w Ameryce

Sprawozdanie z poznańskiego sympozjum redaktorów pism literackich, które ukazało się w czerwcowym numerze *Kultury*, ponownie nasunęło mi pytanie, co dzieje się z naszym czasopiśmiennictwem w Ameryce. Ponownie, bo nieraz zastanawiałam się nad jego potrzebą i szansą, a na przestrzeni lat często miałam okazję obserwować próby tworzenia najrozmaitszych publikacji – od codziennych gazet po społeczno-literackie miesięczniki i kwartalniki. Mimo tych usiłowań, dziesięćmilionowa Polonia amerykańska nie ma dotąd trwałej i poważnej publikacji, którą można by uznać za reprezentatywną i wpływową. Powtarzane co pewien czas próby wydawnicze zawsze adresowane były do wąskiego grona czytelników z jednego tylko środowiska czy pojedynczej emigracyjnej fali i kończyły się prędko.

Z tego co minęło najlepszą pamięć pozostawiły wydawane w latach sześćdziesiątych *Tematy* Pawła Mayewskiego dostarczające czytelnikom przekładów politycznych, filozoficznych i literackich tekstów na poważnym poziomie. Potem, publikowane po angielsku, *Studium Papers* Andrzeja Ehrenkreutza, wydawane pod auspicjami Kongresu Polonii Amerykańskiej, również podejmowało istotne problemy polityczne i przedstawiało polską rację stanu politycznym decydom. *Ambitny Tygodnik Nowojorski* Julity Michalskiej, ukazujący

się we wczesnych latach osiemdziesiątych, tylko na krótko potrafił skupić wokół siebie ciekawych autorów i artystów; załamał się z powodu braku prenumeratorów i finansowego fiaska. W dziesięć lat później podobnie prędko skończył swój żywot pomysłowy i elegancki magazyn Renaty Górczyńskiej *O.K. Ameryka*. Adresowany głównie do odbiorcy w kraju, przepadł podobno z powodu źle działającej dystrybucji, a może i przestarzałej formuły pisma, które chciało zaspokajać zainteresowanie Ameryką i jej Polakami w momencie, gdy co innego interesowało już rodaków w kraju. Przez dwa lata (1993-1995), rozsyłany prywatną pocztą z Nowego Jorku *Komentarz* Krzysztofa Kłopotowskiego sporadycznie przekazywał wybranym adresatom wypowiedzi dziennikarzy, pisarzy i naukowców uczestniczących w nieformalnych, ale ukierunkowanych tematycznie, konwersatoriach w Polskim Instytucie Naukowym. Tematy – jak „Zmierzch Ameryki czy klasy średniej?” albo „Religijność w Ameryce” – miały uniwersalny wymiar, a intelektualny potencjał dyskusji stanowił niewątpliwy materiał do publikacji i sygnalizował jej potrzebę. Ale *Komentarz* trudno jeszcze nazwać pismem; to dopiero inicjatywa na etapie szukania środków potrzebnych do stworzenia wydawnictwa.

W rezultacie z licznych prób ostały się i służą swoim celom tylko *Przegląd Polski* Julity Karkowskiej – jako dodatek kulturalny do rosnącej w siłę gazety Bolesława Wierzbiańskiego *Nowy Dziennik*, odwieczna ale zawsze ambitna polonijna *Gwiazda Polarna* ze Stevens Point w Wisconsin, oraz akademicki kwartalnik Polskiego Instytutu Naukowego w języku angielskim *The Polish Review*. Żadne z pojawiających się dotychczas w Ameryce polskich pism nie stawiało sobie szerszych – poza naukowo-kulturalnymi – celów społecznych, nie starało się jednoczyć Polaków amerykańskich wokół wspólnych problemów, nie miało ambicji podejmowania spraw Polonii ani wywierania politycznych presji. Wypełnienia tej luki podjęły się dopiero ostatnio dwa najnowsze czasopisma, które właściwie powinny być jednym, jak pierwotnie zamierzały: *2B* ukazujące się od jesieni 1993 oraz *Periphery* – zainicjowane wiosną tego roku.

Kwartalnik *2B* powstał pomiędzy uniwersytetami w Ann Arbor (Michigan) i Chicago. Wywodzi się zresztą z tamtejszej

Gazety Studenckiej i politycznego biuletynu *Studium Papers*. Redaktorzy – Tomasz Tabako, weteran Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA oraz historyk i krytyk literacki Tadeusz Witkowski, działając początkowo wspólnie, zaadresowali pismo do polskiej inteligencji w Stanach Zjednoczonych – przede wszystkim, a dalej do Amerykanów zainteresowanych naszymi sprawami oraz czytelników z Polski, ciekawych doświadczeń rodaków zza Atlantyku. Za cel wzięli sobie zintegrowanie polskiego środowiska intelektualnego w Ameryce, propagowanie naszej kultury i biznesu, wymianę idei, porównywanie tradycji i stylu myślenia. W poszukiwaniu nowej i atrakcyjnej formuły pisma, redaktorzy odwołali się do wzorów czasopism młodzieżowych, subkultury popularnych magazynów i komputerowych technik. Intrygujący tytuł, który musi być czytany po angielsku, ma się odnosić do kwestii bytu. Jest z jednej strony symbolem egzystencjalnego *to be or not to be*, a z drugiej – zapytaniem „jak być” w naszej podwójnej, polsko-amerykańskiej sytuacji. Styl tytułowego zapisu został zapożyczony z amerykańskiej kultury masowej, chętnie bawiącej się skrótami w rodzaju „4u” – *for you* (moda ta trafiła już zresztą do Polski, gdzie np. jedno z wydawnictw nazywa się „a5”).

Aby zwabić niełatwego do zdobycia czytelnika nadano pismu kształt dyskusyjnej biesiady. Tytuły działów zaopatrzone w apetyczne nagłówki, sugerujące ucztę kulinarno-duchową. Zaproponowano więc czytelnikowi „Obiady kwartalne – Quarterly banquets”, „Przy okrągłym stole – Round Table”, „Przekąski! – Appetizers”, „Bufet ekonomiczny – Economic Buffet”, „Bankiet literacki – Literary Banquet”, „Desery – Desserts” itp. Stawiając na atrakcyjność redaktorzy starają się nadać pismu również nowoczesną formę graficzną, w czym są pomocni – licznie osiadli w Ameryce – polscy graficy Janusz Kapusta, Tomasz Olbiński, Anna Dassonville, Marek Happon i inni. By nie zamykać się w polskiej enklawie zdecydowali się stworzyć publikację dwujęzyczną. Zaproszonym do współpracy autorom pozostawiono wolność wyboru polskiego lub angielskiego języka, zaopatrując polskie teksty angielskimi streszczeniami, a angielskie – polskimi. Wśród autorów publikujących w *2B* znaleźli się Czesław Miłosz, Jan Kott, Wojciech Adamiecki, Czesław Karkowski, Witold Sułkowski, Jad-

wiga Maurer, Anna Frajlich-Zajac, Halina Filipowicz, Andrzej Paczkowski, Teresa Torańska, Marian Marzyński, Jan Nowak, Leszek Szaruga, Jacek Łazarczyk i wielu innych.

Już pierwszy numer zaimponował obecnością wybitnych autorów i różnorodnością treści. Otwierający go wiersz Wisławy Szymborskiej „Schyłek wieku” znacząco rzutował na postmodernistyczną rzeczywistość, dyskutowaną dalej przez filozofa Leszka Kołakowskiego, socjologa Helenę Znaniecką-Łopatę, fizyka Jerzego Kocika i dramaturga Janusza Głowackiego. Zarówno w pierwszym numerze jak i numerach kolejnych rozważane były sprawy polskiej emigracji w nowych warunkach politycznych i ekonomicznych oraz cele i możliwości powstania polskiego lobby w Ameryce. Kolejne numery koncentrowały się wokół wybranych postaci lub zagadnień. Gombrowicz, i odbiór jego twórczości w Ameryce, wypełnił znaczną część numeru drugiego. Na prowokacyjne pytanie, które padło w dwujęzycznej dyskusji „Komu potrzebny Gombrowicz?” – Lillian Vallee odpowiedziała pełnym głosem: „I need Gombrowicz” i szczegółowo uzasadniła swoje stanowisko. Sprawy „polskości” i zmieniającego się etosu polskiego emigranta oraz naszej szansy w wielokulturowej społeczności Stanów Zjednoczonych były tematem kolejnego, podwójnego zeszytu 2B. W jeszcze innym numerze wypowiediano się na temat sytuacji wydawniczej i odbioru polskiej literatury w Ameryce, a w nadchodzącym spodziewamy się dyskusji nad mitem Ameryki we współczesnej świadomości.

Wiodące problemy poszczególnych numerów 2B uzupełniają wypowiedzi na tematy bieżących wydarzeń politycznych jak wybory w Polsce, szanse wejścia do NATO, czy ponowne dojście do władzy komunistów w krajach dawnego bloku sowieckiego. Wiele miejsca poświęca się analizom ekonomicznej sytuacji regionu i prognozom rozwoju postkomunistycznej gospodarki. Wywiadów udzielają pismu politycy jak Zbigniew Brzeziński, Jacek Kuroń, Donald Tusk czy Michael Nowak. Nowe utwory, tłumaczenia lub wypowiedzi publikują pisarze Henryk Grynberg, Kazimierz Braun, Tymoteusz Karpowicz, Stanisław Barańczak, Josif Brodski, Ewa Hoffman. Obok nich pojawiają się debiutanci. Treść numerów dopełniają recenzje nowych książek, wspomnienia, listy, informacje o autorach i lżejszego kalibru noty.

Imponująca jest inwencja redaktorów, którzy wydają się być w stanie poruszyć niebo i ziemię, by dla swojego pisma zjednać autorów i czytelników. Nie wiem, jak będzie z odbiorcami, bo dawno już straciłam wiarę w polskiego czytelnika w Ameryce, ale z autorami najwyraźniej się udało. Tomasz Tabako potrafi odnaleźć i zagnać do pióra polskiego fizyka czy socjologa zagrzebanego w najodleglejszej, prowincjonalnej dziurze Ameryki. Zjednuje sobie autorów z Polski, Polaków z Anglii, Amerykanów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Czechów i Niemców – taki właśnie międzynarodowy zespół dyskutował przy okrągłym stole na temat „polskości” w numerze 3/4 1994 roku.

Dzięki – a może przez – swój eklektyzm pismo nabiera charakteru popularnego magazynu dla każdego. Taki też wybrało format i wystrój graficzny. Kryje to w sobie niebezpieczeństwa, których nie całkiem udało się uniknąć 2B. Poważne rozprawy i wywiady z osobistościami naszych czasów sąsiadują z publikacjami mniejszej lub zgoła małej wazkości, autorytety występują obok kontrowersyjnych postaci (np. Miłosz obok Passenta a Wandycz obok Pastusiaka). Oryginalne teksty mieszają się z przedrukami i referatami, zredagowanymi na użytek pisma, rzeczowe wywiady – z błahymi, przypadkowymi wypowiedziami. Jednym słowem przysłowio- wy groch z kapustą; wprawdzie zamierzony, ale nie zawsze strawny i pasujący do menu eleganckiego bankietu. Techniczna strona pisma i jego szata graficzna ciągle budzą zastrzeżenia (zwłaszcza pierwsze numery obfitowały w przeróżne niedociągnięcia i nawet błędy – niewątpliwy rezultat braku doświadczenia i odpowiedniej bazy technicznej), ale poprawiają się z numeru na numer. Mimo tych niedoskonałości, a z pewnością dzięki zręcznie podjętej tematyce, pismo zainteresowało wielu czytelników. Mówi się o nim w Nowym Jorku, zagadnięto mnie o nie w Warszawie. Podobno zjednuje sobie zamożnych sponsorów i ma coraz więcej ogłoszeń. Z Chicago donoszą o programie tamtejszego radia, podczas którego zebrano dwa tysiące dolarów potrzebnych na publikację następnego numeru 2B. Wiadomość trochę dwuznaczna, bo świadczy, jak daleko jeszcze pismu do stabilizacji. Ważne jednak, że wysiłki trwają i przynoszą rezultaty.

Uzasadniony niepokój obudziło niedawne rozejście się

redaktorów i powstanie wspomnianego wcześniej, konkurencyjnego pisma *Periphery*. Okazuje się, że integracja, stanowiąca podstawowe założenie pisma, udała się tylko częściowo. Coś nie powiodło się wewnątrz zespołu redakcyjnego, który najwidoczniej wystartował z nie dość jasno sformułowaną koncepcją. W rezultacie już po trzecim numerze nastąpił rozłam, a redaktorzy rozeszli się, tworząc dwa odrębne czasopisma, tylko trochę różne tematyką, a pozostające w kręgu tych samych czytelników i autorów. *2B* wydało już sześć numerów (w tym trzy podwójne) i ukazuje się obecnie w Chicago. Pierwszy i dotąd jedyny numer *Periphery* (*Journal of Polish Affairs*) ukazał się wiosną tego roku w Ann Arbor, bez zapowiedzi terminu wydania następnego zeszytu, więc nawet nie wiadomo, czy ma to być miesięcznik, kwartalnik, czy może rocznik. Od przybytku niby głowa nie boli. Jednakże – choć pierwszy numer *Periphery* jest niewątpliwie interesujący – nie wydaje się, by to rozejście było krokiem rozsądnym. Nowe pismo, zgodnie ze swym tytułem, proponuje spojrzenie na współczesną scenę polityczną i zjawiska kultury z punktu widzenia polskich i emigracyjnych peryferii. Przypominając, że to właśnie z peryferii Europy i świata – z Wilna, Drohobycza czy Buenos Aires – wywodzi się wiele nurtów współczesnej kultury, a polityczne zwroty także miały nieraz początek w odległych zakątkach kuli ziemskiej, redaktorzy pisma podkreślają wagę polskiego wkładu w kształt naszej współczesności. Propozycja może nie całkiem nowa, ale zawsze pożądana i atrakcyjnie przedstawiona przez Marcina Króla (przedruk z *Res Publica Nowa*), Jadwigę Staniszkis, Michaela Kennedy'ego oraz wielu pisarzy i tłumaczy – jak choćby Allen Kuharski, który ogłasza tu angielski przekład *Historii Gombrowicza*.

Jednakże, z uwagi na środki materialne oraz na bardzo ograniczony krąg odbiorców polskich dóbr kulturalnych w amerykańskim wydaniu, dwa podobne a konkurujące ze sobą pisma mają oczywiście mniejszą szansę przetrwania niż jedno. Redaktorzy będą wprawdzie upierać się przy swojej odrębności, ale spostrzeże ją tylko najuważniejszy z czytelników. Krytycy poświęcili już dużo miejsca tej sprawie, skandalizując na temat polskiego piekła, które nie pozwala nam wspólnie trwać przy zbożnym dziele. Ja dorzucę tylko krztynę żalu, że

jeszcze raz marnuje się ludzka energia i materialne środki; zwłaszcza że *2B* od początku proponowało różnorodność, w której mogły się zmieścić zarówno polityczno-publicystyczne zainteresowania Tomasza Tabako jak i literacki estetyzm Tadeusza Witkowskiego.

Energia i pomysłowość z jaką nowe pisma wystartowały budzą nadzieję na ich przetrwanie. W Ameryce istnieje podobno rynek na wszystko, byle umieć nań trafić. Bez wątpienia istnieje tu potencjalny odbiorca kulturalnego magazynu, który proponują nam redaktorzy *2B* i *Periphery*. W sposób naturalny powinien nim być polski inteligent – pracownik naukowy, zatrudniony na jednym z niezliczonych kolegiów czy uniwersytetów amerykańskich (liczba ich sięga paru tysięcy), inżynier zatrudniony w którymś z wielkich laboratoriów przemysłowych, bibliotekarz, student, lekarz, artysta. Tomasz Tabako i Tadeusz Witkowski do nich zaadresowali swoje pisma i można mieć nadzieję, że przynajmniej jednemu z nich uda się przetrwać.

Krystyna S. OLSZER

WYBORY PREZYDENCKIE A POLONIA

Genewa, 3 października 1995

OŚWIADCZENIE STOWARZYSZENIA POLSKIEGO W GENEWIE

Już po raz drugi, przy okazji wyborów Prezydenta RP, obywatele polscy mieszkający poza granicami Polski nie mogą brać udziału w drugiej turze wyborów. Czemu jesteśmy drugą, gorszą, kategorią Polaków, pozbawioną części praw obywatelskich?

Gdybyśmy w ogóle nie mieli prawa głosu można by się w tym doszukać jakiejś konsekwencji, mimo że niemożliwej do obronienia. Ale tak jak jest obecnie – w pierwszej turze tak, a w drugiej nie – to przecież bezsens, niesprawiedliwość i wyraz lekceważenia. Albo się ma prawo wyborcze, albo się go nie ma. Czyżby wynikało to z ordynacji wyborczej? To chyba niemożliwe! Już po poprzednich wyborach sygnalizowaliśmy tę sprawę, niestety bez jakiegokol-

wiek efektu. Przecież nasze głosy mogą zadecydować o wyniku wyborów. Często czyta się wypowiedzi polskich polityków, a nawet i kandydatów w zbliżających się wyborach mówiące o tym co Polacy mieszkający za granicą mogliby zrobić dla Polski, a jednocześnie częstokroć spotyka nas niechęć. Tym razem jest to szczególnie bolesne, ponieważ ma to miejsce z woli władz polskich.

Przy dobrej woli jest jeszcze czas na naprawienie tej krzywdy i mamy nadzieję, że nastąpi to przed 5 listopada.

Z poważaniem

Jan VENULET – prezes,
Przemysław TURSKI – wiceprezes,
Dorota NOWAKOWSKA – sekretarz

P.S. Stowarzyszenie Polskie w Genewie jest najliczniejszą organizacją polską w Szwajcarii.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wywiady „Kultury”

Ukrainistyka w Polsce – polonistyka na Ukrainie

ROZMOWA Z GEORGE M GRABOWICZEM,
KIEROWNIKIEM KATEDRY UKRAINISTYKI NA
UNIWEERSYTECIE HARVARD

ANDRZEJ RYBAŁT: – *Panie Profesorze. Czy mógłby pan przedstawić swoją drogę do świata nauki na Uniwersytecie Harvarda: gdzie pan się urodził i jak to wszystko się zaczęło?*

GEORGE GRABOWICZ: – Urodziłem się w Krakowie pod koniec wojny. Najwcześniejsze lata mojego dzieciństwa spędziłem w Niemczech, podobnie jak wielu ówczesnych ukraińskich emigrantów. Potem znalazłem się w Ameryce, gdzie ukończyłem szkołę podstawową i średnią, a także Yale Uniwersytet w New Haven (Connecticut). Po ukończeniu Uniwersytetu, dzięki stypendium Fundacji Fulbright'a mogłem odbyć roczny staż w Polsce. To był mój pierwszy kontakt z nieamerykańskim światem w sensie kulturowym i naukowym. Oczywiście ten pobyt w Polsce wpłynął na mój sposób myślenia. W szkole średniej i na Uniwersytecie studiowałem literaturę angielską. W ostatnich latach studiów zainteresowałem się literaturoznawstwem porównawczym. Kiedy wyjechałem do Polski, moje zainteresowania, jako młodego doktoranta, nie były do końca skryształowane. Dzięki kontaktom z takimi polonistami jak Wacław Kubacki, Kazimierz Wyka, Henryk Markiewicz porównawcze literaturoznawstwo jeszcze bardziej mnie zainteresowało. Rozpoczynając studia doktoranckie na Uniwersytecie Harvarda wybrałem właśnie

literaturoznawstwo porównawcze ze specjalizacją slawistyczną. Wymogi tych studiów były takie, że musiałem studiować trzy literatury. Wybrałem literaturę angielską, polską i ukraińską. W tym czasie zajmowałem się głównie literaturą polską, chociaż poprzednio studiowałem literaturę angielską. Akurat wówczas, kiedy kończyłem doktorat na Harvardzie powstała Katedra Ukrainistyki. Z racji swego pochodzenia byłem oczywiście zainteresowany tą dyscypliną. Trafiła się okazja, którą chciałem wykorzystać. Tym bardziej, że już wówczas byłem przekonany, i to się potem potwierdziło, że badania nad literaturą ukraińską należy rozpocząć dysponując pewnym przygotowaniem metodologicznym, które nie wynika tylko ze znajomości ukrainistyki, bo ukrainistyka jako dyscyplina, szczególnie w aspekcie teoretycznym i metodologicznym, nie była jeszcze doskonałą. Fakt, że swoje zainteresowania literackie rozpocząłem od studiów nad literaturą angielską, a potem polską i rosyjską, pozytywnie wpłynął na moje badania literatury ukraińskiej. Doktorat napisałem właśnie o powiązaniach literatur: polskiej, rosyjskiej i ukraińskiej. Temat pracy brzmiał: „Mit i historia kozacczyni w romantyzmie polskim i rosyjskim”. Tak się złożyło, że po napisaniu doktoratu w 1975 roku zostałem adiunktem na Uniwersytecie Harvarda. W 1982 roku zostałem profesorem na tym Uniwersytecie.

Zawsze starałem się badać literaturę ukraińską w szerszym kontekście porównawczym i porównawczo-teoretycznym. Jeśli chodzi o metody badawcze to najpierw zainteresowałem się fenomenologią. Przetłumaczyłem na język angielski pracę znanego polskiego filozofa, którego miałem zaszczyt poznać osobiście, Romana Ingardena „O dziele literackim”. potem bardziej zainteresowałem się strukturalizmem. Dlatego moja praca o twórczości Szewczenki pt.: „Szewczenko jako mitotwórca” została napisana w duchu strukturalizmu. Teraz interesują mnie nowe prądy. Uważam, że naukowiec powinien rozwijać się, nie pozostawać wierny tylko jednej metodzie. Nie głoszę apologii eklektyzmu, metoda badawcza zawsze musi mieć jakieś zastosowanie, jakiś ogólny cel. Zawsze interesowała mnie psychoanaliza, element psychologiczny, a teraz szczególnie interesuje mnie powiązanie elementu psychologicznego z teorią recepcji, czyli z tym jak odbiera się literaturę. Historię literatury postrzegam również jako historię recepcji tzn. jak ją się odbiera. Uważam, że lepszym klucza badań literackich, który w pełni odpowiada procesowi rozwoju literatury, nie ma. Są inne, ale ja uważam, że ten jest naj-

lepszy i jednocześnie najmniej wykorzystywany. Dlatego teraz tym się zajmuję. W ciągu najbliższych kilku miesięcy pojawi się moja praca w języku ukraińskim, w której będą artykuły poświęcone historii literatury ukraińskiej. To nie będzie próba przedstawienia całej historii literatury ukraińskiej, bo moim zdaniem to jest teraz niemożliwe. Naukowcy nie piszą teraz historii literatury. Zajmują się pewnymi węższymi zagadnieniami, albo szeregiem zagadnień, ale taka narracja jak historia literatury jest już trochę retro. Dlatego badam teraz twórczość Szewczenki, bo to jest centralna postać ukrainistyki zarówno w sensie literackim, kulturologicznym jak i politycznym. Sama recepcja Szewczenki, jak go odbierano, zaczynając od Kostomarowa przez Kulisza, Drohomanowa, Doncowa, a kończąc na sowieckich badaczach, jest swojego rodzaju barometrem ukraińskiego życia kulturalnego, ukraińskiej intelektualnej historii. Drugim zagadnieniem, którym również się zajmuję są powiązania rosyjsko-ukraińskie. Badałem także powiązania polsko-ukraińskie, uważam, że one w XIX wieku są bardzo interesujące, a w stuleciach poprzednich (wiek XVII) niezwykle istotne, bo wówczas ukraińska kultura rozwijała się w kontekście Rzeczypospolitej wielu narodów. Jednak jeśli chodzi o współczesną historię Ukrainy to wiek XIX jest kluczowym, bo wówczas kształtuje się naród i jego świadomość, a te procesy odbywały się w opozycji do rosyjskości. W tym czasie powiązania ukraińsko-rosyjskie były niezwykle silne, w takim sartrowskim „bez wyjścia”, i dlatego zbadanie tego zjawiska jest konieczne teraz, kiedy uświadamiamy sobie postkolonialny status ukraińskiej historii.

A.R.: – *A jak pan ocenia stosunki polsko-ukraińskie? Wydaje mi się, że pan jako człowiek, który nie pracuje ani w Polsce, ani na Ukrainie może ocenić te kontakty bardziej obiektywnie. Czy rzeczywiście można mówić o marazmie, o tym, że idee środowiska paryskiej Kultury nie są realizowane. Czy winna jest tylko Ukraina, czy po prostu ciągle nie docenia się roli Ukrainy w innych państwach. Jak to wygląda z perspektywy amerykańskiej?*

G.G.: – To ciekawe i jednocześnie skomplikowane pytanie. Sam nie jestem przekonany czy mam taką dobrą perspektywę, całkowicie obiektywną. Uważam, że Ameryka nie gwarantuje obiektywności, ma ona swoje głębokie kompleksy

i jeśli chodzi o amerykańską perspektywę jako taką, jej charakterystyczną cechą jest niewiedza i ignorancja.

Powracając do zasadniczej tezy pańskiego pytania odpowiem na nie w ten sposób. Mój kontakt z kwestią stosunków polsko-ukraińskich sięga odległych czasów. Często jeżdżę na Ukrainę, teraz przebywam w Polsce. Nie mogę wypowiadać się na temat stosunków politycznych między Polską a Ukrainą ponieważ się tym nie zajmuję. Natomiast mogę coś powiedzieć na temat kontaktów intelektualnych oraz pewnego elementu socjo-psychologicznego. Przeróżające jest to, że polska elita, która w okresie „Solidarności” poświęcała odpowiednią uwagę zagadnieniom ukraińskim, teraz swoje zainteresowania skierowała w inną stronę. Ale jest jeszcze ważniejsza kwestia. Wydaje się, że jednym z głównych zadań polskich polonistów jest zbadanie tego co po angielsku nazywa się *interface*, czyli kontaktów literatury polskiej i ukraińskiej. Niestety oni tym się nie zajmują. Na przykładzie wielu publikacji, zarówno literaturoznawczych jak i językoznawczych, widać że polskie elity humanistyczne to zagadnienie lekceważą albo traktują je z nieukrywaną pogardą. Podam własny przykład. Podczas mojego pobytu w Krakowie, pięć lat temu, w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego zauważyłem, że można znaleźć wiele książek o Ameryce i Anglii, można znaleźć wiele podręczników o Ameryce i Anglii, a o Ukrainie nie było nic, dosłownie nic, nawet pięcioletniego słownika bibliograficznego nie mogłem znaleźć. Myślę, że to bardzo wymowny fakt. Jestem przekonany, że od tego czasu niewiele się zmieniło. Jeśli ludzie, którzy stoją na straży intelektualnej tradycji jakiegokolwiek kraju nie dbają o istotne zagadnienia, to na Boga (!), jakim cudem może o nich wiedzieć całe społeczeństwo. Ja zawsze jestem gotów mówić o braku polonistycznych studiów na Ukrainie, ale ponieważ pytanie dotyczyło Polski wspominałem o mankamentach w kraju nad Wisłą.

A.R.: – *Oczywiście, warto również zwrócić uwagę na poziom polonistyki na Ukrainie, czy pańskim zdaniem nie zajmuje ona odpowiedniej pozycji na Uniwersytecie Szewczenki czy w odtworzonej Kijowsko-Mohylańskiej Akademii?*

G.G.: – O ile mi wiadomo to polonistyka prawie tam nie istnieje. Należy jednak pamiętać, że gdyby nawet poświęcono

tej dyscyplinie odpowiednią uwagę to nie mogłaby ona znaleźć ważnego miejsca ponieważ poziom intelektualny nauk humanistycznych na Ukrainie, poczynając od ukrainistyki, jest w przerażającym stanie. To jest fakt. Najgorsze jest to, że nie ma żadnych reform by ten stan rzeczy zmienić. Także rozpoczęcie jakiegokolwiek dialogu z polonistami na Ukrainie jest niemożliwe, bo ich tam po prostu nie ma. Nie mówię tutaj o wąskim gronie znakomitych specjalistów, tacy są, ale jest to niestety bardzo nieliczne grono, zresztą podobnie nieliczną jest grupa świetnych ukrainistów w Polsce. Ukraina, jeśli chodzi o polonistykę, zaczyna prawie od zera. Być może, kiedy młode pokolenie będzie miało wpływ na działalność odpowiednich instytucji, zdobędzie autorytet, wówczas to się zmieni. Są młode siły, ale *establishment* jest do dialogu nieprzygotowany.

A.R.: – *W naszej rozmowie wspomniał Pan o tym, że polscy naukowcy lekceważą ukrainistykę jako dyscyplinę naukową. Oczywiście jest pewne grono naukowców profesjonalistów, którzy zajmują się ukrainistyką, ale generalnie ta teza jest prawdziwa. Jak pan sądzi, czy wpływ na taki stan rzeczy mają negatywne stereotypy formułowane w ciągu dziesięcioleci po drugiej wojnie światowej, czy też polscy naukowcy uważają, że ukraińska literatura nie jest na tyle interesująca artystycznie aby ją badać?*

G.G.: – To interesujące pytanie. Napisałem ostatnio o tym artykuł, który ukaże się w amerykańskim slawistycznym czasopiśmie *Slavic Review*, gdzie cała szeroka dyskusja będzie dotyczyć ukrainistyki w kontekście świata nauki amerykańskiej. Sądzę, że wpływ na taki a nie inny stosunek polskich naukowców do ukrainistyki mają dwa elementy, o których pan wspominał w pytaniu oraz jeszcze jeden czynnik. Po pierwsze, jeśli chodzi o sytuację ukrainistyki w Polsce, to rzeczywiście konflikty polityczne i głoszenie przez dziesięciolecia negatywnej propagandy wobec Ukrainy i Ukraińców pozostawiło ślady. Nawet jeśli ktoś nic nie wiedział o ukraińskiej historii czy literaturze i usłyszał przymiotnik ukraiński to miał negatywne skojarzenia. Po drugie, dziś sytuacja ukrainistyki jako dyscypliny naukowej też nie jest dobra. Brakuje odpowiedniej liczby naukowych partnerów, z którymi można by rozwijać współpracę. Wspominałem już o niewielkim gronie

znakomitych ukrainistów, ale powtarzam, to za mało. Trzeci czynnik, który wpłynął na taką sytuację ukrainistyki jest związany z wielkimi historycznymi problemami, w których rozwijała się ukrainistyka. Należy pamiętać, że w XIX w., a także na początku XX, kiedy ona się rozwijała była kontrnauką, czy nauką alternatywną, bo oficjalna nauka nie uznawała ukrainistyki jako dyscypliny naukowej. Ukrainistyka miała bardzo mocny element woluntaryzmu, społecznictwa, emocji. Te czynniki pozostały i nie pozwoliły ukrainistyce budować naturalnego procesu ciągłej kontroli swego poziomu. Dlatego wszelkiego rodzaju banalne teorie mogły kwitnąć. Sama dyscyplina była w pewnym stopniu chora. To ma wpływ na niski status ukrainistyki. Oczywiście nieco uogólniam, ale moim zdaniem takie warunki rozwoju wpływają na to, że potem bardzo trudno dojść do równoprawnego dialogu z daną dziedziną. Ludzie świata nauki nie dysponują odpowiednią wiedzą, ale zawsze mają odpowiedni smak i potrafią właściwie ocenić poziom danej dyscypliny. Na przykład Aleksander Brückner wchodził w polemikę z Iwanem Franko, ale innych partnerów nie znajdował. Wówczas kiedy w polskim świecie naukowym były dziesiątki jeśli nie setki naukowców – w ukraińskim – wymieniwszy kilkoro naukowców, cały obraz tego świata bładł. Brak głębi jakiegokolwiek dyscypliny powoduje to, że jej nie szanują. Pragnę dodać, że jest to oczywiście czynnik obiektywny, ale wina zawsze jest po stronie tych, którzy nie dostrzegają, że jest to sytuacja kolonialnej kultury. Bo polscy, amerykańscy czy angielscy naukowcy powinni pamiętać, że ignorowanie danej kultury nie likwiduje problemu, że to jest typowe dla kolonialnej sytuacji, i że jeśli są oni prawdziwymi naukowcami to powinni zrozumieć tę kulturę i jej pomóc, pierwsi zrobić krok na przód.

A.R.: – *A jeśli by miał pan porównać proces budowy normalnego statusu ukrainistyki w Ameryce z podobnym procesem w krajach postkolonialnych. Czy w ogóle możemy mówić, że taki proces w tych krajach się rozpoczął?*

G.G.: — W Stanach to wyglądało bardzo dramatycznie. Moim zdaniem do końca drugiej wojny światowej była to *tabula rasa* i tylko niektóre uniwersytety np. Harvard i Biblioteka Kongresu zbierały książki z ukraińskich dziedzin, ale tylko dla zasady. Nikt nie wykladał tych dyscyplin i nie

zajmował się nimi. Potem, po drugiej wojnie, była tzw. społeczno-naukowa nauka ukraińszczyzna, która w pewnych dziedzinach była na dobrym poziomie, ale ona nie mogła mieć rzeczywistego wpływu na naukowy *establishment* akademicki. Myślę o takich strukturach jak Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, a przede wszystkim o UWAN (Ukraińska Wolna Akademia Nauk), której publikacje były na przyzwoitym poziomie. Prawdziwy przełom nastąpił wraz z założeniem na Uniwersytecie Harvard Ukraińskiego Instytutu Naukowego (w 1968 roku otwarto pierwszą katedrę, a w 1972 rozpoczął działalność Instytut). Ponieważ ta instytucja była integralną częścią struktury Uniwersytetu, a nie strukturą społeczną, emigracyjną, od razu otrzymała inny status. Potem cała nasza działalność musiała być na jednakowym, wysokim poziomie, który odpowiadał standardom harwardzkiego Uniwersytetu. To był wielki sukces ukraińskiej społeczności, która dała środki na działalność Instytutu, choć sama nie w pełni wówczas doceniała swoją działalność. Być może to brzmi cynicznie i brutalnie, ale taka była rzeczywistość. Nie mam nic złego na myśli, czasami tak w życiu bywa. Ludzie oddawali swoje oszczędności nie w pełni rozumiejąc, że to nie będzie ukraińskie lecz światowe, uniwersalne.

A.R.: – *Pan nie odpowiedział na drugą część mojego pytania, czy taki proces rozpoczął się w Polsce?*

G.G.: – Proces taki może rozpocząć się wówczas kiedy ukrainistyka stanie się integralną wartością polskiej nauki. Jeśli ukrainistyka nie będzie po pierwsze: tylko swojego rodzaju rezerwuarem dla ludzi, którzy uciekają z rusycystyki, dyscypliny mało teraz perspektywicznej, a po drugie: ochłapem, który rzuca się od niechcenia. Jeśli ukrainistyka nie będzie w taki sposób postrzegana, a w Polsce rozumieją, że jest ona potrzebna dla państwa i normalnego społeczeństwa, to wówczas samo społeczeństwo będzie bardziej zdrowe i ten sektor jego nauki będzie zdrowszy. Dla prestiżu polskiej nauki byłoby bardzo dobrze mieć ukrainistykę na wysokim poziomie, nie na zasadzie jakiegoś rezerwatu dla „czarno-” czy „czerwonoskórych”, ale ukrainistyki dla Polaków, żeby mogli normalnie studiować tę dyscyplinę tak jak w Ameryce studiuje powiedzmy asyriologię lub egiptologię. Wydaje się: po co studiować te dyscypliny? A jednak ludzie interesują się nimi i są wysokie

klasy specjalistami dlatego, że są to dyscypliny prestiżowe. Od XIX w. istnieje długa intelektualna tradycja, zgodnie z którą studia martwych kultur są prestiżowe. Ukrainistyka jest żywą, rozwijającą się, bardzo intelektualnie stymulującą, wyzywającą dyscypliną, a jej się nie bada. To jest pytanie zasadniczej wagi dla polskiej kultury, nie tylko dla ukraińskiej.

A.R.: – *Czy po pobycie w Polsce widzi pan szansę na to, że stanie się ona normalną dyscypliną?*

G.G.: – W odpowiedzi na to pytanie proponuję porównać ukrainistykę z powiedzmy germanistyką czy anglistyką. Porównajmy środki, które inwestuje się w te trzy dyscypliny, a także ich prestiż. Moim zdaniem każde państwo, planując politykę naukową, powinno priorytetowo traktować swoją przestrzeń kulturową. Intelektualnie, zresztą politycznie również, nie ma żadnego sensu sądzić, że Zachód jest ważniejszy od Wschodu, dlaczego? Tylko dlatego, że to jest Zachód. Przecież to absurd. Jest jedna przestrzeń kulturowa. I jeśli powiedzmy 95 procent potencjału intelektualnego zajmuje się germanistyką, a 5 procent ukrainistyką, to jest to nonsens w planowaniu priorytetów naukowych.

A.R.: – *A biorąc pod uwagę uniwersalne wartości literatury, tej dziedziny, którą pan się zajmuje, czy ukraińska literatura jest dostatecznie bogata w uniwersalne wartości, i czy warto nią się zajmować w takim stopniu jak literaturą niemiecką?*

G.G.: – Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Właśnie dlatego warto nią się zajmować, bo jest arcyciekawa, rozwinięta, bogata, niezbadana. Mnie zachwyca w niej to, że cały czas otwiera przede mną nowe horyzonty. Współczesna myśl teorii ukraińskiej literatury jest głęboko rewizjonistyczna. Cały poststrukturalizm jest rewizjonistyczny. Czyli cały kanon literatury trzeba na nowo badać. Wszystkie stare szablony, kryteria są już nieaktualne. Każda kultura jest bardzo ciekawa, a w przypadku ukraińskiej mamy do czynienia z kulturą bogatą, która dostarcza materiału na lata pracy dla wielu naukowców.

Rozmawiał Andrzej RYBAŁT

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Wybory do Dumy – zostały do nich dwa miesiące – zajmują coraz więcej miejsca w prasie. Zgłosiło się do nich ponad sześćdziesiąt partii i bloków, które łącznie wystawiają ponad dwadzieścia tysięcy kandydatów. Aby zostać pełnoprawnym pretendentem do stanowiska posła, należy – po wstępnej rejestracji – zebrać 200 tysięcy podpisów.

Pierwsi zebrali podpisy komuniści. Przynieśli 230 tysięcy, ponad 10 tysięcy okazało się fałszywe, ale i tak wystarczyło na rejestrację.

Duma liczy 450 posłów. Wyborcy głosować będą na indywidualnych kandydatów i na partie. 225 kandydatów wybranych zostanie zwykłą większością głosów; pozostali – proporcjonalnie do miejsca, które zajmie ich partia. Kampania wyborcza kosztuje od dwustu do trzystu tysięcy dolarów. Dla Amerykanów albo Japończyków byłaby to śmieszna suma. Miliarder Ross Perot mógłby za kieszonkowe kupić wszystkie miejsca w Dumie. W dzisiejszej Rosji koszt kampanii wyborczej nie przekracza możliwości „nowobogackich”, a także partii rządzącej. Wśród kandydatów jest wielu biznesmenów oraz wojskowych. Minister obrony Paweł Graczow oświadczył pod koniec września, że posyła „w bój wyborczy” kilkuset oficerów oraz dwudziestu trzech generałów. Poza nimi w walce wyborczej uczestniczą jednak emerytowani generałowie – na przykład Aleksander Ruckoj i Aleksander Lebied'. Dawniej istniało w Rosji powiedzenie „ślubny generał”. Na wesela zapraszano bowiem jakiegoś generała, aby nadał ceremonii blasku. Dziś wypadałoby mówić o „generałach wyborczych”. Na każdej liście wyborczej

figuruje przynajmniej chociaż jeden generał (w najgorszym przypadku pułkownik).

Programy partyjne proponują wyborcom i to natychmiast podwyżkę pensji i emerytur, zdobycie Alaski, obniżkę podatków i podwyższenie temperatury w całej Rosji – czas już, by naród znalazł się w strefie subtropikalnej.

Śmiech wobec tych fantastycznych haseł zamarł jednak na ustach, kiedy 1-go października w lokalnych wyborach w Wołgogradzie komuniści zdobyli 21 miejsc na 24. Komentatorzy polityczni uznali ten wynik za zapowiedź przyszłych wydarzeń. Dziś większość uważa, że komuniści wespół z „agrarnikami” mogą zdobyć większość w Dumie.

Potwierdziłoby to widoczną już tendencję. Grudniowe wybory do Dumy są drugimi wyborami parlamentarnymi. We wszystkich byłych krajach socjalistycznych (z wyjątkiem Czech) w drugich wyborach zwyciężyli komuniści. Nawet w Polsce, gdzie ich tak serdecznie nie lubiano.

Powody są powszechnie znane – niezadowolenie z budowy kapitalizmu, która bije w większość ludności, słabość i rozdrobnienie sił demokratycznych, tęsknota za „dobrymi dawnymi czasami”, bezkarność partii komunistycznych, których nikt nie chciał oddać pod sąd. Trzeba przyznać, że propaganda komunistyczna jest dziś bardzo aktywna. Przed zdobyciem władzy i w pierwszych latach budowy socjalizmu komuniści byli mistrzami propagandy. Ich zdolny uczeń Joseph Goebbels nigdy nie ukrywał zachwyty dla propagandowej techniki swych mistrzów. Dopiero później, kiedy rozsiedli się w rządowych fotelach i rozleniwili, komuniści opuścili się w pracy, licząc najwidoczniej, i słusznie, że po długich dziesięcioleciach sowieckiej władzy będą działały odruchy warunkowe.

Dziś, kiedy znowu muszą walczyć o władzę, komuniści wracają do wypróbowanych metod. W dyrektywie dla wydziałów terenowych Centrum Analityczne Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej zaleca, aby nie używać haseł typu „chwała KPZS”, „Rosja powstanie”, tylko skupiać się na konkretnych tematach. Na przykład: „Do czasu *pieriestrojki* i reform mogliście za jedną pensję kupić 1800 kilo kartofli albo 200 kilo cukru. Głosujcie na KPFR”. W bramach zaleca się wywieszać plakat: „Przed *pieriestrojką* i reformami nie

baliśmy się wchodzić do sieni. Głosujcie na KPFR”. Na budkach telefonicznych zaś: „Dawniej rozmowa kosztowała dwie kopiejki. Głosujcie na...”

Rosyjski psycholog Siergiej Czachotin pisze w słynnej książce „Jak propaganda polityczna gwałci tłumy”, że propaganda opiera się na słabym zmyśle krytycznym mas. Wynikają stąd dwie zasady: nieustanne powtarzanie tych samych haseł w tej samej formie oraz przesłanka, że ludzie, a zwłaszcza masy, skłonni są wierzyć w to, czego pragną. Siergiej Czachotin był emigrantem, dlatego jego książki w Związku Sowieckim nigdy nie wydano, przetłumaczono ją tylko „dla użytku wewnętrznego”. Zresztą Czachotin prochu nie wymyślił, analizował tylko technikę sowieckiej i hitlerowskiej propagandy.

Hasła powrotu do szczęśliwej przeszłości, kiedy rozmowa telefoniczna znów będzie kosztować dwie kopiejki, skierowane są do ciemnych mas. Elitom proponuje się artykuły Aleksandra Prochanowa, wydawcy gazety „duchowej opozycji” pod tytułem *Zawtra* („Jutro”), głoszącej chwałę nacjonal-komunistycznej przeszłości. Wynosząc pod niebiosa nowego zbawcę – wodza partii komunistycznej Genadija Ziuganowa – Prochanow pisze: „Podejrzewam, że Ziuganow ostro przeżywa dylemat, czy ma zostać wodzem tradycyjnej parlamentarnej partii, w jaką zamienił KPFR, umożliwiając jej działanie i skazując ją na żmudny parlamentaryzm, czy też zespolić organizację, tchnąć w nią ducha ludowej krzepy i znów, w duchu komunistycznego testamentu, rzucić wyzwanie żywiolom i podjąć próbę ujarznienia historii tu, w Rosji: wyrwać ją z rąk Zachodu, skierować w stronę Rosji, tu, gdzie wstaje ‘rosyjska przeszłość’, ‘rosyjskie słońce’, ‘rosyjskie niewysłowione marzenia’. Jakie to słońce i jakie marzenia, pokażą teoria i ideologia rosyjskiego komunizmu, na których realizację Rosja poświęci następne stulecie” (*Sowietskaja Rossija*, 21.9.95).

Dziś widać jak nigdy dotąd, jak bardzo miał rację amerykański filozof Santayana, kiedy mówił, że narody, które nie znają swojej historii, muszą ją powtarzać. Aleksander Dumas uważał, że pisarz może gwałcić historię, byle by z tego rodziły się dzieci. Miał na myśli wielkie powieści historyczne. Kiedy do gwałtu na historii zabierają się partie polityczne, rodzą się

potwory. Narody, które nie chcą znać swojej przeszłości, wciąż od nowa wystawiają się na gwałt.

Powiedziane jest: poznaj prawdę, prawda cię wyzwoli. Prawdy jednak nikt znać nie chce, bo najwidoczniej nikt nie chce być wolny. Rozliczanie się z przeszłością to problem nie tylko Rosji. Także we Włoszech, Niemczech i Japonii – i naturalnie w byłych demoludach – toczą się żarliwe spory o sprawy sprzed ostatniego półwiecza. Są to spory wyjątkowo trudne, bo ich przedmiotem jest bardzo bliska przeszłość, żyją jeszcze wszyscy aktorzy wydarzeń, którzy wolą sami oceniać swe uczynki oraz swą rolę i rolę na scenie historii.

Rosja przeżyła pod komunizmem blisko trzy czwarte wieku. Co teraz zrobić z tym czasem? Najwygodniej, rzecz jasna, wybrać z przeszłości to, co przydatne, a co złe, zapomnieć. Pod koniec września telewizja rosyjska nagle zlikwidowała program Aleksandra Sołżenicyna. Dwa razy w miesiącu Sołżenicyn wykladał przez piętnaście minut swój pogląd na świat i życie, rosyjską rzeczywistość i historię. Telewizja uznała, że – jak wytłumaczył jakiś działacz – „audycje Sołżenicyna nie są więcej potrzebne”. Faktem jest, że wielu ludziom się nie podobały. Nie bez podstaw zresztą. Ponieważ nie osiągnąłem jeszcze poziomu technicznego, który pozwalałby mi oglądać telewizję moskiewską w Paryżu, czytałem skrypty audycji Sołżenicyna w *Russkoj Mysli*. Często nie zgadzałem się z jego poglądami i koncepcjami. Ale czy istnieje autor, z którego poglądami wszyscy się zgadzają?

Audycji Sołżenicyna jeszcze przed jej zamknięciem zarzucano, że jest nudna, że nie zdobyła dość widzów itd. Przypomniało mi się w związku z tym opowiadanie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o Ilji Ehrenburgu, który przyjechał do Neapolu akurat w momencie, kiedy Pasternak dostał nagrodę Nobla za „Doktora Żiwago” i cały Związek Sowiecki rzucił się na niego. Podczas spotkania z neapolitańskimi intelektualistami ktoś zahaczył Ehrenburga o Pasternaka. Ehrenburg powiedział: „‘Doktor Żiwago’ jest marną powieścią, nie warto było jej wydawać”. Na to wstał Gustaw i zapytał sowieckiego gościa: „Jaka jest sytuacja w literaturze sowieckiej?” „Zła – ochoczo odpowiedział Ehrenburg. – Nie ma dobrych powieści, wydaje się chłam”. Wtedy Gustaw niewinnie zadał następne pytanie: „Dlaczego więc nie wydać

jeszcze jednej złej powieści i nie robić skandalu?”

Wygnanie Aleksandra Sołżenicyna z telewizji rosyjskiej miało powody, wcale nie związane z jakością jego audycji ani nawet z ich treścią. Aleksander Sołżenicyn przypomina bowiem walkę z komunizmem, którą mało kto prowadził równie konsekwentnie i zdecydowanie jak on. Sołżenicyn jest reliktem epoki, o której większość chciałaby zapomnieć, by pisać historię od nowa. Świadkowie są nie tylko zbędni – są szkodliwi. Bez świadków jest spokojniej i prościej.

Wybory, których wyniki mogą – nikogo to nie zaskoczy – dać większość komunistom, zamykanie oczu na przeszłość, likwidowanie audycji telewizyjnej największego żyjącego pisarza rosyjskiego, i tak dalej, i tak dalej... Długo by wyliczać niedostatki i słabości dzisiejszej Rosji. Spójrzmy jednak w przeszłość. Prawie dziewięćdziesiąt lat temu – 17 października 1917 roku – Mikołaj II podpisał manifest, nadający swobody obywatelom Rosji i zapowiadający wybory do Dumy. Monarcha rosyjski godził się na ograniczenie samodzielną i nadanie Rosji parlamentu. Pierwsza Duma nie spodobała się władzy i została rozwiązana, nie spodobała się i druga, którą również rozpędzono. Ale trzecia i czwarta działały do rewolucji 1917 roku.

Przez dziesięć lat Rosja uczyła się nieznanego, obcych jej form parlamentarnego życia. Nikt nie wie, co by było, gdyby nie wybuchła pierwsza wojna światowa, a potem rewolucja. Charakter rosyjskiego parlamentu z całą pewnością by się zmienił. W 1907 roku Aleksiej Suworin, redaktor konserwatywnej gazety *Nowoje wriemia* („Nowe czasy”) zanotował w dzienniku: „Duma chciałaby obrzucać ministrów błotem”. Obyczaje z czasem nieco złagodniały. Nauka trwała jednak za krótko. Następnie nastąpiła władza sowiecka i nauczyła po swojemu. Teraz wypada wszystko zaczynać od nowa. Nikt jednak nie potrafi powiedzieć, czy nowe terminowanie wyda owoce.

Okoliczności zewnętrzne mogą jak zawsze wpłynąć na rozwój sytuacji wewnętrznej. Komuniści liczą na to, że Zachód da im powody do tego, by ogłosili się zbawcami Rosji. Zdarza się, owszem, że Zachód dostarcza im amunicji. Zawsze byłem przeciwny polityce „uśmierzania” Związku Sowieckiego. Dziś ta polityka *apeasement* nie ma zastosowania,

istnieje natomiast „polityka realna”. Stany Zjednoczone mogą sobie na wiele pozwolić. Prezydent Clinton może, na przykład, zatelefonować do prezydenta Azerbejdżanu Gajdara Alijewa i „przekonać go”, by zgodził się na budowę drugiego (poza istniejącym rosyjskim) rurociągu naftowego przez Turcję. Czy jednak może pozwolić sobie na ignorowanie Rosji Polska? Niedawno – 20 września 1995 – paryski *Figaro* opublikował wywiad z ministrem spraw zagranicznych, Władysławem Bartoszewskim. W drodze powrotnej z Brukseli polski minister zatrzymał się w Paryżu, gdzie oświadczył, że wejście Polski do Wspólnoty Europejskiej w 2000 roku jest „realne”. Do NATO natomiast Polska zostanie przyjęta – zdaniem Władysława Bartoszewskiego – w roku 1998. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie dziwna odpowiedź na pytanie: „Jak zamierzacie odeprzeć argumenty Rosji?”. Rosja, jak wiadomo, sprzeciwia się przystąpieniu Polski do Sojuszu Atlantyckiego. Władysław Bartoszewski odparł na to: „Graniczymy z Ukrainą i Białorusią, które twierdzą, że są niezależne, graniczymy z Litwą, która też chce przystąpić do NATO, wreszcie mamy 200-kilometrową granicę z Rosją w puszczy i rejonie Królewca. Czy to może dać Kremlowi prawo weta? Nie damy się zastraszyć pohukiwaniom z Kremla”.

Minęło kilka tygodni i sytuacja się zmieniła. Białoruś – nie wiadomo jeszcze w jakiej formie – zjednoczy się z Rosją. Granica polsko-rosyjska wydłuży się i wyjdzie z lasu. Czy to znaczy, że Moskwie będzie łatwiej „pohukiwać” przeciw przystąpieniu Polski do NATO? Główna wiadomość w wywiadzie Bartoszewskiego brzmi tak: Zachód nas przyjmuje, pluńmy na Rosję. Można mieć do tej koncepcji różny stosunek. Jedno jest pewne: także i chęć zapomnienia przeszłości opiera się na ignorowaniu historii. Nie wystarczy, jak widać, być historykiem, by znać historię...

14.10.1995

Adam KRUCZEK

Prowokacyjne refleksje ze zjazdów i konferencji

W Kijowie wśród intelektualnej elity przygnębienie i niezadowolenie. Pisarze i naukowcy biją na alarm. Uważają, że władza prezydenta Kuczmy nie dba o duchowe odrodzenie społeczeństwa i toleruje wtórną rusyfikację Ukrainy. Reformiści i pragmatycy stracili – w walce z inflacją i upadkiem produkcji – z pola widzenia sprawy kultury, nauki i literatury. W Akademii Nauk panuje panika, a z uniwersytetów trwa ucieczka uczonych do biznesu. Władze od dawna nie płacą pensji. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w szkolnictwie powszechnym. Nauczycielstwo przymiera głodem. W wielu szkołach nie ma komu uczyć dzieci.

Przywódcy ukraińskiej inteligencji twórczej ogłosili dramatyczny manifest, stwierdzający stan najwyższego zagrożenia. „W piątym roku niepodległości, w okresie przyjęcia Ukrainy do Rady Europy, mają miejsce wydarzenia, które nie tylko pod materialnym względem podważają fundamenty egzystencji państwa ukraińskiego, lecz zagrażają narodowi, językowi, kulturze i całemu życiu duchowemu”. Tak zaczyna się ów manifest, który podpisali m.in. znany poeta Iwan Dracz, przywódca Ruchu, Wiaczesław Czornowił, były minister obrony, generał Konstantyn Morozow, dawny dysydent i działacz religijny, poeta Jewhen Swerstiuk, rektor Akademii Mohylańskiej, Wiaczesław Briuchoweckij, wybitny astronom, Jarosław Jackiw i wiele innych znakomitych osobistości. Autorzy zarzucają oficjalnym władzom w Kijowie, że te świadomie przemilczają wrogą i agresywną politykę Rosji wobec Ukrainy. Cele te, do niedawna jeszcze ukrywane, cynicznie zadeklarował prezydent Federacji Rosyjskiej w swoim ukazie nr 940 z 15 września 1995 r. o strategicznej koncepcji Rosji Wspólnoty Niezależnych Państw, zgodnie z którą „Ukrainę traktuje się jako strefę narodowych interesów Rosji”.

Autorzy październikowego manifestu w Kijowie oskarżają obecną ukraińską ekipę rządową, że ta zaniedbała obrony podstawowych narodowych interesów swego kraju, zgodziła się na ponowną rusyfikację kultury, wyprzedaż gospodarki Ukrainy na rzecz kapitalizmu rosyjskiego, systematyczne osła-

bianie zbrojnych sił Ukrainy. Manifest zapowiada organizowanie w najbliższej przyszłości komitetów inteligencji ukraińskiej na rzecz „obrony suwerenności i ratowania kultury”.

Z drugiej strony dochodzą z kół komunistycznych i lewicy socjalistycznej zapowiedzi, że jesień stanie się zaczynem do akcji antyrządowych przeciwko „wprowadzeniu przez ekipę prezydenta Kuczmy kapitalizmu”. Jako przykłady rzecznicy skrajnej lewicy przytaczają zubożenie ludności, drożyznę, korupcję, tolerowanie nacjonalizmu i szowinizmu ukraińskiego, osłabienie związków z Rosją i z innymi byłymi republikami dawnego Związku Sowieckiego. Innymi słowy, przedstawiciele tego prądu występują z całkowicie przeciwnych pozycji niż obrońcy suwerenności. Prezydent Kuczma nie reaguje na te pogroźki, natomiast patriotyczna inteligencja mówi o niebezpieczeństwie powtórzenia się na Ukrainie syndromu „białoruskiego”.

Koniec „sowietologii” i co dalej?

Dzisiaj analizowanie i prognozowanie sytuacji w krajach postkomunistycznych stało się zajęciem trudnym. Stara sowietologia zginęła wraz z sowieckim imperium. Nowa nauka o systemie państw powstałych na ruinach tego imperium jeszcze nie powstała. W bibliotekach stoją rzędy dzieł o reformowalności sowieckiego ładu, bzdur o zbliżającej się erze konwergencji pomiędzy socjalizmem i kapitalizmem, o pokojowej koegzystencji i o innych głupstwach. Wielu autorów nie tylko na Wschodzie, ale i na Zachodzie, stoi dziś przed fiaskiem swojego dorobku. Świadectwem o krytycznej sytuacji na tym polu był 5 Światowy Kongres Studiów o Europie Środkowo-Wschodniej na początku sierpnia w Warszawie. Idea tych kongresów powstała jeszcze podczas zimnej wojny, ale rozwinęła się pod wpływem wiatrów koegzystencjalnych w górskim uzdrowisku Banff w Kanadzie w 1974 roku. Wówczas instytucja ta nazywała się studiami sowieckimi i wschodnio-europejskimi. Była w ciągu lat reprezentacyjnym forum rozmaitych kierunków i poglądów. Wraz z upadkiem komunizmu zabrakło jej jakby długiego oddechu. Na konferencji warszawskiej uwydatniło się to w pełni. Skończyły się tak zwane tematy. Zaczął się okres rozpadu na małe „przyczynkarstwo”. Tylko nieliczni znawcy historii i polityki krajów Europy Wschodniej przyjeżdżają dziś na takie spotkania.

Młodszym brakuje nieodzownej dziś znajomości języków, odrębnej a nie tylko rosyjskiej literatury. Stąd pęd do wyboru łatwych, przeważnie oklepanych tematów!

Polska zaprezentowała (ale poza tymi spotkaniami) wyniki prac bardzo aktywnego i ciekawego Ośrodka Studiów Wschodnich – Eurazja. Wydawnictwo pod kierunkiem Mariusza Sielskiego ma w ciągu dwuletniego istnienia kilka bardzo ważnych pozycji i może zmierzyć się z każdym innym centrum podobnych studiów na Zachodzie. Jednak kontrastem do tego ambitnego i udanego przedsięwzięcia był brak zainteresowania w mediach polskich. Na sympozjum o stosunkach polsko-ukraińskich z udziałem wybitnych znawców problemu, żadna gazeta warszawska nie przysłała nie tylko redaktora ale nawet reportera. W telewizji polskiej z rozmów ze specjalistami pozostały tylko strzępy.

Czyżby nowe ożywienie na linii z Kijowem?

W kilka tygodni później wieczór dyskusyjny na temat stosunków Polska-Ukraina. Na sali wiele osobistości z obozu belwederskiego i z MSZ. Są też dziennikarze, historycy, posłowie i senatorzy. Dyskusja żywa i ciekawa. Wszyscy zgadzają się, że w ostatnich dwóch latach panowała cisza. Przemawia również ambasador Ukrainy w Polsce, Sardaczuk, bardzo propolsko, bardzo serdecznie. Dwaj panowie roztaczają obraz przyszłości, najpierw Andrzej Ananicz, nowy kierownik spraw wschodnich u prezydenta Wałęsy. Jest jak najbardziej zaangażowany na rzecz nowej próby ożywienia uśpionego Komitetu Doradczego obydwu prezydentów. Gdyby tylko pofowa z jego zapowiedzi weszła w życie byłoby dobrze. Po nim plany dyplomacji polskiej rozwija dyrektor Drugiego Departamentu w MSZ, do którego należy Ukraina, Jerzy Bahr, szczery przyjaciel Ukraińców. W jego ujęciu stoimy przed nową fazą wszechstronnych stosunków. Jest w tej koncepcji również ukonstytuowanie instytutów kultury jak też otwarcie stacji naukowych. W dyskusji historyk, prof. Ajnenkiel, porusza sprawę uzgadniania podręczników historii, która znowu gdzieś utknęła. Jerzy Pomianowski zwraca uwagę na skandaliczną okoliczność, że mimo ustawicznych deklaracji, nikt w Polsce nie zdobył się na wydanie podstawowych prac głównego teoretyka Kultury, Juliusza Mieroszewskiego.

W kilka dni później, podczas pobytu w Bonn, kandydat

lewicy na prezydenta, Aleksander Kwaśniewski, wystąpił w gronie socjaldemokratów niemieckich i dyplomatów z ostrą krytyką zaniedbań ze strony rządowej w stosunkach z Ukrainą. Po *Kulturze*, *Rzeczpospolitej*, *Tygodniku Powszechnym*, *Tygodniku Solidarność*, *Polityce*, jest to kolejny i chyba pierwszy głos z tej strony. Nie wydaje się bowiem, żeby doradcy polityczni pana premiera Oleksego, Andrzej Drawicz i Adam Bromke, pchali go w stronę Kijowa.

W niespełna miesiąc potem nastąpiła nagle fala wzajemnych wizyt, wszelkiego rodzaju spotkań, bądź to w Kijowie, bądź w Warszawie, lub na pograniczu przy tworzeniu wspólnego regionu Bug. Czyżby nasza krytyka nie poszła w las? Doświadczenie skłania do ostrożności, bo gdzie jest gwarancja, że ten nowy zabieg nie skończy się pewnego dnia tak samo, jak wszystkie poprzednie, czyli bez konkretnej treści?

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

Polska na Montmartre

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI
ANDRZEJA ROBOWSKIEGO

Ulica des Abbesses Nr 37bis. Tu w podwórzu Andrzej Robowski, architekt emigracji '56 zbudował czterokondygnacyjne mieszkanie, adaptując fragment dziewiętnastowiecznej pralni. Mieszkanie fantastyczne – długie jelito w brzuchu Montmartre'u. Gdy zamieszkał w nim, powiedział: każdy Polak znajdzie u mnie gościńcę – nikt w potrzebie stąd nie odejdzie.

Był profesorem paryskiej Ecole Spéciale d'Architecture. Realizacje projektów Andrzeja Robowskiego stoją w Warszawie, San Paulo, Cannes, w Paryżu i okolicach. Hotel, klasztor, dom dla emerytów, dom rehabilitacji niewidomych – wiele marzeń i trochę spełnień. Przechodząc na emeryturę Andrzej zaczął bywać w wolnej Polsce. Uparcie próbował przekazać studentom Warszawskiego Wydziału Architektury jak myśleć, żeby *rozśpiewać przestrzeń*, jak rysować to, co zbudować warto. Był wrażliwy na detal: lubił majsterkować w skali człowieka z precyzją centymetrową.

Co pewien czas przynosił przyjaciółom na luźnych kartkach swoje refleksje. Te miniatury wypełniały: humor, inteligencja, dystans do siebie i przyjaźń dla innych, zamyślenie nad Polską po komunistycznej traumie.

Niech Ci, którzy Go znali i nie znali przeczytają jedną z tych kartek, napisaną dwa lata przed śmiercią. My, którym Go zabrakło, kładziemy Mu na grób Jego własne słowa jak kwiaty.

M.P.

Trzy kraje – trzy światy

W ciągu niepełnego roku, począwszy od początku listopada a skończywszy na ostatnich dniach czerwca 1992 roku, miałem szczęście lub nieszczęście poddać się trzem identycznym zabiegom w trzech różnych krajach Europy: Niemczech, Francji i Polsce. Zabiegi polegały na wprowadzeniu przez usta sondy, z miniaturowym aparatem na jej końcu, umożliwiającym obejrzenie stanu mojej dwunastnicy. Mimo użycia tego samego typu materiału, podejście do tej czynności jest tak różne, że można by prawie zadać sobie pytanie, czy ma ona miejsce w tej samej epoce. We wszystkich trzech wypadkach lekarzami są ludzie nie obcy mi, z którymi jeśli nie jestem w przyjaźni, to w każdym razie dobrze ich znam.

NIEMCY

Przyjeżdżam wieczorem, pociągiem z Paryża do Wiesbaden do mego kuzyna lekarza. Spędzam noc u niego w domu. Następnego ranka, zabiera mnie on samochodem do kliniki. Każę się położyć w gabinecie na leżance i coś mi wstrzykuje. Po piętnastu minutach budzę się i dowiaduję, że mam wrzód na dwunastnicy. Wieczorem wsiałam do pociągu do Polski. Czas trwania zabiegu z dojazdem, około godziny.

FRANCJA

Aby zabieg mógł się odbyć z rana, muszę być w klinice poprzedniego dnia o 13-tej 30. Odbywam wizytę u anestezyjologa, który dowiedziawszy się, że mam cukrzycę mówi, że mnie umieści przed zabiegiem pod kroplówką. Tłumaczę, że moja *diabète* jest doskonale kontrolowana, że jestem pod stałą kontrolą lekarską i że w czasie weekendów śpiąc dłużej, zdarza mi się wstrzykiwać insulinę dopiero koło południa i że ten fakt nie powoduje nigdy niepokojących objawów. Wyraźnie nie słucha i coś gryzmoli w papierzyskach.

Popołudnie spędzam na prześwietleniach, poborze krwi i

jeszcze na czymś, czego nie pamiętam. Po kolacji o 6-tej wieczór, mam wypić 3 litry białawego płynu, w celu całkowitego oczyszczenia moich wnętrzności. Oczywiście noc to jeden nieprzerwany wyścig do kibelka. Jeśli nie biegnę dość szybko, to muszę zapierać spodnie od piżamy (prawdziwy *Lacoste* z ogromnym krokodylem). Nad ranem, kiedy jestem ciągle w pełni aktywności oczyszczania moich wnętrzności jelita, przychodzi Murzyn – pielęgniarz w białym kitlu, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką. Zupełny surrealizm. Odmawiam przywiązania mnie. – Odmowa musi być na piśmie. – Mówię, że podpiszę co zechce. Przynosi formularz, na którym na dole strony kładę mój piękny podpis. To wszystko nad ranem, kiedy jeszcze jest zupełnie ciemno. W międzyczasie, biegam ciągle do kibelka, ale bez przyczepki. Myślę o lekarzu anestezyjologu – chyba ma dyplom? Nie pamiętam jego nazwiska – rubaszny. Może bardzo mądry teoretyk, ale w praktyce, jak widać zupełnie dureń. Wie przecież po co tu jestem, wie, że zostałem obombany 3 litrami płynu w celu całkowitego wyczyszczenia moich wnętrzności i wie również, że to powoduje bardzo częste i powiedziałbym wytryskujące wypróżnienia. I mimo to, powtarzam, mimo to każe mnie przywiązywać do jabłkonki na kółkach. Mam ochotę powiedzieć – zupełny idiota. Typowy przykład przedstawiciela współczesnej medycyny. Ta ongiś tak Szanowna i Szanowana Dama stała się zgrozą w rękach tzw. specjalistów. Zachodnia koncepcja medycyny, kształtowana od paru wieków zamordowała pacjenta. Pokrajała go w talarki, doskonale przeanalizowała i poznała każdy talarek, ale zapomniała zupełnie, że te plasterki tworzą całość, a tą całością jest każdy z nas. Istnieje ogromna różnica między naszym zachodnim leczeniem, które traktuje schorzone miejsce w granicach każdej specjalności, a medycyną Dalekiego Wschodu, gdzie „leczenie” polega na przywróceniu równowagi dla całego organizmu, który wtedy powróciwszy do sił, sam daje sobie radę ze schorzeniem. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ja nie mam najmniejszej pretensji do naszych lekarzy. Oni robią co mogą. To, jak mówił Solżenicyn: „system jest zły”.

Wracam do mego kibelka w szpitalu w Massy. Koło 10-tej zwożą mnie na specjalnym łóżku do sali zabiegowej.

Czekam, leżąc w przedśionku i czuję, że brudzę prześcieradło. Zbliża się anestezjolog. Odkrywam to, co normalnie zakrywam. Nie reaguję, wyraźnie obrażony. Budzę się już na górze w pokoju. Mogę wypisać się dopiero po 17-tej. Przeszło doba pobytu, urozmaicona jak w bulwarowym teatryku.

POLSKA

Przyjaciół moich szwagrostwa, profesor na medycynie (według relacji Małgosi, mojej siostry, ceni sobie bardzo swój tytuł, więc nie mogę go ominąć), praktykujący w klinice akademickiej w Gdańsku, polecił mi przyjść do szpitala we wtorek rano. Rozebrano mnie, nałożono przewiewną podomkę i zawieziono do gabinetu zabiegowego.

Młody specjalista w białym fartuchu wsunął mi bardzo umiejętnie w przętyk rurę-sondę, powtarzając: proszę połykać. Mógłby równie dobrze powtarzać: proszę zaśpiewać, proszę zaśpiewać, albo proszę zatańczyć, proszę zatańczyć. Myślę, że on sam nigdy nie przeszedł podobnego zabiegu, bo w przeciwnym razie dobrze wiedziałby, że w tym momencie nie jest się w stanie wykonać żadnego polecenia. Jedyną rzeczą, do jakiej jest się zdolnym, to poddać się całkowicie i dobrowolnie przedmiotowi wrażliwemu się coraz głębiej i głębiej we wnętrzości. Po paru minutach, rzeczywiście bardzo nieprzyjemnych, biały oprawca wyciągnął ze mnie węży i powiedział: nie ma Pan już owrzodzenia dwunastnicy. Ubrałem się i wsiadłem sam do samochodu. Po południu, czekano na mnie w Poznaniu.

Miravet, wrzesień 1992

Andrzej ROBOWSKI

VI Polski Zjazd Filozofów w Toruniu

W dniach 5-9 września odbywał się w Toruniu VI Polski Zjazd Filozofów. Trzeci po wojnie i pierwszy od 1936, na którym zakres dyskusowanych problemów i tematy odczytów nie były niczym ograniczone.

VI Zjazd nawiązał do tradycji spotkań filozofów polskich wypracowanej w latach międzywojennych, a zainicjowanej przez I Polski Zjazd Filozoficzny we Lwowie w 1923 roku. Jeszcze kilka lat temu równie duże spotkanie filozofów byłoby w Toruniu nie do pomyślenia. Po krótkim okresie świetności w latach powojennych, kiedy w Toruniu wydawany był założony przez Kazimierza Twardowskiego lwowski *Ruch Filozoficzny*, a wykłady prowadzili na UMK przybyli z Wilna Tadeusz Czeżowski i Henryk Elzenberg (odsunięty od zajęć ze studentami w latach 50-tych), filozofia toruńska – rozumiana jako narzędzie indoktrynacji ideologicznej – funkcjonowała jedynie jako zakład usługowy dla innych kierunków. Odrodziła się w 1991 roku i natychmiast rozpoczęto w Toruniu starania o organizację ogólnopolskiego spotkania filozofów.

Pomysłodawcą zorganizowania w Toruniu VI Polskiego Zjazdu Filozofów był – jakże inaczej – filozof, dziekan Wydziału Humanistycznego UMK prof. Lech Witkowski. To głównie dzięki jego staraniom organizację zjazdu przyznano toruńskiemu środowisku naukowemu.

W Zjeździe wzięło udział ponad 800 uczestników. Nie wszyscy jednak skorzystali z zaproszenia. Zabrakło zupełnie filozofii marksistowskiej, nie brakło na Zjeździe natomiast niedawnych marksistów; ci jednak koniunkturalnie dyskutowali o historii filozofii, filozofii religii lub (co było już perwersją) etyce. Najgłośniejsi jednak nie odpowiedzieli nawet na zaproszenie, np. Adam Schaff.

Zabrakło też właściwie filozofów emigracyjnych, chociaż do wielu wysłano zaproszenia. Widoczny był zwłaszcza brak Leszka Kołakowskiego, który miał być honorowym przewodniczącym Zjazdu ale wypadek uniemożliwił mu przyjazd do Polski oraz Zygmunta Baumana, który przysłał list. Mimo to

reprezentowane były wszystkie ośrodki naukowe z kraju. Dyskutowano o tak modnych na Zachodzie zagadnieniach szczegółowych jak: filozofia życia, bioetyka, sztuczna inteligencja, o językach komunikowania się itp., ale też o tradycjach polskiej filozofii – o szkole lwowsko-warszawskiej, która obchodzi właśnie stulecie powstania, o Tadeuszu Czeżowskim oraz Henryku Elzenbergu, jednym z najświetniejszych etyków XX wieku, którego dorobek naukowy wciąż jeszcze jest zbyt mało znany.

Obrady odbywały się w sekcjach problemowych odpowiadających różnorodności zagadnień i problemów stojących przed współczesną filozofią: antropologii filozoficznej, aksjologii, estetyki i filozofii sztuki, etyki, filozofii kultury, filozofii polityki, filozofii nauki, filozofii religii, filozofii życia i biologii, heurystyki, historii filozofii dawnej, historii filozofii nowożytnej, historii filozofii polskiej, logiki i historii logiki, metafizyki, nauk kognitywnych i sztucznej inteligencji, metafizyki i ontologii, filozofii i etyki biznesu, ekofilozofii i bioetyki, filozofii logicznej, filozofii nauk przyrodniczych, hermeneutyki, filozofii edukacji, filozofii matematyki, filozofii prawa, filozofii społecznej, postmodernizmu, semantyki, filozofii Wschodu i Zachodu, uniwersalizmu, nauki o kulturze, teorii poznania i epistemologii.

Wieczory wypełnione były spotkaniami dyskusyjnymi oraz projekcjami filmów o filozofach, m.in. o Stefanie Świeżawskim, Ludwiku Wittgensteinie i Henryku Elzenbergu. Przy okazji Zjazdu odbyły się wystawy książki filozoficznej i malarstwa inspirowanego filozofią Indii, można też było kupić niemal wszystkie polskie nowości wydawnicze poświęcone zagadnieniom, które poruszane były na Zjeździe.

Organizatorzy Zjazdu postawili uczestnikom trzy zasadnicze zadania. Zjazd miał zintegrować środowisko filozoficzne, umożliwić wymianę poglądów i wzajemne poznanie się uczonych z różnych ośrodków w Polsce oraz zmusić do pogłębionej refleksji nad stanem i perspektywami filozofii w Polsce. Dwa pierwsze zadania spełnił bez wątpienia.

Planowane jest wydanie najbardziej wartościowych referatów oraz pamiętnika zjazdowego, co oznacza, że podstawowa część materiałów powinna zostać opublikowana, i to nawet szybko.

Następny Zjazd będzie organizowany prawdopodobnie w Poznaniu.

A minusy? W wielogodzinnych debatach, w dziesiątkach

sesji tematycznych zapomniano o wybitnych polskich filozofach tworzących poza granicami kraju, których opinie i poglądy warto dziś przedstawić, choćby po to tylko by zdać sobie sprawę z wielkich potencjalnych możliwości nauki polskiej nie sterowanej wytycznymi ideologii. Zabrakło też zupełnie dystansu do dokonań oficjalnej filozofii marksistowskiej i oceny postaw filozofów wypowiadających się w jej duchu. Wbrew deklarowanym w przedzjazdowych publikacjach oczekiwaniom, nie rozliczono się z przeszłością i dopiero w ostatnim dniu Zjazdu, kiedy prof. Ryszard Wójcicki wygłosił odczyt pt. „Przeszłość i przyszłość filozofii polskiej”, w którym krytycznie odniósł się do powojennego dorobku polskiej filozofii zarzucając jej przede wszystkim grzech zaniechania poszukiwania prawdy, co w tej nauce jest grzechem największym, wywiązała się dyskusja, ale na podsumowania było już za późno.

VI Polski Zjazd Filozofów był jednym z licznych spotkań uczonych, odbywających się w związku z 50-leciem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Niemal równocześnie z jego zamknięciem inaugurowano doroczny zjazd Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

m.a.s.

WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 23.9.1995 Dyrekcja Fundacji przyznała dalsze 32 wyróżnienia osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Marian ADAMCZYK – za działalność społeczną i obywatelską na terenie Władysławowa; Jan BZDEGA – za działalność w dziedzinie kultury Ziemi Gostyńskiej; Anna DAMENTKO – za działalność na rzecz Kobiet i ich Rodzin; Sergiej DUBAWIEC – za działalność na rzecz współpracy polsko-białoruskiej; Barbara FISZER – za zapoczątkowanie ruchu feministycznego w Polsce; Elżbieta GRABAREK – za pracę w dziedzinie oświaty na terenie Gdańska; Teresa GAŁAN – za pracę społeczną w oddziale „Patronatu” w Białymstoku; Aleksandra GŁOWACKA – za działalność kulturalną

i obywatelską w Sannikach; Joanna GRODZICKA – za pracę w Polskim Towarzystwie Stwardzenia Rozsianego; Mieczysław JACKIEWICZ – za działalność na rzecz współpracy z Białorusinami i Litwinami; Maciej KLEDZIK – za pracę badawczo-pisarską z dziejów Powstania Warszawskiego; Józef KACZMAREK – za działalność na rzecz współpracy młodzieży w Europie Środkowo-Wschodniej; Bogdan KLICH – za działalność na rzecz współpracy z Krajami Europy Środkowo-Wschodniej; Maria KOKORZECKA-PIBER – za pracę społeczną w oddziale „Patronatu” w Białymstoku; Aleksandra LESZCZYŃSKA – za pracę społeczną wśród chorych i samotnych w Chrzanowie; Aleh MINKIN – za rozwój współpracy kulturalnej polsko-białoruskiej; Jolanta PLAKWICZ – za zapoczątkowanie ruchu feministycznego w Polsce; Teresa PIWŃSKA – za działalność kulturalną i obywatelską w Sannikach; Zuzanna PASEŁAWSKA – za pracę w Towarzystwie Przyjaciół Chorych „Hospicjum” w Białymstoku; Krzysztof PAWŁOWSKI – za stworzenie Wyższej Szkoły Biznesu w Nowym Sączu; Wojciech PŁOCIENNIK – za działalność w Wodnym Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym; Barbara RESZKO – za rozwój współpracy z Litwinami i Białorusinami; Helena SIKORSKA – za prowadzenie wzorowego Domu Starców w Oliwie; Teresa SIWAK – za prowadzenie wzorowego Domu Starców w Oliwie; Anna SIWEK – za zapoczątkowanie ruchu feministycznego w Polsce; Mirosław STARZYŃSKI – za inspirowanie cennych inicjatyw społecznych na terenie Warszawy; Ryszard SURMACZ – za pracę na rzecz zachowania i rozwoju tożsamości społeczno-kulturalnej Śląska; Piotr TODYS – za działalność na rzecz transportu dla niepełnosprawnych; Daniela TOMASIK – za działalność kulturalną i obywatelską w Sannikach; Wojciech TOMCZYK – za pracę społeczną w Fundacji Pomocy Ofiarom Prześstępstw; Alicja WALAS – za pracę kulturalno-oświatową w woj. wrocławskim; Jakub WYGNAŃSKI – za całokształt działalności społecznej i obywatelskiej.

Książki

Dzieje utopii w Rosji*

Czy Rosja była „ziemią wybraną” utopii? Czy można dopatrywać się istotnego związku między bogactwem wątków utopijnych rosyjskiej kultury a tym, że właśnie Rosja stała się terenem realizacji największego eksperymentu utopijnego w dziejach świata?

Pytanie to, postawione już w pierwszym zdaniu recenzowanej książki, włącza jej autorów w wielki spór na temat komunizmu. Czy był on w istocie rosyjską deformacją marksizmu, a więc rodzimym produktem Rosji, głęboko zakorzenionym w swoistości rosyjskiego procesu historycznego i predeterminedowanym niejako przez specyfikę kultury rosyjskiej (stanowisko, którego najwybitniejszym reprezentantem jest dzisiaj R. Pipes), czy też był to rezultat ideologii powstałej na Zachodzie, a więc coś, co przyszło do Rosji z zewnątrz i w okrutny sposób zdeformowało jej rozwój? To drugie stanowisko kojarzy się zwykle z nazwiskiem Aleksandra Solżenicyna, ale można sformułować je również w sposób wolny od antyzachodnich urazów autora *Archipelagu Gułag*: jako tezę, że eksperyment sowiecki był przede wszystkim autentyczną próbą urzeczywistnienia idei komunizmu, zrodzonej „w samym sercu europejskiej myśli politycznej” (słowa E. Balibara)¹ i cieszącej się reputacją ostatniego słowa ogólnoludzkiego postępu. Tylko przy takim ujęciu upadek sowieckiego komunizmu jest faktem o ogólnoświatowym, uniwer-

* Leonid Heller, Michel Niqueux, *Histoire de l'utopie en Russie*, Presses Universitaires de France, Paris 1995, str. 296.

¹ E. Balibar, „Europe after Communism”, *Rethinking Marxism*, vol. 5, Nr 3, 1992.

salnym znaczeniu *nie tylko* w sensie zmiany układu materialnych sił. Rozumując w ten sposób można przyznać rację wypowiedziom Jelcyna, iż klęska sowieckiego komunizmu jest klęską utopii, a nie klęską Rosji (patrz s. 267-8).

Do upowszechnienia pojmowania komunizmu jako „utopii u władzy” bardzo przyczyniło się znane dzieło M. Hellera i A.M. Niekricza *L'utopie au pouvoir* (1982). Jego autorzy zdecydowanie przeciwstawili się tezie wyprowadzającej sowiecki komunizm z tradycji moskiewskiego samowładztwa, uznając go za zjawisko bez precedensu, radykalnie zrywające ciągłość rosyjskiej historii. Nie należy jednak sądzić, że pojmowanie komunizmu jako odtworzenia despotycznych struktur moskiewskiego samodzierżawia jest jedyną alternatywą koncepcji „utopii u władzy”. Można również wywodzić rosyjski eksperyment komunistyczny ze specyficznie rosyjskiej tradycji *utopijnej* i bardzo pozytywnie oceniać jego początkową fazę. Uczynił tak R. Stites w bardzo ciekawej książce pt. *Revolutionary Dreams: Utopian Vision and Experimental Life in the Russian Revolution* (1989). Jego zdaniem, Rewolucja Rosyjska zrodziła się z potężnego impulsu utopijnego, mającego najgłębsze źródło w kolizji i przemieszaniu wielkich tradycji utopijnych Rosji – tradycji, których nosicielem był lud, władcy państwa i radykalna inteligencja.

Recenzowana książka dostarcza wielu argumentów na rzecz tej diagnozy. Leonid Heller i Michael Niqueux nie podzielają entuzjazmu amerykańskiego autora wobec utopijnych wizji i rewolucyjnych eksperymentów, idą jednakże jego śladem formułując twierdzenie, iż utopijność przenika całą kulturę rosyjską, nadając kierunek działaniom władców, sekt religijnych i opozycji politycznej (s. 277). Są ostrożni w wyprowadzaniu wniosków, podkreślają, że materiał zgromadzony w ich książce nie prowadzi do jednoznacznych konkluzji. Solidaryzują się, jak można sądzić, z pojmowaniem komunizmu sowieckiego jako „utopii u władzy”, ale dystansują się wobec myśli, że obalenie komunizmu zaowocuje społeczeństwem zupełnie wolnym od utopii. W utopiach rosyjskich nie dopatrują się cech niepowtarzalnie rosyjskich; stwierdzają wręcz, że są to rosyjskie manifestacje uniwersalnych struktur ludzkiej wyobraźni, a więc, że różnice między

Rosją a Zachodem mają jedynie charakter względny (s. 279). Podtrzymują jednak diagnozę o szczególnej podatności Rosjan na impulsy utopijne, widocznej w rosyjskiej religijności, literaturze (poczynając już od literatury Rusi Kijowskiej) i myśli społeczno-politycznej.

Diagnoza ta jest, moim zdaniem, wyważona i trafna. Pomaga zrozumieć Rewolucję Rosyjską i „epokę heroiczną” rosyjskiego komunizmu, ale nie pretenduje do wyjaśnienia wszystkiego, nie przedstawia totalitarnego komunizmu jako nieuniknionego rezultatu rosyjskiej historii. Rzuca pewne światło na rosyjską kulturę bez wpadania w pułapki kulturowego determinizmu, czyniącego Rosję więźniem jej historii.

Autorzy książki świadomie unikają redukcjonistycznych wyjaśnień monokausalnych. Koncentrują się na opisach, klasyfikacjach, typologiach, na porządkowaniu ogromnego materiału historycznego według kategorii wypracowanych przez bogatą międzynarodową literaturę na temat utopizmu. W ramach krótkiego artykułu nie ma możliwości omówienia tych złożonych i efektownych zabiegów porządkujących. Nie ulega wątpliwości pożyteczność tych zabiegów dla badań komparatystycznych, niekiedy wydaje się jednak, że dążenie autorów do klasyfikacyjnej kompletności zamazuje nieco hierarchizację zjawisk i przejrzystość ogólnego wywodu.

Autorzy podzielili książkę na siedem rozdziałów, poświęconych kolejno (1) utopiom w kulturze staroruskiej, (2) utopiom ludowym od XVII do XX wieku, (3) epoce Oświecenia, (4) walce różnych utopii w wieku dziewiętnastym, (5) utopiom epoki modernizmu, (6) utopiom okresu rewolucji oraz (7) wychodzeniu z utopii w okresie postalinowskim. Każdy z tych rozdziałów zaopatrzonej jest w osobną bibliografię, a pod względem bogactwa i nieuniknionej skrótowości informacji przypomina zwięzłe opracowanie encyklopedyczne. W sumie otrzymaliśmy pierwszy całościowy zarys dziejów utopii Rosji – od Średniowiecza do naszej współczesności. Wiele w nim ujęć spornych, ale ranga problematyki została właściwie dostrzeżona i droga do dalszych badań szeroko otwarta.

Najbardziej sporny wydaje się sposób integrowania problematyki literaturoznawczej z religioznawczą i społeczno-polityczną. Problematyka utopii jako pewnego gatunku

literackiego („powieść utopijna”, *science-fiction*, itd.) jest dobrze zdefiniowana i również w literaturze rosyjskiej zbadana nie najgorzej; czymś innym jest jednak problematyka *utopizmu* jako cechy wielkich ideologii społeczno-politycznych, zaangażowanych w walkę o radykalną przemianę świata. Przedstawiciele utopijnych ideologii politycznych mogą być jednocześnie autorami utopijnych powieści (np. A. Bogdanow), ale tak być nie musi; utopie literackie mogą być przecież pisane dla zabawy i nie mieć żadnego związku z zaangażowaniem ideologicznym. W książce mającej mówić o genezie Rewolucji Rosyjskiej problematyka wielkich, historiotwórczych utopii ideologicznych powinna górować nad problematyką literaturoznawczą. Trudno więc zrozumieć dlaczego autorzy poświęcili powieściom fantastycznym Tadeusza Bułharyna znacznie więcej miejsca niż np. ideologii narodniczej, czyli najbardziej wpływowej i społecznie reprezentatywnej ideologii radykalnej inteligencji rosyjskiej w okresie przedmarksistowskim. (O Hercenie i Ławrowie znajdujemy w książce jedynie wzmianki, o Mikołaju Michajłowskim – najtypowszym przedstawicielu retrospektywnej utopii narodniczej – nie ma ani słowa). Trudno również pojąć preferencję autorów dla literackich form wyrazu w analizie tendencji utopijnych epoki Chruszczowowskiej, trafnie nazwanej przez nich epoką „drugiej młodości” sowieckiego utopizmu. Znana powieść Iwana Jefremowa *Mglistość Andromedy* (1956) była, bez wątpienia, ważnym ewenementem, ale poglądy samego Chruszczowa na „przyśpieszone budownictwo komunizmu”, lub teorie akademika Stanisława Strumilina, opisującego przyszłe społeczeństwo komunistyczne ze szczegółowością godną Fouriera, wydają się jednak ważniejsze.

Wróćmy wszakże do pytania wyjściowego. Czy można mówić o szczególnej podatności Rosji na wpływ utopijnych idei? Jeśli tak, to jakie były przyczyny tego zjawiska? Materiał zawarty w książce pozwala szukać przyczyn w rosyjskiej kulturze religijnej, w procesie autokratycznej modernizacji Rosji i wreszcie w specyficznych cechach i zadaniach historycznych rosyjskiej inteligencji.

Rosja, przypominają autorzy, odziedziczyła po Bizancjum chrześcijaństwo eschatologiczne i maksymalistyczne, przepojone wiarą w teokratyczną misję władzy cesarskiej, oczekujące

paruzji i apokatastazy, czyli powszechnego odrodzenia wszechrzeczy. Tendencjom ceszaropapistycznym przeciwstawiało się w duchowości prawosławnej kultuwanie monastycznego ideału teonomii, połączone z radykalną negacją aktualnego stanu świata. W obu wypadkach można jednak mówić o chęci przyspieszenia paruzji, o nadziei na zbawienie ziemskie i o prymacie zbawienia zbiorowego nad indywidualnym. Stworzyło to warunki dla bujnego rozwoju ruchów millenarystyczno-wspólnotowych, kulminującym w wielkim, wewnątrznie zróżnicowanym, ruchu staroobrzędowców. Jak wiadomo, rewolucjoniści rosyjscy, z Leninem włącznie, doceniali opozycyjność tych ruchów ludowych wobec caratu i oficjalnego prawosławia oraz usiłowali pozyskać je dla swych własnych celów. Pouczające jest jednak, że żadna z tych prób nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. Do miary symbolu urasta fakt, że jednym z celów stalinowskiej kolektywizacji wsi było zniszczenie chłopskiego utopizmu wspólnotowego o inspiracji chrześcijańskiej (s. 54).

Drugim obfitym źródłem rosyjskiego utopizmu były złudzenia modernizującej autokracji czyli wiara w omnipotencję rządu i zbawienność racjonalnej regulacji życia. Antycypacja utopii komunistycznej, utożsamiającej wyzwolenie z zastąpieniem chaotycznej spontaniczności przez racjonalną, planową kontrolę nad zbiorowym losem, wydaje się tu dość oczywista i dlatego właśnie Piotr Wielki często nazywany był „pierwszym bolszewikiem”. W Rosji petersburskiej utopijność tego typu mogła łączyć się w dziwaczny niemal sposób, ze starymi ideami teokratycznymi przefiltrowanymi przez wpływ mistyki zachodnioeuropejskiej. Za panowania „utopisty w koronie”, Aleksandra I Rosję mesjanistyczną reprezentował oberprokurator Najświętszego Synodu, książę A. Golicyn, zaś duch racjonalistycznej utopii administracyjnej znalazł skrajne, karykaturalne wręcz wcielenia w koloniach wojskowych Arakczejewa (s. 108-110). W schemacie tym nie mieści się wprawdzie ani złożona osobowość cesarza, ani postać jego wielkiego polskiego przyjaciela, Adama Czartoryskiego (który z tego zapewne powodu pominięty został w wyliczeniu wpływowych doradców i współpracowników Aleksandra). Mimo to jednak można zgodzić się, że w dziejach rosyjskiej autokracji imperialnej mamy do czynienia ze swoistym ścieraniem

się dwóch wielkich tradycji utopizmu – rodzimej tradycji teokratycznej oraz tradycji racjonalistycznej utopii etatystycznej, zrodzonej z ducha absolutystycznego państwa policyjnego.

Szczególnie ciekawym, ale też szczególnie dziwnym połączeniem pierwiastków heterogenicznych była Fiodorowska utopia „zbiorowego czynu”, mającego polegać na wykorzystaniu nauki w celu wskrzeszenia zmarłych, pokonania śmierci i stworzenia na ziemi Królestwa Bożego². Archaiczny patriarchalno-prawosławny kolektywizm i słowianofilizująca krytyka cywilizacji zachodniej łączy się w niej z kultem techniki, z wizją całkowitego zapanowania nad przyrodą i naukowej „regulacji” wszystkich dziedzin życia. Utopia ta zrobiła olbrzymie wrażenie na Dostojewskim i Włodzimierzu Sołowjowie, a w czasach porewolucyjnych wywierała dość znaczny podskórny wpływ, dostarczając inspiracji sowieckim pisarzom utopijnym (s. 215). Gorących jej admiratorów znaleźć można również w dzisiejszej Rosji.

Trzecim wielkim źródłem rosyjskiego utopizmu były oczywiście zachodnie idee socjalistyczne, głęboko przyswojone i przetrawione przez przedrewolucyjną inteligencję rosyjską. Dla inteligencji tej idee socjalistyczne były ostatnim słowem uniwersalnego postępu, dyskredytacją realnych osiągnięć europejskiego liberalizmu oraz unikalną szansą dla Rosji – która, jak sądzono, dzięki socjalizmowi właśnie mogła przekształcić się z kraju zacofanego i peryferyjnego w awangardę ludzkości. Autorzy książki, niestety, traktują rosyjską tradycję socjalistyczną nieco po macoszemu. Co gorsza, skłaniają się ku niedocenianiu roli idei postępu w myśli rosyjskiej oraz znaczenia procesu sekularyzacji rosyjskiej kultury. Jak bowiem rozumieć twierdzenie, że związek utopii z procesem sekularyzacji charakterystyczny był dla Zachodu, podczas gdy w Rosji utopie rodziły się raczej z dosłownego zrozumienia obietnic Ewangelii? (s. 279). Pasuje to do Tołstoja, nieprzejednanego krytyka samej idei postępu, ale nie do radykalnej inteligencji rosyjskiej, która jako taka była przecież produktem sekularyzacji. Idea postępu stała się centralną ideą

2. „Moskiewski Sokrates”, Mikołaj Fiodorow (1829-1903), twórca pośmiertnie opublikowanej *Filozofii zbiorowego czynu*, był pracownikiem Biblioteki Rumiancewa w Moskwie.

dziewiętnastowiecznej myśli rosyjskiej dlatego właśnie, że była dla inteligencji substytutem utraconej wiary. Socjalistyczne utopie ziemskiego zbawienia zbiorowego i uzasadniające je teorie postępu spełniały w Rosji funkcję sekularyzacji i historycyzacji idei Królestwa Bożego. Ale dlatego też radykalna inteligencja rosyjska przejawiała szczególną nietolerancję wobec idei transcendentnego absolutu i zbawienia indywidualnego w ponaddziejowym „pionowym” wymiarze bytu. Sprawy te opisane zostały szczegółowo przez wielu wybitnych myślicieli rosyjskich, którzy przeżyli to od wewnątrz i których świadectwa podważyć nie sposób. Wystarczy przypomnieć klasyczne prace Sergiusza Bułgakowa, Mikołaja Bierdiajewa i Pawła Nowgorodcewa.

Brak pogłębionej analizy rosyjskiego socjalizmu uniemożliwił udzielenie jasnej odpowiedzi na pytanie o relację między sowieckim eksperymentem a ideologią marksistowską. Autorzy wyraźnie przychylają się do tezy o ideologicznym charakterze tego eksperymentu (co stawia ich w wyraźnej opozycji wobec „rewizjonistycznej” sowietologii anglosaskiej, programowo minimalizującej rolę idei w historii), uchylają się jednak od zajęcia stanowiska w sporach o ciągłość lub brak ciągłości między leninizmem, a klasycznym marksizmem, a następnie między leninizmem a stalinizmem. W dużej mierze tłumaczy się to stosunkowo niewielkimi rozmiarami książki oraz olbrzymim bogactwem omawianego w niej materiału literackiego. Jako przewodnik po utopiach i antyutopiach w porewolucyjnej literaturze rosyjskiej, zarówno sowieckiej jak i emigracyjnej, rozdział o „nowym świecie rewolucyjnym” jest pracą niezastąpioną. Trudno było jednak pogodzić zadanie literaturoznawcze z zadaniem wyjaśnienia charakteru i dynamiki rewolucyjnej utopii, a następnie „utopii u władzy”.

Nie znaczy to wszakże, iż przypisuję autorom brak stanowiska interpretacyjnego. Przeciwnie: w wielu kwestiach zajęli oni stanowisko bardzo wyraziste, wyrażone *implicite* w samej strukturze wywodu. Określenie przywódców sowieckich jako „marzycieli z Kremla”; rozpoczęcie rozdziału o czasach porewolucyjnych od (nazbyt skrótowej wprowadzie) prezentacji utopii Lenina z traktatu *Państwo a Rewolucja* oraz zdumiewająco utopijnego katechizmu Bucharina i Preobrażńskiego pt. *ABC komunizmu*; interpretacja „komunizmu

wojennego” jako próby natychmiastowej realizacji utopii (a nie pragmatycznego dostosowania się do warunków wojny domowej), zupełny brak złudzeń co do NEP-u, uwydatnienie utopijnych aspektów rewolucji kulturalnej, dostrzeżenie ich nawet w dojrzałym systemie stalinowskim, legitymizującym się komunistyczną utopią, a więc uzależnionym od niej; wszystko to dowodzi, że komunistyczna utopia potraktowana została przez autorów na serio – nie jako zwykły pretekst do zdobycia władzy, lecz jako klucz do zrozumienia wielofazowej dynamiki rosyjskiej rewolucji. Jest to dziś stanowisko dość odosobnione, zwłaszcza w krajach postkomunistycznych, gdzie przyzwyczajono się utożsamiać komunizm z rządami bezideowej nomenklatury.

Ostatni rozdział książki jest mniej wyrazisty, zdaje się jednak podpowiadać myśl, że odwrót od realizacji utopii, charakteryzujący „realny socjalizm” Breżniewa, był pierwszym krokiem na drodze prowadzącej do upadku systemu. Być może jednak jest to moja własna konkluzja, obszernie uzasadniona w mojej własnej książce o dziejach i upadku komunistycznej utopii³.

Tak czy inaczej, recenzowana książka zasługuje na uwagę nie tylko literaturoznawców. Nie jest łatwa, wymaga pewnego przygotowania, ale powinna zainteresować każdego, kto chce pogłębić wiedzę o kulturze rosyjskiej, rosyjskim komunizmie, lub utopiach w ogóle. Warto byłoby pomyśleć o przetłumaczeniu jej na język polski.

Andrzej WALICKI

3. Patrz A. Walicki, *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia*. Stanford Univ. Press, Stanford 1995, str. 641.

Interpretacją rosyjskiego komunizmu jako próby realizacji marksistowskiej utopii jest również książka Martina Malii (M. Malia *The Soviet Tragedy: A History of Socialism in Russia, 1917-1991*, Free Press, New York, 1994). Nie dostrzegł on jednak, że odwrót od utopii zapoczątkował długotrwały proces detotalitaryzacji systemu, a więc, że nie można utrzymywać, iż totalitarny komunizm sowiecki przetrwał w postaci nie zmienionej aż do roku 1991.

„Rzeczpospolita Pułaska”

1.
Powolne wrastanie literatury emigracyjnej w krajobraz pisarstwa krajowego jest procesem właściwie już przesądzonym. Coraz liczniejsze publikacje utworów dostępnych do niedawna tylko wybranym czytelnikom, czyli tym, którzy mieli kontakt z publikacjami wychodzącymi bądź „drugoobiegowymi”, sprawiają, iż żyjący poza krajem pisarze stają się – choćby za pośrednictwem bibliotek publicznych – ogólnodostępni. Także praca krytyków i literaturoznawców – często opóźniona ze względów cenzuralnych – wpisuje literaturę emigracyjną w codzienność naszego pisarstwa.

Na tym tle zarysowywać się zaczynają zjawiska odrębne, czasami nawet osobliwe czy egzotyczne. Do takich właśnie należy ten obszar literatury polskiej, który w swej najnowszej książce Adam Czerniawski określa jako „Republikę Pułaską”. Jej mieszkańcami są przedstawiciele grupy określanej przez krytykę mianem „grupy Kontynentów”. Jej specyfika polega na tym, iż należą do niej pisarze, którzy debiutowali nie zakorzenieni w polskim krajobrazie kulturalnym, dla których stanowił on dość odległy punkt odniesienia. Przynajmniej część członków tej grupy ma poczucie własnej odrębności. Tak właśnie uważa też Czerniawski stwierdzając, że „pokolenie Buszów i Czaykowskich jest dość specyficzne. Więcej – w historii polskiej kultury niespotykane”. Jednym z wyróżników grupy staje się „brak obsesji polskości w poezji egzulów mojego pokolenia, wybytych ‘ tęsknoty do gniazda’, jak to kiedyś ujął w rozmowie ze mną Jan Darowski”. I wreszcie stwierdzenie najbardziej dobitne: „Ale dlatego też odrębność w oczach polskich czytelników i krytyków wydaje się tym znaczniejsza”.

Ich poezja była niemal od debiutu dostrzeżona w kraju – przenikała za pośrednictwem Zawieyskiego, także Karpowicza, który ją drukował w *Nowych Sygnałach* czy Drozdowskiego, który poświęcił jej kilka artykułów na łamach *Współczesności*. Na wychodźstwie opublikowana została antologia „Ryby na piasku” mająca już w tytule

eksponować specyfikę sytuacji tej grupy. W 1965 ukazuje się w kraju inna antologia grupy – „Opisanie z pamięci”, zredagowana przez Lama, w której, jak pisze Czerniawski, prócz wierszy członków grupy „z niezrozumiałych względów (...) znalazły się wiersze Jerzego Niemojowskiego”, zabrakło zaś utworów tych pisarzy, którzy zdecydowali się na powrót do kraju – Sity oraz Ihnatowicza.

Nie jest jednak ta twórczość tak zupełnie od krajowej poezji odległa. I jeśli Czerniawski dostrzega u Czaykowskiego – w szkicu pisany w roku 1990 – „świadomość archetypiczną”, to warto pamiętać przecież, że już w końcu lat pięćdziesiątych podobną konstrukcją dla swego neoklasyzmu tworzył Jarosław Marek Rymkiewicz, przedstawiciel tego samego pokolenia. Zbieżności łączących pisarzy grupy „Kontynentów” z ich krajowymi rówieśnikami można by odnaleźć więcej – należą do nich np. podziw dla Norwida i jednoczesne zdystansowanie się wobec romantyzmu (np. w szkicach Grochowiaka). Niemniej z pewnością można mówić o specyfice tej grupy – przynajmniej w momencie debiutu, gdyż później poezja większości skupionych tu autorów weszła w wielowymiarowe relacje z twórczością powstającą w kraju, m.in. zaczęła żywo czerpać z doświadczeń Różewicza, także Herberta czy Karpowicza.

Z pewnością jeszcze w początkach lat sześćdziesiątych istniała jednak opisywana przez Czerniawskiego „Republika Pułaska”.

2.

Sam Czerniawski jest jednym z jej najbardziej twórczych przedstawicieli. Poeta i krytyk, jednocześnie wytrawny tłumacz Różewicza, ma – podobnie jak Bolesław Taborski – silnie wszczepione poczucie odrębności. Mniej w kraju znany od publikujących tu wcześniej i dość często Taborskiego i Śmieji, jest zarazem krytykiem towarzyszącym swym kolegom po piórze – omawia kolejne tomy i utwory swych kolegów: Ihnatowicza, Darowskiego czy Czaykowskiego – krytycznie, wnikliwie, często polemicznie, zarazem jednak dążąc do pochwycenia zjawisk najważniejszych. Jednym z takich sądów wysoko wartościujących dorobek innego poety jest wysoka ocena przyznana wierszowi „Do Adama Czerniawskiego” Bogdana Czaykowskiego: „Tak się dla mnie (i dla Czaykowskiego) szczęśliwie składa, że jest utworem wybitnym. Zaliczony zostanie do wielkich osiągnięć liryki polskiej naszych czasów”.

Przyznać trzeba, że tego rodzaju jednoznaczne sądy należą w naszej krytyce do rzadkości. I pomijając fakt, iż wysoka ocena tego akurat wiersza Czaykowskiego jest pod piórem jego adresata dość pretensjonalna, należy dostrzec jednak odwagę wypowiedzenia sądów z natury rzeczy ryzykownych. Odwaga krytyczna Czerniawskiego potwierdzona została zresztą w jego rozprawie z „Panem Cogito” Herberta – cykl ten uznaje krytyk za niezbyt udany, zaś kreację Herbertowskiego bohatera uznaje za wewnętrznie sprzeczną i nie służącą „żadnemu oczywistemu celowi”. Tak surowa ocena jednego z najbardziej popularnych w Polsce (a także na świecie) tomów poetyckich (dokonana już w 1974 roku) świadczy o zdolności podejmowania krytycznego ryzyka. Co nie oznacza, iż analizę Czerniawskiego można przyjąć bez zastrzeżeń. Gdy pisze autor o tym, iż w tytule pojawia się paradoks, który „wyraża zdanie ‘Pan Ja Myślę’”, należałoby spytać, na jakiej podstawie tę konstrukcję uznaje Czerniawski za zdanie w sensie logicznym (czy choćby tylko gramatycznym). Nie miejsce tu na dyskusję analizy Czerniawskiego – sygnalizuję jedynie ten problem. Z drugiej strony jego opinia o „Panu Cogito” wydała się interesująca. Herbert jest poetą co prawda wysoko cenionym, jednakże warto dotychczasowe sądy krytyczne na temat jego twórczości przewietrzyć. Nie sądzę, by miał rację Czerniawski, gdy sugeruje, iż twórczość autora „Trenu Fortynbrasa” zawdzięcza swe powodzenie przede wszystkim (a w każdym razie w dużej mierze) dysydenckiej postawie pisarza (co daje mu wedle krytyka – lub dawało dotąd – na międzynarodowym rynku przewagę nad np. Różewiczem), lecz z pewnością opinie poświęcone zwłaszcza cyklowi o Panu Cogito domagają się dziś jeśli nie rewizji, to w każdym razie sprawdzenia.

Tom Czerniawskiego, w którym m.in. pomieścił autor rozprawę z „Panem Cogito” – „Muzy i sowa Minerwy” – to przedstawienie podstawowych punktów odniesienia krytycznej praktyki pisarza. Rozpoczynają go szkice poświęcone Norwidowi jako poecie niedoczytanemu, a zarazem na swój sposób patronującemu autorowi. Interesujące wydaje się, iż Czerniawski, podkreślając walory intelektualne tej liryki, odczuwa zarazem potrzebę jej obrony: „Otóż – pisze – poezja intelektualna nie jest zaprzeczeniem istoty poezji, poezja intelektualna nie musi być ex definitione poezją pozbawioną uczucia”. Ta obrona uczuciowości wydaje się być dla krytyka charakterystyczna – wiele jego sądów o innych pisarzach wła-

nie do owej uczuciowości się odwołuje, choć często stara się Czerniawski swe emocje ukryć w pozornie bezstronnych i obiektywizujących tekst analizach (tu zresztą, co wyjątkowo cenne, często zestawia autorów polskich z poetami kręgu języka angielskiego). Tak naprawdę jednak jego pejzaż liryczny to świat wyznaczony przez doświadczenia osobiste, w tym przede wszystkim doświadczenia emigracyjne. Nie przypadkiem właśnie otwiera tom odwołaniem do Norwida – tu odnajduje początki „poezji tzw. nowoczesnej” – w którym znajdujemy sąd niestety przenikliwy: „Do dalszej izolacji Norwida od głównego nurtu poezji polskiej i wynikających z tego nieporozumień przyczynił się jego pobyt nie tyle już ‘na emigracji’, co ‘na Zachodzie’. Przejęcie – ale i krytyka – cywilizacji zachodniej okazują się dla Czerniawskiego w poezji Norwida tymi wartościami, które nie są dostrzegane w recepcji autora „Promethidiona”. One różnią Norwida od klasyków polskiej poezji romantycznej, wyraźnie mniej przez krytyka cenionych, nie mieszczących się zresztą w przestrzeni Republiki Pułaskiej.

To republika poetów oddających się poezji czystej. Nie bez powodu, skoro, jak czytamy w tytułowym szkicu tomu „filozofia wyrosła z poezji”. Jej światy nie podporządkowują się ani stwarzanym przez człowieka instytucjom, ani logice. Ale – czytamy dalej – „właśnie dlatego, że język nie kopiuje niewolniczo otaczającego nas świata, że jest od tego świata w jakiś (niezupełnie jasny) sposób niezależny, my świat zastany możemy częściowo przynajmniej tworzyć i przetwarzać”. Te wnioski nie są zapewne nowe, lecz z pewnością słuszne. Można dodać więcej: dzięki owej niezależności języka możemy w poezji zwłaszcza kreować światy własne, wobec świata zastanego autonomiczne o tyle, o ile w ogóle możliwa jest autonomia jednostki. Muzy pobudzają rozum, rozum stanowi dla Muz wyzwanie. To, jak się zdaje, podstawowe założenia poetyckiej filozofii Czerniawskiego.

3.

Wspomniałem wyżej o poetyckiej filozofii. W odniesieniu do utworów samego Czerniawskiego można by mówić o poezji filozoficznej. To bez wątpienia właśnie owa poezja intelektualna wyrosła z Norwidowego pnia. Zapewne: można by jej korzeni poszukiwać głębiej: u Kochanowskiego, Sępa czy niektórych przynajmniej twórców baroku. Później także u

późnego Słowackiego i – o paradoksie – w liryce Leśmiana. Wreszcie – by przy tym pozostać – rozwinąć ten ciąg można poprzez Staffa do Różewicza. To jest bez wątpienia ta linia, która wyznacza kierunek poszukiwań Czerniawskiego. Charakteryzuje ją spięcie toku myślenia typowego dla traktatu z rzutami wizyjnej wyobraźni. Pojawia się tu poeta, który:

wyszedł na światło

sam stał się jasny

oślepił

stojących zbyt blisko

(„Tajemnica”)

Czerniawski, jak słusznie zauważył Krzysztof Karasek, „jest jednym z najbardziej świadomych poetów we współczesnej polskiej poezji, świadomym środków i ograniczeń sztuki poetyckiej”. Ta świadomość może być siłą poety, może jednak stanowić zagrożenie dla jego twórczości. Świadomość ograniczeń poezji może jednak pozbawić artystę zmysłu ryzyka, tej szczypty szaleństwa, która granice nakazuje przekraczać. Tak też działo się w tej poezji do chwili pojawienia się tomu „Wiek złoty” („Jesień”): tu Czerniawski wreszcie zaufał swej intuicji, czego efektem włączenie do zbioru świetnego cyklu „Komentarzy”, utworów wiążących z sobą esej i poezję. Otwiera się tu nowy obszar lirycznych poszukiwań, powstają całości, z których nie da się wyłuskać cytatu, fragmentu tak, by nie burzyć delikatnej i zarazem trwałej konstrukcji znaczeniowej. Otwiera się też, zagubiony wcześniej, ton na skroś osobisty. Odsłaniają się pokłady uczuciowości, przesłonięte przez przyjętą dotąd – i zresztą skutecznie stosowaną – konwencję *poesia docta*. Te „próby poetyckie”, jakimi stają się utwory z cyklu „Komentarze”, cechuje zarazem odwaga intelektualna i emocjonalna. To jakby sprawdzanie nośności znaczeniowej i poznawczej nowej formy lirycznej.

Poezja Czerniawskiego zaczyna stawiać sobie – i nam – dramatyczne pytania, których sens przetłumaczyć można chyba w sposób następujący: jak świadomie istnieć naturalnie? W jaki sposób, dźwigając pamięć kosmosu i pamięć ludzkiej kultury, swą wiedzę zmienić w nowe „stań się” poetyckiego świata? Tak chyba właśnie odczytać można ostatnie wersy poematu „Lustra i refleksje”.

*Jak się wydostać
ze szponów refleksji? Spalić muzea,
mieć pamięć motyla, zrzucić nadwagę
pojęć i zdań, czyli stracić także
doznania zmysłowe, kochać nieświadomie,
być spletem narządów, reakcji, być nie sobą,
nie wiedzieć o niczym.*

To, zdaje się, wreszcie te zadania, jakie pojawiają się przed mieszkańcami Rzeczypospolitej Pułaskiej, teraz otwartej, czekającej na nowych mieszkańców, którzy, uwolnieni od dotychczasowych podziałów, mogą się przeprowadzić z „Danii, która jest więzieniem” do kraju poezji. Każdy poeta jest emigrantem, który poszerza tym samym granice swej krainy, z której wyrusza w świat. Takim też emigrantem jest Czerniawski.

Leszek SZARUGA

Adam Czerniawski: „Muzy i sowa Minerwy”, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995, s. 244.

Adam Czerniawski: „Poezje zebrane”, Wyd. Biblioteka, Łódź 1993, s. 278.

Śpiewać każdy może...

Mieszane uczucia wywołała we mnie lektura pracy Władysława i Norberta Gillów pt. „Stosunki Polski z Ukrainą w latach 1989-1993”*. Teoretycznie nie powinna być zła. W spisie treści autorzy uwzględnili krótki rys historyczny (naprawdę krótki: omówienie historii Ukrainy od początku XX wieku do połowy lat 80-tych zajęło im niecałą stronę), stosunki polityczne, gospodarcze, kulturalne oraz sytuację Ukraińców w Polsce i Polaków na Ukrainie. Jest nawet aneks,

* Władysław Gill, Norbert Gill, „Stosunki Polski z Ukrainą w latach 1989-1993”, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1995.

w którym, również teoretycznie, powinny znajdować się najważniejsze dokumenty dotyczące współczesnych stosunków polsko-ukraińskich. Tak, teoretycznie, książka pp. Gillów mogłaby być zwięzłym kompendium wiedzy o polskiej polityce wobec Ukrainy. Mogłaby być, jednak śmiem twierdzić, że w szalenie ograniczonym zakresie może spełniać taką rolę.

Ale po kolei. Omawianie „Stosunków Polski z Ukrainą...” rozpoczną może od sprawy drobnej lecz niezwykle denerwującej. Literówki, literówki czy redakcyjne niechlujstwo. Chochlik drukarski sprawił, że napotykałyśmy informację o Międzynarodowym Bloku Reform (s. 10) a nie Międzyregionalnym Bloku Reform jako ugrupowaniu, które popierało Kuczmę w wyborach. Wicepremier Ukrainy nazwany jest N. Żuliński (s. 28) pomimo, że historia zna tylko Mykołę Żułyńskiego. Mówi się o piśmie *Nad Bohom i Narwoju* (s. 66) a istnieje tylko *Nad Buhom i Narwoju*. Łukańsk (s. 81), to, oczywiście, Ługańsk, itd. Ale tu mamy jeszcze prostą sprawę, denerwującą, ale prostą.

Na pewno jednak nie mamy do czynienia z literówkami kiedy napotykałyśmy informację, że 20% głosujących w referendum 1 grudnia 1991 roku opowiedziało się za niepodległością Ukrainy (s. 21). Autorzy zdają się nie mieć świadomości, że gdyby tylko 20% obywateli Ukrainy było za niepodległością to Ukraina do tej pory byłaby republiką sowiecką. Informuję, że ponad 80% Ukraińców opowiedziało się w grudniowym referendum za niepodległością swojego państwa.

Wbrew kategorycznemu stwierdzeniu autorów (s. 11) przewodniczący rad wszystkich szczebli nie są wybierani w wyborach powszechnych. Informuję autorów i czytelników, że przewodniczącego Rady Najwyższej wybiera sama Rada Najwyższa. Podobnie jest w przypadku rad innych szczebli.

Kuriozalne jest stwierdzenie, że wzajemne wizyty polskich i ukraińskich mężów stanu zapoczątkował 4 października 1991 roku premier Ukrainy Witold Fokin (s. 23). Rozumiem, że Poznań jest daleko od Warszawy i autorzy omawianej pozycji mogli nie słyszeć o spotkaniu polskich i ukraińskich parlamentarzystów w maju 1990 roku w Jabłonnej koło Warszawy. Jednak jeżeli już podjęli się trudu opisanego polsko-ukraińskich stosunków to dowiedzieć się o tym spotkaniu powinni. Przede wszystkim dlatego, że było to pierwsze, od ponad 60-ciu lat spotkanie autentycznych przedstawicieli obu narodów. Polska strona na owym spotkaniu była reprezentowana przez Obywatelski Klub Parlamentarny.

Z Ukrainy zaś przyjechali wtedy do Polski nowo wybrani deputowani ludowi, liderzy opozycji m.in. Iwan Dracz (przewodniczący Ruchu), Dmytro Pawłyczko (już wkrótce przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych ukraińskiego parlamentu), Mychajło Horyń (szef sekretariatu Ruchu), Bohdan Horyń (późniejszy wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych), Wiaczesław Czornowił (wtedy szef Obwodowej Rady Deputowanych Ludowych we Lwowie). Bliższą informację o spotkaniu można znaleźć w piśmie *Zustriczi* nr 3-4 z 1990 roku.

Zupełnym milczeniem autorzy kwitują politykę rządu Tadeusza Mazowieckiego wobec Ukrainy. A przypomnijmy, że wypracowana wówczas w resorcie spraw zagranicznych koncepcja polityki dwutorowej: równoległej wobec moskiewskiego centrum i wobec republik była wtedy stosunkowo nowatorska. A wzajemne wizyty „mężów stanu” rozpoczął minister Skubiszewski składając jeszcze w 1990 roku pierwszą oficjalną wizytę w Kijowie. Myślę, że przy okazji trzeba podkreślić, iż mimo że polityka wschodnia zawsze była po 1989 roku krytykowana, to jednak pewien dorobek w tej dziedzinie mają gabinety Mazowieckiego właśnie oraz Hanny Suchockiej. Zwolennicy porozumienia polsko-ukraińskiego nie zapomną też Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu, że jego rząd jako pierwszy na świecie uznał niepodległość Ukrainy.

Na s. 50 napotykamy informację (tu nie mogę powstrzymać się od cytatu), że „Zasypywanie państwa dekretemi rządu premiera Leonida Kuczmy spowodowało głęboką zapaść w przemyśle, rolnictwie, szczególnie w dziedzinie paliwowo-energetycznej”(?!). Tu ręce już opadają. Ponieważ zapaść, owszem, była, ale wynikała ona nie z dekretów Kuczmy a z posunięć ówczesnej Rady Najwyższej, a w szczególności z uchwalonych przez nią ulgowych kredytów dla rolnictwa (początek 1993 roku). Wprowadzono wtedy do obiegu dodatkowo bilion karbowanów. Natychmiastowym skutkiem tej operacji była hiperinflacja. Jeżeli zaś chodzi o surowce energetyczne to Ukraina do chwili obecnej niemal zupełnie zdana jest na dostawy ropy i gazu z Rosji. Za towary te Rosja żądała i żąda pieniędzy. A z płatnościami Ukraina miała kłopoty. Na marginesie, to właśnie rząd Kuczmy zaproponował na początku 1993 roku pierwszy program radykalnych reform gospodarczych na Ukrainie. Program ten dopiero teraz może być realizowany.

Autorzy omawianej pozycji z radością informują czyteln-

ków, że we Lwowie funkcjonuje lokalny program radiowy w języku polskim w wymiarze 7 godzin tygodniowo i że dwa razy w miesiącu są audycje w Czerniowcach (s. 84). Otóż spieszę donieść, że we Lwowie jest polska audycja, ale jest to tylko jedna godzina na tydzień, zaś w Czerniowcach są emitowane polskie audycje dwa razy, lecz nie w miesiącu, a w roku na Święta Wielkanocne i Bożonarodzeniowe.

Zadziwia bezkrytyczne przywoływanie, słynnego swego czasu, raportu amerykańskich służb wywiadowczych, w którym prorokowały rozpad Ukrainy do końca 1995 roku. Mamy, dzięki Bogu, połowę roku 1995 i nic nie wskazuje, żebyśmy w najbliższym czasie mieli być świadkami apokalipsy na wschodzie. Szkoda, że poznańscy badacze nie skonfrontowali dwóch faktów: publikacji raportu i międzynarodowych nacisków na Ukrainę by ratyfikowała układ o nierozprze-strzenianiu broni nuklearnej.

Dość o błędach rzeczowych. Poprzestańmy na wyżej przytoczonych przykładach. Przejdźmy do rzeczy bardziej zasadniczych. Nawet po pobieżnej lekturze widać, że autorzy nie dają sobie rady z tematem, który ambitnie sobie zakreslili. Nie ogarniają materiału i nie mają jasnej koncepcji, jak i co chcą opisywać w stosunkach polsko-ukraińskich. Z braku jasnej koncepcji bierze się, na przykład, włączenie do rozdziału o stosunkach politycznych – informacji o ważnej, ale jednej z wielu, konferencji historyków polskich i ukraińskich. Ale to szczegół. Ponadto autorzy nie wiedzą o czym chcą pisać: czy tylko i wyłącznie o oficjalnych stosunkach międzyrządowych czy też o całości stosunków polsko-ukraińskich. I tak, akcentując głównie kolejne wizyty-oficjalne, od czasu do czasu znienacka, bez ostrzeżenia, wrzucają informację o jakiejś inicjatywie pozarządowej. W ten sposób dowiadujemy się o krynickich Forach Biznesu Polska – Wschód, działaniach Fundacji Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej czy Tygodniach Kultury Ukraińskiej w Lublinie. I, oczywiście, to dobrze. Tyle tylko, że wypada zapytać dlaczego tylko te inicjatywy znalazły uznanie autorów. A gdzie wkład w dialog polsko-ukraiński chociażby Fundacji Bato-rego, gdzie Towarzystwo Pomost i tyle innych inicjatyw? Na szczęście nie możemy narzekać na brak polsko-ukraińskich inicjatyw pozarządowych. Tyle tylko, że trzeba by sobie zadać trochę trudu by przeprowadzić przynajmniej wstępną ich inwentaryzację.

Autorzy nie hierarchizują faktów, które omawiają. Rzeczy

ważne sąsiadują z błahymi lub wspomina się o nich jakby mimochodem. Tak stało się np. z wystąpieniem premier Hanny Suchockiej w Ośrodku Studiów Wschodnich 31 sierpnia 1993 roku. A wystąpienie to było niezwykle ważne. Po raz pierwszy od czasów rządu Mazowieckiego przedstawiono kompleksową wizję polskiej polityki zagranicznej, w której Ukraina miała bardzo ważne miejsce.

W kontekście tego, co do tej pory napisałam, raczej zabawne jest, że Norbert Gill uważa, iż temat polsko-ukraińskich stosunków kulturalnych wyczerpuje działalność kulturalna mniejszości ukraińskiej w Polsce. Mnie wydawało się, że w rozdziale tym powinny się raczej znaleźć informacje o obecności ukraińskiego teatru w Polsce, literatury ukraińskiej, filmu, muzyki itp. A gdyby było jeszcze porównanie jak się przedstawia nasza obecność kulturalna na Ukrainie, to byłoby już rozkosznie. Byłoby, ale nie jest. O obiegu kulturalnym z prawdziwego zdarzenia nie dowiemy się z omawianej publikacji niczego.

Dokumenty zestawione w aneksie są tak przypadkowe jak przypadkowa jest konstrukcja całej książki: a to traktat o dobrym sąsiedztwie (jak najbardziej słusznie), a to protokoły o współpracy między ministerstwami kultury, a to uchwały sejmowe, a to deklaracje historyków...

I rzecz ostatnia. Źródła. Autorzy najczęściej cytują rzecz Józefa Darskiego „Ukraina. Historia, współczesność, konflikty narodowe”, „Mniejszości narodowe w Polsce w 1993 roku” biuletyn Biura d/s Mniejszości Narodowych, informator „Ukraińcy w Polsce 1989-1993. Kalendarium. Dokumenty. Informacje” oraz pracę Adama Hlebowicza „Kościół odrodzony”. Przywoływana jest prasa. Jednak, wydaje się, że autrzy w ogóle nie przeprowadzili czegoś co nazywa się krytyką źródeł. W związku z czym mamy również w „Stosunkach Polski z Ukrainą...” do czynienia z powielaniem błędnych informacji, które autorzy zaczerpnęli z źródeł na które się powołują. Dotyczy to niektórych informacji zaczerpniętych z książki Darskiego. Tak np. N. Gill podaje za Darskim informację, iż „Reforma rolna polegać będzie na tworzeniu dużych, 50-ha gospodarstw farmerskich, opartych na wieczystej własności ziemi, obok własności „kołchozowej”. Sabotaż ze strony kierowników kołchozów uniemożliwia realizację tych przedsięwzięć, a tysiące rolników czeka na przydział ziemi” (s. 50).

O ile Darski, publikując swoją książkę w 1993 roku,

mógł się łudzić, że jeden z projektów „reformy rolnej” zdynamizuje ukraińskie rolnictwo, to przytaczanie jego sądu, wbrew faktom, w 1995 roku jest co najmniej lekkomyślne. Albowiem trudno wyobrazić sobie reformę rolną z prawdziwego zdarzenia w sytuacji kiedy nie wprowadza się gwarancji ustawowych dla prywatnej własności ziemi, a takich gwarancji na Ukrainie nie ma. „Wieczysta własność”, o której mowa, jest niczym innym jak tylko jedną z form dzierżawy ziemi. Osobnym problemem jest kwestia infrastruktury. Otóż rolnik aby przejąć ziemię musi mieć kapitał, sprzęt oraz, co najważniejsze, musi mieć odwagę by żyć na własny rachunek. A tradycje indywidualnego rolnictwa zostały na Ukrainie dość radykalnie zniszczone. Kolejek po ziemię nie ma, nawet na zachodniej Ukrainie, a cóż dopiero mówić o Ukrainie wschodniej.

Odrębnym problemem jest czy można pisać o stosunkach Polski z Ukrainą zupełnie pomijając źródła ukraińskie. Ale być może o tym można dyskutować.

Pora na podsumowanie. Była kiedyś taka popularna piosenka kabaretowa „Śpiewać każdy może trochę lepiej lub trochę gorzej...” Tylko dlaczego od razu wydawać książkę?

Warszawa 11 sierpnia 1995

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Kobieta sukcesu

Aleksandra Ziółkowska-Boehm jest pisarką i dziennikarką, autorką książek o Wańkowiczu, któremu sekretarzowała, o Ameryce i o Kanadzie. Obecnie mieszka w Stanach i ogłosiła „Ulicę Żółtego Strumienia”^{*} – dziennik bieżących

^{*} Aleksandra Ziółkowska-Boehm: „Ulica Żółtego Strumienia”. Dom Książki w Warszawie, Warszawa, 1995, str. 472. Fotografie białe i kolorowe. ISBN 83-900358-5-5.

wydarzeń połączony z autobiografią. Początkowe partie nawiązują do zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Zakończenie odnotowuje zgon Jacqueline Kennedy Onassis. W tej samej części książki znajduje się notatka o wyznawcach Krishny, którzy tańczą i śpiewają „Hare Krishna, Hare Krishna”. Jest też wycinek z lokalnej gazetki, podarowany przez sąsiadkę. Wycinek zawiera wywiad z osiemdziesięcioletnią staruszką z hrabstwa (sic!) Kentucky, który autorka przetłumaczyła. Nie jest to wywiad, ale wiersz. Jakoż mniejsza. Zakończenie jest typowym przykładem stylu Ziółkowskiej-Boehm, która ma niepohamowaną potrzebę pisania o wszystkim.

„Ulica Żółtego Strumienia” obfituje w szczegółowe opisy codziennych czynności, zwyczajów świątecznych, uroczystości religijnych. Całe strony wypełnione są imionami koleżanek, zwierzątek, tytułami oper, operetek i książek, które były przedmiotem panięńskich urzeczzeń. Uczucia rodzinne dokumentują opisy matki, ojca, ciotek, babci, braci ich żon i dzieci. (Oddzielne miejsce zajmuje Tomek, syn autorki.) Streszczenia książek, korespondencja przytaczana we fragmentach lub w całości sąsiaduje z wierszykami przepisanyymi z uczniowskich pamiętniczek i z czułymi liścikami od męża. Plotki, stroje, napoje, potrawy, hotele wyszczególnione zostały z nadzwyczajną starannością. Obszernym relacjom towarzyszą sentencje w rodzaju: „Tak miło jest otrzymywać listy od przyjaciół z Polski”, albo „Nauczyciel znający sztukę nauczania, wymagający i o dużej wiedzy, to wielka wygrana dla uczniów”. Nie brak uniesień wyjętych prosto z powieści dla pensjonarek: „W czasie ślubu (Norman, M.E.C.) miał oczy pełne łez... Był przejęty i głos mu drżał. Ja – patrzyłam na niego z zachwytem”.

Imponujący jest rejestr znakomitości. Nazwiska uczestników spotkań, mszy, zebrań mogłyby zdobić najświetniejsze przyjęcia dyplomatyczne. Rozmowy z nimi są oczywiście bardzo interesujące, a listy pochlebne i miłe (ulubione słowa autorki). Profesor Tatarkiewicz powiedział m.in. „Wygląda pani zawsze jak świeżo po umyciu, co jest wielkim komplem”, a Brzeziński „Podkreślił zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie po wydarzeniach 1981 r.

Jedyną (podkr. M.E.C.) plamą w stosunkach amerykańsko-polskich była Jałta (...)”. Miłosz i Singer podzielili się nie mniej doniosłymi spostrzeżeniami.

Ta osobliwa mieszanka kroniki towarzyskiej z wynurzeniami osoby olśnionej wielkim światem powoduje, że sprawy o których autorka potrafi pisać interesująco zbyt często stykają się z banałem. A przecież strony poświęcone Wańkowiczowi odznaczają się spontanicznością i darem charakterystyki. Jego styl życia, humor, praca, boje z cenzurą i różnego rodzaju zawistnikami, umiejętność przekazywania doświadczeń mają barwę i dynamikę. Walor poznawczy posiadają fragmenty związane z życiem Polonii kanadyjskiej. Ziółkowska-Boehm zajmując pisze m.in. o senatorze Stanleyu Haidaszu, lekarzu i społeczniku, który potrafił tę Polonię reprezentować i przyczynił się do rozwoju jej świadomości. Niebanalne są również uwagi na temat Polski widzianej z oddali i z bliska. Autorka cieszyła się swobodą poruszania się po świecie. Patrzy więc na kraj inaczej niż jego mieszkańcy. Umie zdobyć się na dystans w ocenie sytuacji a jednocześnie nie traci poczucia głębokiej z nim więzi.

Żeby wydobyć z „Ulicy Żółtego Strumienia” to, co istotne, należałoby dokonać skrótów. Dziwne, że doświadczona pisarka i dziennikarka nie odczuwała takiej konieczności. W kształcie, w jakim się ukazała, książka przypomina autobiografię osobistości filmu i sportu wypełnione popularyzowaniem sukcesu. A sukces życiowy Ziółkowskiej-Boehm jest niewątpliwy. Umiała spożytkować szansę która wyłoniła się dzięki współpracy z wybitnym człowiekiem. Obracała się wśród elity intelektualnej w Polsce. Nawiązała kontakty ze sławnymi ludźmi za granicą. Podróże, dorobek pisarski, udany syn, kochający mąż – wszystko jak na kolorowych fotografiach widniejących na końcu „Ulicy Żółtego Strumienia”, która sukcesem nie jest.

Maja E. CYBULSKA

Nadane nowe wydawnicze

- MUTHESIUS (Stefan). *Polska - Art, Architecture, Design - 1966-1990*. Album - tekst w językach polskim, angielskim, francuskim i niemieckim. Str. 221 i 4 nlb. (Wyd. Karl Robert Langewiesche Nach. Hans Köster Verlagsbuchhandlung KG, Königstein im Taunu 1994).
- Zielona granica*. Polsko-saksońska antologia poetycka (w języku polskim i niemieckim). Wybór i opracowanie Ernest Dybcezek. Str. 122 i 2 nlb. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- JANKO (Anna). *Zabici czasem długo stoją*. Wiersze. Str. 64. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Wydanie drugie przejrzane i uzupełnione. Tom 5 - *Województwo wołyńskie*. Str. 698 i 2 nlb. Tom 6 - *Województwo belskie, Ziemia Chełmska województwa ruskiego*. Str. 438 i 2 nlb. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1994 i 1995).
- TRZECIAKOWSKI (Wiesław). *Książę pisze list*. Wiersze. Str. 64. (Wydano nakładem Autora, Bydgoszcz 1994).
- TRZECIAKOWSKI (Wiesław). *Ogród moralny*. Wiersze. Str. 86 i 2 nlb. (Wydawnictwo TANAN, Bydgoszcz 1995).
- KOZIK (Edward). *Na gościnnej ziemi*. Powieść - t. 1. Str. 444. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1995).
- BORUTA (Mirosław). *Polacy o i dla niepodległości wschodnich sąsiadów Rzeczypospolitej*. Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo POMOST, Kraków 1995).
- DARSKI (Józef). *Białoruś*. Historia, współczesność, konflikty narodowe. Str. 106 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Polityczny, Warszawa 1995).
- KRAŠKO (Tadeusz). *Z Adamem Zielińskim wiedeńskie rozmowy*. Str. 128. (Wyd. Oficyna Cracovia, Kraków 1995).
- SKÓRZYŃSKI (Jan). *Uгода i rewolucja. Władza i opozycja 1985-1989*. Str. 302 i 10 nlb. (Wyd. Presspublica, Warszawa 1995).
- LITWA '95. *Poradnik dla przedsiębiorców*. Str. 224 i 8 nlb. (Wyd. Presspublica i Polsko-Litewska Izba Gospodarcza, Warszawa 1995).
- MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Str. 394 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- CZAJKOWSKA (Barbara). *Będziesz jedna jedyna...* Str. 309 i 11 nlb. (Wyd. Janusz Obląkowski, Piaseczno 1995).
- GOSK (Hanna). *A gdy to wszystko zapomnę...* Szkice o polskim piśmiectwie emigracyjnym XX wieku. Str. 142 i 6 nlb. (Wyd. Świat Literacki, Izabelin 1995).
- CIOŁKOSZOWA (Lidia). *Spojrzenie wstecz*. Rozmowy przeprowadził Andrzej Friszke. Str. 398 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Świadkowie XX wieku”, Paryż 1995).
- BOYES (Roger). *Nagi prezydent*. Życie polityczne Lecha Wałęsy. Tłum. z angielskiego. Str. 370 i 8 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1995).
- ADAMIEC (Marek). *Bez namaszczenia*. Książki i literatura polska. Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1995).
- CHARKIEWICZ (Jarosław). *Bractwo młodzieży prawosławnej w Polsce*. Zarys działalności organizacji w latach 1980-1994. Str. 96 i 8 nlb. - mapy i wykresy. (Wyd. Stowarzy-

- szanie Młodzieży Prawosławnej w Polsce, Białystok 1995).
- STANKIEWICZ (Mamert). *Z floty carskiej do polskiej (wspomnienia)*. Przedmowa J.K. Sawicki. Str. 452 i 20 nlb. - fotografie. (Wyd. Wyższa Szkoła Morska w Gdyni, Seria: Księgi floty polskiej, Gdynia 1995).
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Krzyże z obcego drzewa*. Str. 170 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka Patria, Warszawa 1995).
- WALICKI (Andrzej). *Filozofia prawa rosyjskiego liberalizmu*. Przekład Janusz Stawiński. Str. 496. (Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1995).
- Sporne postaci polskiej literatury współczesnej - Następne pokolenie*. Redakcja: Alina Brodzka i Lidia Burka. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995).
- ZIELIŃSKA (Marta). *Warszawa - Dziwne miasto*. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995).
- NYCZ (Ryszard). *Tekstowy świat*. Poststrukturalizm a wiedza o literaturze. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995).
- KLOCH (Zbigniew). *Spory o język*. Str. 224. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995).
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Dramat Piłsudskiego - Wojna 1920*. Wydanie II rozszerzone, przedmowa Jerzego Giedroycia. Str. 318 i 44 nlb. - reprodukcje tekstów i fotografie. (Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1995).
- SMULSKI (Jerzy). *Pękanie lodów*. Krótkie formy narracyjne w literaturze polskiej lat 1954-1955. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1995).
- IWAŃSKA (Alicja). *Kobieta z firmy*. Sylwetki 5 kobiet z AK pracujących w wywiadzie i kontrwywiadzie. Str. 122 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja
- Kulturalna, Londyn 1995).
- WRONA (Janusz). *System partyjny w Polsce 1944-1950*. Str. 348. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- Mentalność rosyjska*. Słownik. Opracował i redagował Andrzej Lazari. Str. 120. (Wyd. „Śląsk”, Katowice 1995).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Portret wenecki*. Trzy opowiadania. Str. 96. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- Kreowanie świata w tekstach*. Redakcja: Andrzej Maria Lewicki i Ryszard Tokarski. Str. 266 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- KOWALIOW (Sergiej). *Byłem w Czechenii*. Wybór i opracowanie Tomasz Kizny, Piotr Mitzner. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza P.T., Podkowa Leśna 1995).
- WAŁĘSA (Lech). *Wszystko co robię, robię dla Polski*. Przemówienia, posłania, listy 1990-1995. Str. 302 i 6 nlb. (Wyd. Kancelaria Prezydenta R.P., Warszawa 1995).
- NIE! - i Konformiści*. Oblicza sztuki radzieckiej lat 50 do 80. Wprowadzenie - Piotr Nowicki. Album w trzech językach: angielskim, rosyjskim i polskim. Str. 446 i 2 nlb. (Fundacja Polskiej Sztuki Nowoczesnej Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1994).
- ZAKRZEWSKA (Halina - „Beda”). *Niepodległość będzie twoją nagrodą*. T. 1 - *W konspiracji 1939-1945*. Str. 312 i 4 nlb. T. 2 - *W więzieniach - 1946-1954*. Str. 214. (Wyd. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994).
- Zmiana warty czyli jak to się stało?* Przygotowali do druku Maciej Łukasiewicz i Elżbieta Sawicka. Str. 210 i 6 nlb. (Wyd. Presspublica 1995 - w serii Biblioteka „Rzeczpospolitej”).
- KLOMINEK (Andrzej). *Życie w Przekroju*. Str. 368 i 16 nlb. -

- zdjęcia. (Wyd. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1995).
- BARROW (John D.). *Początek wszechświata*. Tłumaczył Stanisław Bajtlik. Str. 170 i 6 nlb. (Wyd. CIS i Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1995).
- DAVIES (Paul). *Ostatnie trzy minuty*. O ostatecznym losie wszechświata. Tłumaczył Piotr Amsterdamski. Str. 186 i 6 nlb. (Wydawnictwo CIS i Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1995).
- PACZKOWSKI (Andrzej). *Pół wieku dziejów Polski 1939-1989*. Str. 600 i 4 nlb. (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995).
- ROMANOWSKA (Felicja) [pseud.]. *Wileńska powieść kryminalna*. Wstęp i przypisy Waław Lewandowski. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. KONTRA, Londyn 1995).
- CHWIN (Stefan). *Hanemann*. Str. 202 i 6 nlb. (Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1995).
- NADGRODKIEWICZ (Anna). *Mój świat*. Wiersze. Str. 90. (Nakładem Autora, Kielce 1994).
- Świat Muninków*. Materiały z sesji literackiej w Gdańsku 26-27 maja 1994 r. o twórczości Tove Jansson. Str. 128. (Wyd. Nadbałtyckie Centrum Kultury, Gdańsk 1995).
- Polska – Rosja czas przewartościowań*. Pod redakcją Stanisława Bielenia. Str. 168. (Wyd. Centrum Badań Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1995).
- KASZTENA (Katarzyna). *Z dziejów formy niemożliwej*. Wybrane problemy historii i poetyki polskiej wojennej syntezy historycznoliterackiej. Str. 300. (Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1995).
- JEROFIEJEW (Wieniedikt). *Moskwa – Pietuszki*. Przełożył z rosyjskiego Andrzej Drawicz. Str. 116. (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- WIERCIOCH (Wojciech). *W cieniu zakwitającej goryczy*. Str. 138.

- (Wyd. Miniatura, Kraków 1995).
- PONIATOWSKI (Stanisław August). *Pamiętniki*. Opracował Zbigniew Góralski. Tom 1 – tłum. z francuskiego Agnieszka Dąbrowska i Magdalena Scibor, str. 250; tom 3 – tłum. z francuskiego Aleksandra Januszewska, str. 204. (Wydawnictwo LING PI, Warszawa 1994-1995).
- WANDYDZ (Piotr). *Rola powstań w dziejach nowożytnych Polski*. Str. 86. (Nadbitka z *Kwartalnika Historycznego Rocznik CI*, 1934, 4).
- Encyklopedia historii Polski*. Tom 1 – *Dzieje polityczne*. Opracował zespół redakcyjny: Jan Tyszkiewicz (do 1492), Jan Dziegielewski i Janusz Ekas (do 1764), Jerzy Skowronek i Andrzej Szwarz (do 1864), Tadeusz Krawczak (do 1918), Jan Załkowski (do 1993). Str. 451 – A-My. (Wyd. Morex s.c. i PW „Egros”, Warszawa 1994).
- MIANOWSKI (Stanisław). *Świat, który odszedł*. Wspomnienia wileńskie 1895-1945. Wybór i przygotowanie do druku Maria z Mianowskich Parczewska i Krzysztof M. Mianowski. Str. 218 i 24 nlb. ogłoszenia i fotografie. (Wyd. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1995).
- Krzewy naszych pragnień*. Almanach literacki nauczycieli województwa jeleniogórskiego. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Jeleniej Górze, 1995).
- Zarys historii wojennej pułków Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie*: 2 warszawski pułk artylerii lekkiej (opr. Józef Smoliński); 1 pułk ułanów krechowickich im. płk. Bolesława Mościckiego (opr. Grzegorz Krogulec); 2 pułk ułanów grochowskich im. gen. Józefa Dwernickiego (opr. Adam Dobroński); 12 batalion pancerny (opr. Jan Tarczyński). (Wyd. Oficyna Wydawnicza „Ajaks” i Redakcja „Zbroi”, Pruszków 1990-1995).

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.7.95

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Walery Namiotkiewicz. W latach 1953-56 publicysta tygodnika *Po prostu*. Później wieloletni sekretarz Władysława Gomułki. W latach 1980-82 był kierownikiem wydziału ideologicznego KC PZPR.

7.8.95

Zmarł w wieku 83 lat Maksim Tank (właściwie Jauhien Skurko), wybitny poeta białoruski, inspirator współpracy kulturalnej białorusko-polskiej i tłumacz poezji polskiej (Mickiewicz, Słowacki, Różewicz, Grochowiak).

1.9.95

Nominacje nowych Ambasadorów RP: Andrzej Kapiszewski – Zjednoczone Emiraty Arabskie, Ksawery Burski – Indonezja, Jan Tobiński – Słowenia, Marek Pernal – Czechy, Wojciech Adamiecki – Izrael, Jan Bacz – Austria, Stefan Frankiewicz – Watykan, Andrzej Bryt (b. minister Współpracy gospodarczej z Zagranicą) – RFN. Nominacje Konsulów Generalnych: Mieczysław Sokołowski – Hamburg, Eugeniusz Panek – Kijów, Jerzy Dróżdz – Lille, Jan Michałowski – Paryż.

1.9.95

16-letni Polak, Piotr Kwaśny, zdobył pierwszą nagrodę w kategorii skrzypiec na Międzynarodowym Konkursie im. Czajkowskiego w Sendai (Japonia), w którym wzięło udział 173 artystów z 22 krajów. Konkurs będzie przeprowadzany w Japonii co cztery lata i obejmuje trzy instrumenty: fortepian, wiolonczelę i skrzypce.

17.9.95

Polsko-niemiecki „Statek Literacki”, będący symbolem współpracy twórców obu państw w 50 lat po zakończeniu wojny, wypłynął z Frankfurtu w 12-dniowy rejs Odrą do Szczecina. Blisko 100 literatów z Polski i Niemiec weźmie udział w 50 imprezach przygotowanych w 18 miastach zachodniej Polski oraz wschodniej części Brandenburgii i Meklemburgii – Pomorza Przedniego.

20.9.95.

Prezydent RP podjął szesnaście postanowień o nadaniu 1311 osobom orderów i odznaczeń, w tym m.in. uwzględniono pracowników RWE.. Bohdan Osadczuk został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi RP za działalność na

rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego. Stefania Kossowska, ostatni redaktor londyńskich *Wiadomości* otrzymała Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. Nagrody Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich otrzymali: Jan Garewicz za przekład z języka niemieckiego dzieła Arthura Schopenhauera oraz Adam Pomorski za całokształt twórczości przekładowej. Aleksander Gieysztor otrzymał międzynarodową nagrodę *Europa Nostra* za pracę na rzecz ochrony zabytków. Kazimierz Leski otrzymał honorowe obywatelstwo m.st. Warszawy oraz nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jan Józef Szczepański otrzymał Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta przyznaną przez Związek Rzemiosła Polskiego w Warszawie. Jerzy Turowicz otrzymał Order *Merenti Cracoviae*.

23.9.95.

Na Uniwersytecie Warszawskim – staraniem Katedry Ukrainistyki i Polskiego Towarzystwa Ukrainoznawczego – miało miejsce, trzydniowe międzynarodowe sympozjum naukowe na temat „Polsko-ukraińskie stosunki w okresie międzywojennym w kontekście sojuszu Piłsudski-Petlura i międzynarodowych uwarunkowań”. To niezmiernie ciekawe i bogate tematycznie sympozjum omówimy w jednym z najbliższych numerów *Zeszytów Historycznych*.

26.9.95

Moskiewska telewizja ORT zlikwidowała – bez podania powodów – pogadanki Aleksandra Sołżenicyna na temat współczesnej Rosji. Pogadanki Sołżenicyn wygłaszał dwa razy w miesiącu, każda z nich trwała 15 minut.

30.9.95.

Rada Nadzorcza SW „Czytelnik” z jej przewodniczącym, prof. Andrzejem Garlickim, przyjęła rezygnację Włodzimierza Michalaka z funkcji prezesa zarządu SW „Czytelnik” i powołała na to stanowisko p. Marka Żakowskiego.

5.10.95.

Zmarł w Krakowie w wieku 79 lat, Mieczysław Pszon, wieloletni redaktor *Tygodnika Powszechnego* oraz negocjator traktatu polsko-niemieckiego w 1989 r.

6.10.95.

Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne w Warszawie ustanowiło nagrody im. Jana Józefa Lipskiego za prace magisterskie. Decyzję o nagrodach podejmować będzie komisja w składzie: Alina Brodzka, Marta Fik, Michał Głowiński, Mirosława Puchalska, Szymon Rudnicki, Jerzy Szacki. Nagradzane będą prace związane z obszarem zainteresowań patrona nagrody jak tradycje demokratyczne, tolerancja, pluralizm. Prace mogą dotyczyć następujących dziedzin: historia literatury współ-

czesnej, kulturoznawstwo, nauki o sztuce, nauki społeczne, nauki polityczne, historia najnowsza, historia filozofii. Nagradzane mogą być też prace poświęcone postaci i działalności Lipskiego. Promocje nagród za rok 1995 są przewidziane na wiosnę 1996 r.

20.10.95.

Zmarł w Warszawie w wieku 49 lat Andrzej Woyciechowski. W latach 1986-1991 korespondent paryskiego dziennika *Libération* (pisał pod pseudonimem Pierre Vodnik). Jego korespondencje były wysoko cenione. W 1990 roku założył Radio Zet, prywatne radio najbardziej słuchane w Warszawie. Zorganizował również cotygodniową audycję w telewizji prywatnej POLSAT.

ZACHÓD – EMIGRACJA

18.9.95

Zmarł w Essex (Anglia) Donald Alfred Davie, wybitny poeta i krytyk literacki. Jego tłumaczenie „Pana Tadeusza”, ukazało się w roku 1959 pt. *The Forests of Lithuania*. Był autorem szeregu esejów poświęconych twórczości Czesława Miłosza, które ukazały się w tomie *Czesław Miłosz and the Insufficiency of Lyric*.

2.10.95

Na Uniwersytecie Karola w Pradze odbyło się sympozjum z okazji setnej rocznicy objęcia urzędu premiera Austrii przez Kazimierza Badeniego, który wprowadził język czeski jako język urzędowy w Czechach. Jedną z ulic w Pradze nosi jego nazwisko. W uroczystości, otwartej przez Rektora Uniwersytetu prof. dr. Karela Malý, w której wzięli udział Michał i Mary Badeni (syn i córka Jana), o miejscu Kazimierza Badeniego w historii czeskiej mówili prof. Otto Urban i prof. Waldemar Łazuga.

3.10.95.

W czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych Polska Grupa Teatralna wystawiła w Nowym Jorku dramat Karola Wojtyły „Przed sklepem jubilera” w reżyserii Ireneusza Wykurza.

7.10.95.

W Librairie Dobosz w Paryżu odbyło się spotkanie z Wojciechem Karpińskim w związku z ukazaniem się jego książek: „Polska a Rosja” oraz „Fajka van Gogha”.

10.10.95.

Zmarł we Włoszech w wieku 90 lat Aleksander Żyw, artysta malarz, którego prace dotyczące drugiej wojny światowej na Zachodzie były znane i popularne.

14.10.95.

W Librairie Dobosz odbyła się promocja książki Marty A. Balińskiej pt. „Une vie pour l'humanitaire, Ludwik Rajchman 1881-1965”.

20.10.95.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu z inicjatywy Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbyło się kolokwium, pod patronatem b. premiera Jacques Chaban-Delmasa i ambasadora RP Jerzego Łukaszewskiego, poświęcone polskiemu ruchowi oporu we Francji w czasie ostatniej wojny. W czasie kolokwium wygłoszono następujące referaty: Professeur Janine Ponty: „La Résistance polonaise en France: historiographie et mise en perspective”; Maitre Marc de Montfort: „Un Français dans la Résistance polonaise”; Madame Annette Wieviórka: „Les plaques polonaises de la Résistance en France”; Monsieur Witold Zahorski: „Actions et limites de la Résistance du Primat de Pologne, Cardinal August Hlond, en France”; Monsieur Andrzej Kaszlej: „L'activité de Andrzej Kawałkowski dans la Résistance polonaise en France (P.O.W.N.) à la lumière de ses archives parisiennes”; Professeur Tadeusz Wyrwa: „Prise de conscience de l'unité européenne et convergence des idées dans la Résistance polonaise et française”; Monsieur Pierre Zaleski: „L'activité de Résistance de Zygmunt Lubicz-Zaleski”; Maitre Bolesław Szpięga: „Villard de Lans: les lycéens polonais lors des combats du Vercors”; Monsieur Lucien Owczarek: „La libération de Paris vécue par un membre de la Résistance polonaise”; Madame Helena Kalinkowska: „Une Polonaise dans la Résistance en France”; Monsieur Jan Ostrowski: „La Résistance polonaise (P.O.W.N.) dans le Nord de la France”; Monsieur Stanislas Łucki: „Un témoignage sur le Réseau F2”; Monsieur Kazimierz Leski: „Un Résistant polonais en voyage en France en uniforme de général allemand”.

24.10.95.

W Paryskiej Stacji Naukowej PAN odbył się wieczór na temat: „Andrzej Kuśniewicz et le mythe habsbourgeois” z wykładem p. Marii Delaperrière, profesora w INALCO. Udział wzięli: Zofia Bobowicz – wydawca, Dominique Autrand i Krzysztof Jeżewski – tłumacze.

27.10.95.

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt na temat „Białoruś, Litwa, Polska, Ukraina – zbliżenia w ostatnich latach”. ■ Teatr Wielki w Łodzi wystawi w dniach 9 i 10 grudnia 1995 w International Music Theatre w Chicago operę Stanisława Moniuszki „Straszny Dwór”. W przedstawieniu weźmie udział 90 artystów, chóry i orkiestra.

Listy do Redakcji

Cooma, 5 października 1995

Drogi Panie Redaktorze,

W liście do Redakcji (*Kultura* nr 9/576) p. Jerzy Sonnewend zarzucił mi, że w artykule o polskiej prasie w Australii (lipiec-sierpień 1995) pominąłem dwie publikacje: *Tu i tam* oraz *Alfa*.

Ponieważ efemeryda *Tu i tam* już nie była aktualna, pozostaje mi stwierdzić, że miesięcznik *Alfa* jest wydawany w Stanach Zjednoczonych i w Australii ukazuje się tylko jako mutacja.

Pan Sonnewend nie zbadał terenu i naraził *Kulturę* na zamieszczenie prasowej nieścisłości. Gdyby był bardziej staranny, mógłby mi dodatkowo „zarzucić” iż nie wymieniłem jeszcze jednego amerykańskiego miesięcznika wydawanego w australijskiej mutacji pt. *Kobieta*.

Ale ja przecież pisałem o polskich wydawnictwach w Australii – nie w USA.

Jak mawialiśmy w armii: rekonesans zawsze wyjdzie na korzyść.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

●
Luksemburg, 20 października 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

z przykrością zauważyłem, że do mojego tekstu na temat książki Stefana Muthesiusa, opublikowanego w październikowym numerze *Kultury* wkradła się z mojej winy pomyłka.

Przy przepisywaniu, imię Rajmunda Kalickiego, autora zacytowanego przeze mnie wywiadu ze Stefanem Muthesiusem, zmienione zostało na Ryszarda, za co go bardzo przepraszam.

Dodaję, że „Polska – Art, Architecture, Design” Stefana Muthesiusa ukazała się w wydawnictwie Karl Robert Langewiesche Nachfolger, Hans Köster Verlagsbuchhandlung KG Königstein im Taunus, w roku 1994, a do czterojęzycznego wydania polsko-angielsko-francusko-niemieckiego, które stanowiło podstawę mojej recenzji, przekładu polskiego dokonała pani Katarzyna Murawska-Muthesius. Książka ma łącznie 221 stron.

Łączę wyrazy poważania

Bohdan PACZOWSKI

DYREKCJA GENERALNA
PRZEDSIĘBIORSTWA
POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE

Warszawa, 20 września 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

nawiązując do opublikowanej w nr 7/574-8/575 informacji dotyczącej „tworzenia stanowisk kapelanów nawet w kolejnictwie”, uprzejmie wyjaśniam, że na podstawie rozporządzenia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dnia 2 lipca 1992 r. w sprawie zasad wynagradzania pracowników publicznych zakładów opieki zdrowotnej (Dz. U. Nr 55, poz. 273) zostało utworzone stanowisko kapelana w zakładowym układzie zbiorowym pracy pracowników kolejowej służby zdrowia.

Osoby posiadające wyższe wykształcenie teologiczne zatrudnione są na tym stanowisku (w niepełnym wymiarze czasu pracy) w szpitalach, wykonując posługi duszpasterskie wyłącznie dla pacjentów, przebywających na leczeniu szpitalnym, analogicznie, jak w pozostałych publicznych zakładach opieki zdrowotnej, funkcjonujących w resorcie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej.

Natomiast w przedsiębiorstwie państwowym PKP – dział transport nie utworzono i nie tworzy się stanowiska kapelana w zakładowym układzie zbiorowym pracy pracowników przedsiębiorstwa „Polskie Koleje Państwowe”.

Łączę wyrazy szacunku

Rzecznik Prasowy
Dyrektora Generalnego PKP
Anna RĄCZKOWSKA

Sydney, 14 września 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Adam Nasielski w swym artykule pt. „Polska prasa w Australii” (*Kultura* 7/574-8/575) wyraża swą opinię o prasie polskiej w Australii. Nie mam zamiaru polemizować, gdyż ogólnie zgadzam się z jego uwagami. Oburzony jednak jestem na jego ataki na sydneyjskie *Wiadomości Polskie*. Nie jest uczciwie, etycznie gdy ktoś tonie to jeszcze go dobijać. Pan A. Nasielski m.in. pisze, że druk i papier są tak okropne, że po dotknięciu tej gazety trzeba ręce umyć (takie uczucie miałem biorąc kiedyś do ręki gazetę sowiecką). Otóż to nieprawda. Papier i druk nie jest gorszy od innych czasopism, a szata zewnętrzna prezentuje się całkiem dobrze. Gdy chodzi o redagowanie to od pewnego czasu... ale o tym później.

Działalność *W.P.* nie była oczywiście w oderwaniu od bieżących spraw i warunków miejscowych. Chciałbym więc krótko spojrzeć na lata ubiegłe w Australii. Gdy przyjechałem do Sydney w roku

1958 życie polonijne w ogólnych ramach było już zorganizowane. Działała Macierz Szkolna, powstawały Domy Polskie, różne organizacje, zespoły artystyczne. Inteligencji do Australii przybyło mało. A jednak czuło się wyraźnie entuzjazm tej wspólnoty do działania, organizowania się, do ponoszenia ofiar. Te Domy Polskie powstawały przecież z dobrowolnych składek. Pierwszy Dom Polski w Sydney, piękny duży dom w dzielnicy Ashfield powstał z inicjatywy małej grupy, w tym głównie redaktora *W.P.* Na części tej posesji zbudowano później Klub Polski, podobno najlepszy na świecie. Z inicjatywy innej grupy, w tym również redaktora *W.P.* kupiono piękny ośrodek rekreacyjny nazwany Bielaniem, na których Macierz Szkolna rokrocznie urządzała kolonie letnie dla młodzieży. To tylko dwa przykłady.

W roku 1992 *Wiadomości Polskie* obchodziły 50-lecie swego istnienia, swej działalności. Twierdzę, że bilans był dodatni. Cokolwiek się działo – za czy przeciw – dyskutowano na łamach *Wiadomości Polskich*. Tak więc *W.P.* były integralną częścią życia polonijnego przynajmniej w Sydney. Sam redaktor *W.P.* wykazywał zawsze dużą inicjatywę. Niepodległościowa linia polityczna była przestrzegana. Dla tutejszego wtedy PRL-owskiego konsulatu *W.P.* były wrogiem Nr 1.

Jedną z przyczyn obecnego kryzysu *W.P.* jest obecnie przy-padkowe, chaotyczne redagowanie, a co za tym idzie ubytek czytelników i katastrofalny stan finansowy. Już od wielu miesięcy gdy otrzymuję kolejny numer *W.P.* wydaje mi się, że to ostatni. Ale o dziwo stale ukazują się nowe. Czy to jest stan przejściowy, czy przedłużająca się... jednak mimo ostrych krytyk Polonia w Sydney boleśnie odczułaby likwidację *Wiadomości Polskich*.

Nominalnie właścicielem *Wiadomości Polskich* jest Związek Polski w Australii. Już od dawna sugerowano redaktorowi *W.P.* by ze względu na swój wiek (86) i stan zdrowia, przekazał *W.P.* komuś bardziej „witalnemu”. Redaktor zwykle odpowiada, że przekazałby chętnie gdyby miał komu. Nie ma więc chętnych?

Gdy starsze pokolenie odchodzi, od nowej fali emigracyjnej (tej przecież *solidarnościowej*), która tu wcale nie „wpadła w próżnię” jak poprzednia, oczekuje się przejęcia inicjatywy, ożywienia polskich instytucji, organizacji. Tę niebezpieczną stagnację wzruszyć może dobrze ustawiona prasa.

Łączę wyrazy szacunku

Stefan STRUGAREK

P.S.

Jest i w tej chwili nieprzyjemna sytuacja, która osobiście obciąża redaktora *W.P.* Redaktor mianowicie od roku czy dłużej pobierał należności za prenumeratę „Kultury” i nie przekazuje ich do redakcji „Kultury” narażając na straty i redakcję i czytelników (również i mnie). Redaktor *W.P.* tłumaczy się, że to tylko przeoczenie i wszystko ureguluje (?). Nie chciałbym jednak by ten incydent zaważył na ocenie całej działalności *W.P.*

S.St.

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	111
Bohdan Osadczyk:	<i>Prowokacyjne refleksje ze zjazdów i konferencji</i>	117

KRONIKA KULTURALNA

M.P.:	<i>Polska na Montmartre</i>	121
Andrzej Robowski:	<i>Trzy kraje – trzy światy</i>	122
m.a.s.:	<i>VI Polski Zjazd Filozofów w Toruniu</i>	125
–	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i>	127

KSIĄŻKI

Andrzej Walicki:	<i>Dzieje utopii w Rosji</i>	129
Leszek Szaruga:	<i>„Rzeczpospolita Pułaska”</i>	137
Bogumiła Berdychowska:	<i>Śpiewać każdy może...</i>	142
Maja E. Cybulska:	<i>Kobieta sukcesu</i>	147
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	150
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	153

A. Nasielski, B. Paczowski, A. Rączkowska, S. Strugarek:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
---	------------------------------------	-----

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1995			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza , 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca» , Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner , Buchexport-Import, Hessastr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko , Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek , Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch , 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik , 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika» , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd. , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 490 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZYNASTY

zawiera opracowania: W. Grochala, T. Kędziora, M. Kielak, J. Kodym, M. Kula, T. Markiewicz, D. Smoleń: *Missi dominici nowych czasów*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Lotnictwo polskie w Planie Operacyjnym „Wschód”*; Wł. Zajewski: *Polska – Belgia: dwie drogi do niepodległości*; B. Skaradziński: *Wronki – Warszawa – Wronki*; Wł. Kempfi: *Między Katowicami, Wrocławiem i Legnicą*; St. Iwanowski: *Samoobrona w Lidzie i Grodnie w 1918-1919*; L. Kowalski: *KOK wobec opozycji politycznej i Kościoła w latach 80-tych*; K. Lanckorońska: *Rada Regencyjna*; P. Daszkiewicz: *„Pamiętnik Farmaceutyczny” i Maison Verreaux*; Wł. Kijuć: *Armia Krajowa na Litwie i Białorusi; Generał Sikorski od kulis*; R. Löw: *Paweł Glikson*; T. Wyrwa: *Polskie Radio w powstańczej Warszawie oraz Lotny Oddział A.K. „Szarugi” na Lubelszczyźnie*; Z.S. Siemaszko: *Siostry Dziewulskie*; J.M. Majchrowski, G. Mazur: *Generalicja II Rzeczypospolitej*; K. Tarka: *Rząd na uchodźstwie*; P. Żbikowski: *O insurekcji kościuszkowskiej i jej przywódcach*; oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F